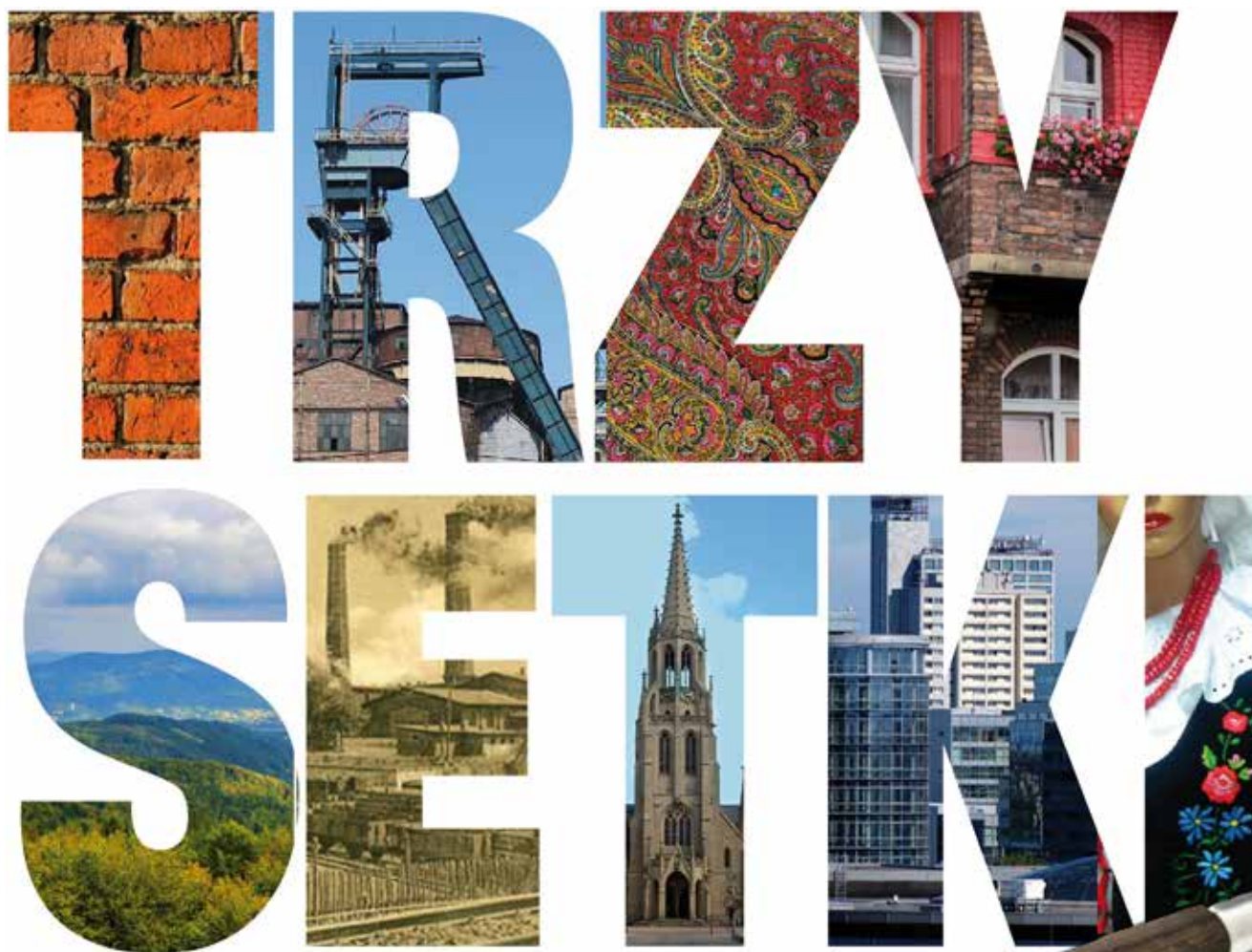


MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 9 (300) • ROK XXVI • WRZESIEŃ 2020



ISSN 1425-3917 09
9 771425 391707

fot. Zbigniew Lubowski



Zespół Przyrodniczo-Krajobrazowy Żabie Doły to wyjątkowe miejsce na mapie Polski. Entuzjaści industrialnej turystyki, którzy rozpoczęli zwiedzanie naszego regionu od wycieczki do Żabich Dołów, przeżywają prawdziwy szok, bo zielony, wodny krajobraz przypomina raczej mazurskie uroczyska niż tereny przemysłowe.

Szczegóły s. 31

fot. Agnieszka Ziełńska



Przez wieki Księstwo Siewierskie stanowiło w królestwie polskim autonomiczną enklawę, zarządzaną przez biskupów krakowskich. Echa tamtej świetności to m.in. zachowane do dziś jedne z najstarszych obiektów sakralnych w Polsce.

Szczegóły s. 34

fot. Julia Montewska



Zabytkowy pałac z XVIII wieku w dolnośląskim Maniowie Małym to jeden z tych obiektów, które bezpowrotnie straciły szansę, by stać się lokalną perłą architektury. Zniszczenia wojenne i lata zaniedbań przełożyły się na fatalny stan rezydencji, która popadła w całkowitą ruinę.

Szczegóły s. 52

Z prawdziwym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci w dn. 28.08.2020 naszego przyjaciela

Janusza Ireneusza Wójcika,

członka zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, wybitnego poety, miłośnika sztuki i kultury, działacza samorządowego, promotora spraw Opola i Opolan w miesięczniku „Śląsk”, organizatora współpracy kulturalnej z Czechami, Węgrami i Litwą.

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy szczerego współczucia.

*Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
Redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”*

Redakcja uprzejmie informuje, że najnowsze i archiwalne egzemplarze miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” są oferowane w ciągłej sprzedaży w Instytucie Myśli Polskiej im. W. Korfańskiego w Katowicach przy ul. Teatralnej 4.

Nr 9(300). Rok XXVI. WRZESIEŃ 2020

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Tadeusz Sierny* PYTAMY MINISTRA. ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SELLINEM,
WICEMINISTREM KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
6 *Ewa Kosowska* KULTURA ŚLĄSKA? / KULTURA ŚLĄSKA?
9 *Marta J. Bąkiewicz* TROPY KULTURY NAD BRZEGIEM ODRY. ROZMOWA Z JANUSZEM
WÓJCIKIEM
14 *Konrad Graczyk* STRACENIE KS. JANA FRANCISZKA MACHY
16 *Bogumił Grott* PRZEDHITLEROWSKIE KORZENIE NAZIZMU
19 *Marian Zembala* DZIĘKUJEMY PROFESORZE! WSPOMNIENIE O PROF. STANISŁAWIE
PASYKU
20 *Ks. Henryk Pyka* WOKÓŁ MICHAŁA WILLMANN
22 *Stefan Zabierowski* POŻEGNANIE PROFESORA FRANCISZKA ZIEJKI
24 *Katarzyna Szkaradnik* BIBLIOFILSKA SZTAFETA
28 *BŁYSKI I ZAPATRZENIA Marian Sworzeń* KONRAD WRZOS, „OKO W OKO Z KRYZYSEM.
REPORTAŻ Z PODRÓŻY PO POLSCE”
31 *Zbigniew Lubowski* ZIELONA DUSZA ŚLĄSKA
35 *Agnieszka Zielińska* TESTAMENT KSIĘSTWA SIEWIERSKIEGO
38 TEATR CZASU ZARAŻY *Wojciech Lipowski* SZCZYT MOŻLIWOŚCI
42 *Henryk Szczepański* JANEK Z KOŚCIUSZKOWSKIEGO WZGÓRZA
46 *Agnieszka Kijas* CIENIUTKA NIĆ „BABIEGO LATA”. WSPOMNIENIE ANDRZEJA
SZYPOSA
49 *Edward Wieczorek* GRANICA
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W MANIOWIE MAŁYM
54 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* ŚLĄSKI PRZEKŁAD CHIŃSKIEGO ARCYPOETY
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PRZEKŁAD DON JUANA BYRONA. POETA –
TŁUMACZ – KOMENTATOR
65 *Anna Cieplak* ŚLĄSKA HERSTORIA? ROZMOWA Z DR MAŁGORZATĄ TKACZ JANIK
73 PRZYJACIELE „ŚLĄSKA” *oprac. T. S.*
74 PROGRAM DLA CZYTELNIKA? *oprac. T. S.*

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: ŚLĄSKA HERSTORIA. GŁOSEM KOBIET O POWSTANIACH ŚLĄSKICH I
PLEBISCYCIE. PIERWSZE POSŁANKI SEJMU ŚLĄSKIEGO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Ks. Jerzy Szymik* MAMA
12 *Ks. Jerzy Szymik* WIERSZE
40 *Maciej Bieszczad* WIERSZE

FELIETONY

- 30 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* FLORIAN ŚMIEJA W MOJEJ PAMIĘCI
36 *Antoni Wilgusiewicz* CZY NA GÓRNYM ŚLĄSKU POTRZEBNE JEST CENTRUM
KRESOWE? POLEMIKA
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* „O NAS ZAPOMNIEĆ NIE WOLNO”
56 *Karol Makles* JAK MI POLSKA ZAPŁACIŁA. ARESZTOWANIE WOJCIECHA
KORFANTEGO
57 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* ODMRAŻANIE FESTIWALI
MUZYCZNYCH
80 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* MAESTRA Z TEJ ZIEMI

KSIĄŻKI

- 60 *Justyna Szlachta-Ignatowicz* KREW Z KRWI
61 *Andrzej Juchniewicz* OPOWIADANE TRENAMI
62 *Antoni Wilgusiewicz* ZASUWKA I INNE WIERSZE
63 *Tadeusz Sierny* SAGA O RODZIE ZNAD NIEPOKORNEJ RZEKI
64 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

76 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Projekt okładki i kompozycja 3 strony okładki Marek J. Piwko

Od Redaktora

Z okazji edycji **trzechsetnego numeru miesięcznika „Śląsk”** trzeba przypomnieć słowa założyciela i pierwszego redaktora naczelnego periodyku **Tadeusza Kijonki**, który w inicjującym numerze czasopisma, w swoim programowym artykule napisał (nr 1/1995, s. 2), cyt.:

Najważniejsze niewątpliwie jest i będzie przekazanie główne pisma: po pierwsze – Śląsk... I myślę, że nie zdarzy nam się grzeszyć przeciw niemu, choć nie zawsze nasze diagnozy i opinie zostaną uznane za słuszne. Ale i o to chodzi: o szeroki, społeczny dialog i spory w słusznej sprawie.

A więc po pierwsze – Śląsk... z punktu widzenia polskiej racji stanu. Z tych jednakże pozycji, które nawiązują do tego, co wartościowe i godne podjęcia w wielokulturowej tradycji macierzystego obszaru, lecz nie za cenę mistyfikowania historii, fałszywego ekumenizmu i doraźnych usług. Jeśli bowiem należy dążyć do utrwalenia tego, co wzbogaca i łączy a może stać się tradycją pozytywną, to jednak nie na warunkach rezygnacji z doświadczeń i argumentów ważnych dla polskiej racji stanu.

Miesięcznik „Śląsk” jest z założenia pismem społeczno-kulturalnym, choć ten model czasopism przechodzi obecnie kryzys [...]. Od początku zakładało, iż ma to być tytuł prezentujący wysoki poziom poligraficzny, dysponujący przy tym warunkami do atrakcyjnego prezentowania sztuk plastycznych w kolorze, tak by czasopismo to mogło spełniać rozległe funkcje w stosunku do oczekiwań wszystkich środowisk artystycznych i twórczych, jako jedyne miejscowe pismo o tym profilu.

Wiele miejsca w oglądzie „Śląska” zajmą problemy społeczne, wynikające z obserwacji procesów, napięć i zagrożeń na tym szczególnie zapalnym, zdeintegrowanym obszarze.

„Śląsk” ma jednak przede wszystkim promować i rejestrować fakty i zjawiska ze wszystkich dziedzin kultury i życia ar-

tystycznego, skupiając najlepsze pióra i warsztaty badawcze głównie macierzystego regionu. Wiele uwagi redakcja poświęci prezentacji dorobku młodych i najmłodszych twórców, odczuwających brak odpowiedniego miejsca do autorskich wypowiedzi [...].

Tak wiele zadań, choć środki ograniczone, a i zespół nieliczny, złożony z osób godzących nowe powinności z dotychczasowymi obowiązkami zawodowymi. Oby tylko starczyło mądrego mecenatu [...].

Opublikowane ponad 25 lat temu słowa Tadeusza Kijonki, nie utraciły dziś nic ze swej ówczesnej aktualności.

Miesięcznik „Śląsk”, następcą – „Odry”, „Przemian”, „Poglądów”, „Tak i Nie – Śląsk”, kontynuuje tradycję tego historycznego szeregu pism tworzonych w Katowicach w okresie od 1945 roku przez wielu wybitnych dziennikarzy, publicystów, pisarzy, grafików, bezimiennych lub dziś już zapomnianych współpracowników tych gazet – ale przede wszystkim czytanych przez wiernych czytelników, współtworzących środowiska kulturalne, artystyczne, literackie. Warto podkreślić, że miesięcznik „Śląsk” ma ze wszystkich najdłuższy „staż” wydawniczy, jego poprzednicy odchodzili do archiwów historii prasy ze znacznie krótszym „prasowym życiorysem”, likwidowani lub zamykani decyzjami politycznymi albo administracyjnymi.

Mimo hiobowych zapowiedzi unicestwienia także i tego czasopisma, dzięki życzliwej pomocy niezawodnych przyjaciół (MKiDN, Prezydenta Miasta Katowice, Zarządu Województwa Śląskiego, pracowników Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”) udało się periodykowi przetrwać najtrudniejsze chwile, a redakcji pracującej w stale improwizowanych warunkach lokalowych i organizacyjnych zapewnić nieprzerwaną ciągłość edycji miesięcznika i wierność zasadom merytorycznym, wypracowanym przez jego Założyciela. Jednym ze źródeł siły tego czasopisma, poza społeczną pracą zespołu redakcyjnego i współpracowników, jest formalne usytuowanie gazety jako organu – nie instytucji politycz-

nej lub kulturalnej – ale stowarzyszenia: wydawcą miesięcznika jest Górnośląskie Towarzystwo Literackie, organizacja pozarządowa, będąca emanacją idei tworzenia postulowanego ciągle jeszcze tylko w teorii struktur społeczeństwa obywatelskiego. Model konstruowania czasopisma – w oparciu o współpracę wydawcy z podmiotami samorządu terytorialnego, instytucjami kultury, stowarzyszeniami (NGO) działającymi w sferze kultury oraz podmiotami gospodarczymi i czytelnikami – jest zapewne optymalną formułą w obecnych warunkach ekonomicznych.

Ewoluuja warunki funkcjonowania czasopisma na rynku prasowym, pojawiają się nowe konkurencyjne komunikatory społeczne, nie zmienia się jednak pierwotna funkcja społeczna miesięcznika jako diagnostyka i preterera problematyki kulturalnej oraz społecznej, organizatora społeczności ludzi czytających. Czasopismo skupia wokół siebie szerokie grono autorów reprezentujących różne środowiska i zainteresowania, dokumentuje najciekawsze zjawiska i problemy dotyczące mieszkańców Śląska i całej Polski, wszystko to realizując wyłącznie społecznym wysiłkiem autorów i zespołu redakcyjnego. Ta okoliczność nie uległa także zmianie od początku istnienia miesięcznika. Trzechsetny numer ukazuje się dzięki życzliwości – nie wynagradzanej żadnymi honorariami ani uposażeniami prawnymi Przyjaciół „Śląska”. Wszystkim naszym autorom, współpracownikom, prenumeratom, poligrafom, partnerom dystrybucyjnym, reklamodawcom, współwydawcy – Bibliotece Śląskiej, mecenasom: Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Zarządowi Województwa Śląskiego, Osobom nam życzliwym i przyjaznym – serdecznie dziękujemy za współpracę i pomoc.

Mamy nadzieję, że mimo różnych dziejowych komplikacji będziemy mogli naszych czytelników w dalszym ciągu zapraszać do wspólnej lektury przez wiele jeszcze długich lat.

Tadeusz Sierny

Mama

kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim
1J 4,16

jechaliśmy do Wodzisławia, do spowiedzi,
przedtem pakowała pietruszkę do słoików
przyrządziła fasolkę szparagową z masłem,
marchewkę z jabłkiem. Mama słabiej teraz
słyszysz, trochę gorzej chodzi. Musiałem
skoordynować bicie serca, rękę na kierownicy,
oko. Była zima, lodowaty wiatr, porywisty.

Rwący ból, gdzieś w samym środku piersi,
z samych trzewi, ze źródła mojego istnienia.

Po spowiedzi oglądaliśmy mecz ligi mistrzów.
Moim zdaniem trener Borussia zbyt późno
wpuścił na Wembley Raphaela Guerreiro,
losy pojedynku z Tottenhamem były już
nie do odwrócenia. Mamusia nie słyszała
moich uwag, jadłem marchewkę z jabłkiem.
Było już nie do odwrócenia.

Byliśmy szczęśliwi tego wieczoru
i wiele innych wieczorów, nocy, dni.

Wiesz, mówiła, w kwietniu kwitły czereśnie
wzdłuż kokoszyckiej drogi i w wielkim sadzie
za naszym domem, ten ich miodowy zapach
potężny i ptasie koncerty. A kiedy rodziłam
Bożenkę, widziałam z okna porodówki, jak
nad syryńskim lasem stały różowe łuny a i
całe niebo było wtedy czerwone od mrozu.

Słoik z rosółem i pół osełki w sreberku.
Ciepły wiatr rozwiewał jej białe włosy.

Pszów, 13 lutego 2019 r. – 8 stycznia 2020 r.

Tadeusz Sierny: W roku 2020 realizowanych jest 30 Programów MKiDN, które dla wielu instytucji kultury i organizacji pozarządowych stanowią istotny bodziec finansowy. Czy w 2021 roku przewidziane są zmiany w strukturze Programów MKiDN, zasadach ich funkcjonowania, preferencjach tematycznych i merytorycznych, sumie kwot przeznaczonych dla potencjalnych beneficjentów?

Jarosław Sellin: Trochę za wcześnie jeszcze, aby rozmawiać o programach na rok 2021. Wciąż trwają prace nad budżetem państwa, wobec czego nie wiemy, jakimi środkami będzie dysponował minister. Co do planowanych uproszczeń w przyszłym roku mogę natomiast powiedzieć o kilku rozwiązaniach dla wnioskodawców, takich jak uproszczenia obiegu dokumentów (nabór w 100% elektroniczny); rozszerzenie większości programów (o ile jest to zasadne) o – dopasowane do ich zakresu – działania lub samodzielne zadania on-line; czy utrzymanie większej elastyczności w określaniu kosztów kwalifikowanych (np. możliwość dofinansowania obsługi księgowej, czynności wykonywanych w ramach umowy o pracę itd.) Chodzi nam o to, aby w trudnym dla instytucji kultury czasie, procedury ubiegania się o środki nie powodowały dodatkowych problemów, czy ryzyka dla wnioskodawców.

Panie Ministrze, czy w związku z przyjętymi założeniami budżetu na rok 2021 istnieje, Pana zdaniem, szansa by udział planowanych wydatków w dziale Kultura i Ochrona Dziedzictwa Narodowego (cz. 24) przekroczył magiczny poziom 1,0% budżetu naszego państwa?

Pan Redaktor, pytając o magiczny poziom 1,0% nakładów na kulturę w wydatkach budżetu, ujmuje jedynie wydatki działu 921 w cz. 24, co z perspektywy ministerstwa nie jest najlepszym rozwiązaniem, bo wydatki na kulturę to również wydatki innych ministrów i wojewodów.

Przy takiej metodologii liczenia nakładów na kulturę, na którą resort kultury ma bezpośredni wpływ (czyli w całości wydatków tylko cz. 24 – z wyłączeniem pozostałych dysponentów) nie tylko osiągnęliśmy, ale nawet przekroczyliśmy ten magiczny poziom już w roku 2016 – osiągając wskaźnik udziału wydatków cz. 24 w wydatkach budżetu państwa na poziomie 1,09%. Jeszcze wyższy poziom był w roku 2017 – 1,26%. Podkreślenia wymaga również fakt, że znacznie korzystniejsze wartości wskaźnika nakładów na kulturę prezentują łączne wydatki po dodaniu do powyższych środków również środki na kulturę (wydatków działu 921) u pozostałych dysponentów, czyli wojewodów i pozostałych resortów oraz środki Funduszu Promocji Kultury – osiągając w 2017



Min. Jarosław Sellin

Pytamy ministra

Rozmowa z JAROSŁAWEM SELLINEM, wice-ministrem kultury i dziedzictwa narodowego

roku 1,40% z kwotą ponad 5,2 mld zł. Dla roku 2020 poziom tego wskaźnika wynosi 1,24% (5,4 mld zł), a wg projektu ustawy budżetowej na rok 2021 – 1,14% (5,5 mld zł). Taka metodologia liczenia nakładów na kulturę wydaje się najbardziej słuszna.

Czy nie dostrzega Pan Minister pewnej dysproporcji pomiędzy wielkimi wysiłkami, jakie ponosi państwo polskie na realizację polityki historycznej (w wydatkach MKiDN dział Kultura i Ochrona Dziedzictwa Narodowego

(921) w 2019 roku pochłonął 53,5% wydatków Ministerstwa), a poziomem zainteresowania tą tematyką m.in. wśród młodzieży (90% tegorocznych maturzystów wybrało inny przedmiot niż historia)? Może system edukacyjny w tym zakresie jest niewydolny, może niewłaściwie promowana jest tematyka historyczna?

Musimy być świadomi, że cały czas płacimy cenę za niewydolną politykę pamięci z poprzednich lat. Wciąż przecież trwa chociażby budowa Muzeum Historii Polski w Warszawie, dopiero

w tym roku udało się zakończyć inwestycję w Sulejówku: Muzeum Józefa Piłsudskiego. To wszystko są zaszczyty, które zostawili nam nasi poprzednicy.

W 2016 roku, przygotowując obchody stulecia odzyskania niepodległości, zlecieliśmy duże badania dotyczące patriotyzmu i wiedzy o historii Polski. Rzeczywiście, o ile poziom zainteresowania historią był bardzo wysoki, o tyle nie można było tego powiedzieć o wiedzy. Stąd usilne starania Ministerstwa, by w ramach działalności muzeów, czy też Programu Wieloletniego „Niepodległa” stawić na nowe i niekonwencjonalne formy edukacji historycznej.

Gdy popatrzymy na ofertę miesięcznika „Śląsk”, to możemy dostrzec, że jest ona przygotowana głównie przez przedstawicieli inteligencji humanistycznej. Czy nie sądzi Pan, że bez przekuwania w formy literackie osobistych doświadczeń w zakresie godzenia tego, co lokalne z tym, co narodowe i globalne – proces wzajemnej adaptacji i akceptacji byłby znacznie trudniejszy?

Bardzo się cieszę, że wciąż istnieją takie czasopisma jak „Śląsk”, czy bliższa mi także „Pomerania”. W świecie, w którym informacja staje się coraz szybsza, często bezrefleksyjna, w którym powoli zaciera się także granica między prawdą a kreacją (co szczególnie widać w mediach społecznościowych), potrzebujemy miejsc do namysłu, do rozmowy. „Śląsk” jest takim forum, gdzie konfrontowane są różne ludzkie doświadczenia.

Czy zgodzi się Pan Minister z tezą, że pisarstwo Gustawa Morcinka, poezja Tadeusza Kijonki, filmy Kazimierza Kutza, eseje przedstawicieli młodszego i najmłodszego pokolenia śląskiej inteligencji to ciągle próby pokazania naszej „wielkości w jedności”, że możemy się „pięknie różnić”, jak mówi profesor Dorota Simonides, i pięknie dbać o zachowanie tych różnic, nie tracąc jednocześnie poczucia wspólnoty i przynależności? Przede wszystkim przypomnę, że stoimy u progu niesamowicie ważnej rocznicy: stulecia Trzeciego Powstania Śląskiego, kiedy w bohaterski sposób mieszkańcy Śląska pokazali swoje przywiązanie do Polski. Polska po zaborach została – że tak powiem – zszyta z różnych sposobów działania, tradycji niepodległościowych, z różnych spojrzeń na Polskę. Lecz tym, co – w mojej opinii – najlepiej o wspólnotcie świadczy, są wartości. W badaniach z 2016 roku określiliśmy, że wolność, solidarność i poszanowanie godności ludzkiej to trzy fundamenty polskiej tożsamości. Jeśli pyta Pan o Gustawa Morcinka czy Kazimierza Kutza: wszędzie w ich dziełach odnajdujemy tę samą triadę, o której tutaj wspominam.

W województwie śląskim dobitnym wyrazem polityki pamięci, realizowanej przez państwo polskie we współpracy z innymi podmiotami, jest współorganizowanie przez MKiDN instytucji kultury pod nazwą Panteon Śląski. W dziejach Śląska było wiele znaczących postaci współtworzących ważne i fascynujące momenty historii. Z dzisiejszej perspektywy i z perspektywy stu lat od odzyskania niepodległości niewątpliwie ważną cezurą w tych dziejach są Powstania Śląskie. Świadczą one o przetrwaniu poczucia wspólnoty z Polakami przez niemal sześćset lat. Czy wiedza na ten temat jest dostatecznie upowszechniana także i poza Śląskiem?

W tej chwili trwają przygotowania do uczczenia setnej rocznicy III Powstania Śląskiego, w której organizację włączyły się już chyba wszystkie, a na pewno większość instytucji powołanych do dbałości o kulturę i badania historii Śląska. Powstała szeroka koalicja instytucji, której przewodzą Muzeum Powstań Śląskich ze Świętochłowic, Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny oraz nadzorowany przez MKiDN Instytut Śląski. Jednym z celów ich działania jest uczynienie przyszłorocznych obchodów wydarzeniem ogólnopolskim.

W 2018 r. Program Wieloletni „Niepodległa” został wydłużony – na wniosek śląskich instytucji kultury oraz wojewody śląskiego – o rok tak, aby objąć nim wszystkie wydarzenia związane z powrotem części Górnego Śląska do Macierzy. Już w tej chwili Program pozwolił na sfinansowanie wielu cennych inicjatyw w tym regionie, m.in. projektów Muzeum Śląskiego, Instytutu Śląskiego, NOSPR czy Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. W 2021 r. projekty rocznicowe będą mogły uzyskać dofinansowanie zarówno w Prioryecie 1 (skierowanym do prowadzonych i współprowadzonych instytucji kultury), jak i w trzech schematach Priorytetu 2 (skierowanych do samorządowych instytucji kultury, organizacji pozarządowych i wojewodów) Programu „Niepodległa”.

Mamy więc nadzieję, że wiedza o powstaniach trafi też poza granice historycznego Śląska, a mówimy tu przecież nie tylko o województwie śląskim, ale i Opolszczyźnie, i Dolnym Śląsku.

Książka, czasopismo, gazeta przez stulecia wytworzyły swoiste konwencje nadawczo-odbiorcze, określony typ kultury czytelniczej. Pytam w kontekście Śląska i „Śląska”. Dla starszego pokolenia towarzyszanie działalności intelektualnej poprzez systematyczne odnotowywanie, krytykę i wartościowanie tworzonych w regionie dzieł jest bardzo ważne. Czy sądzi Pan, że warto in-

tenyfikować wysiłki w celu zachowania tych tradycji?

Myszę, że program wspierania czasopism, który realizuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ma to właśnie na celu. Niemniej warto przyrzeć się temu, co działo się w tym roku w następstwie epidemii koronawirusa. Jak szybko instytucje kultury, a także czasopisma, przeniosły się do rzeczywistości wirtualnej. Mówiłem już o zagrożeniach związanych z brakiem weryfikacji informacji w sieci, więc myślę, że rolę środowisk intelektualnych, takich jak to skupione wokół „Śląska”, staje się budowanie miejsc w internecie, gdzie czytelnik, nawet niewyrobiony, może otrzymać wysokiej jakości refleksję na aktualne, także trudne, tematy. Dotrzeć do nowych odbiorców to ważne zadanie.

Śląsk jako region o bogatej i skomplikowanej historii dysponuje dzisiaj wielkim bogactwem. I nie chodzi jedynie o kopaliny, które ostatnimi czasy budzą wielkie emocje. Tym razem chodzi o samą nazwę, o toponim, który stał się znakiem rozpoznawczym rozmaitych aspiracji regionu. Czy w ocenie Pana Ministra miesięcznik „Śląsk”, Górnośląskie Towarzystwo Literackie i Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” dysponują wystarczającą ofertą intelektualną, która może zrównoważyć odchodzący, a w zasadzie już ahistoryczny stereotyp „ziemi węgla i stali”?

Tak, to jest bardzo ważny potencjał. Natomiast, jak już wspominałem, coś, co dla mnie osobiście jest ważne, to umiejętność budowania szerszych koalicji, działania wspólnotowego. Dlatego bardzo Państwu zachęcam do współpracy szczególnie z instytucjami, które prowadzi, bądź współprowadzi Ministerstwo Kultury, a jest ich na Śląsku całkiem sporo. To są i będą miejsca otwarte na współpracę, na wymianę idei, na rozmowę o Śląsku i o Polsce.

Wywiad z Panem Ministrem ukazuje się w trzeczsetnym numerze miesięcznika, bez przerwy, regularnie co miesiąc wydawanego przez wydawcę będącego organizacją środowiskową (Górnośląskie Towarzystwo Literackie) od 1995 roku. Jakiej rady udzieliłby Pan Minister redakcji periodyku, czytelnikom i wydawcy czasopisma?

To, co już wspominałem. Szukać nowych odbiorców, szukać ich tam, gdzie się pojawiają: w mediach społecznościowych, w internecie. Ale jednocześnie nigdy nie zapominając o wartościach.

Jest taki wers Hieronima Derdowskiego, który powtarza się często na Kaszubach: „Nie ma Kaszub bez Polonii – a bez Kaszub Polski”. Myszę, że to samo i Państwo, i ja możemy powtórzyć o Śląsku..

kultura śląska?/ kultura Śląska?

EWA KOSOWSKA

W polskim dyskursie publicznym okresowo odżywa teza o kulturowej odrębności Śląska. Przy czym dyskutanci stosunkowo rzadko traktują ten obszar łącznie, znacznie częściej natomiast akcentują kształtowaną latami odmienną każdą z jego części. Współcześnie podejmowane próby doszukiwania się widocznych związków między nimi odwołują się do wspólnoty toponomastycznej i uwarunkowań historycznych. Jednak radykalne przemiany demograficzne, związane ze zmianą granic po II wojnie światowej i akcjami przesiedleńczymi sprawiają, że dzisiejsi mieszkańcy tych terenów – chociaż mają świadomość wspólnoty historycznej – to borykają się z odmiennymi problemami, inaczej mówią, do innego dziedzictwa się odwołują. W rezultacie w wypowiedziach publicystycznych i dyskusjach prywatnych, w rozprawach naukowych i w literaturze – zależnie od przyjętej opcji zmienia się sposób mówienia o kulturze Śląska/kulturze Ślązaków i kulturze śląskiej. Przy czym, chociaż określenie „kultura śląska” rezerwowane jest do opisywania sfery wartości tradycyjnych, to zadowolającej definicji tego, co kryje się za wspomnianą nazwą, nie udało się dotychczas sformułować. W rezultacie zarówno teza: „istnieje kultura śląska”, jak i teza: „kultury śląskiej nie ma” mają swoich zwolenników i przeciwników. Prezentacja wszystkich możliwych przyczyn takiego stanu rzeczy jest niewykonalna, ale nad kilkoma z nich warto się pochylić.

Każda najmniejsza grupa, a więc w praktyce każda rodzina jakoś się od siebie różni. Jeśli dodamy do tego czynnik terytorialny i uwzględnimy konsensus, pozwalający poszczególnym rodzinom nie tylko współmieszkać, ale i posiadać większe poczucie wspólnoty z bliższymi niż z dalszymi sąsiadami, to możemy zakładać, że na Śląsku istnieje trudna do oszacowania liczba kultur środowiskowych i lokalnych. A jeśli dodatkowo przeanalizujemy dzieje wybranej społeczności i wpływ, jaki na, z pozoru odwieczne sposoby gospodarowania, miały określone decyzje ekonomiczne (np. przyspieszona industrializacja, usytuowanie na danym terenie kopalni, huty, elektrociepłowni, browaru, kompleksu szpitalno-sanatoryjnego itd.), to staniemy wobec problemu, jakim jest potrzeba pogodzenia kilku poziomów, na których kształtowało się i kształtuje

odczuwanie „naszości”. Żeby te poziomy wyodrębnić, opisać i zinterpretować, niezbędne są odpowiednie perspektywy: bliższe bądź dalsze, zewnętrzne lub wewnętrzne. Każda z nich w innym stopniu umożliwia nie tylko postrzeganie podobieństw, ale i wyraźnie rysujących się różnic między mieszkańcami poszczególnych miejscowości i miast.

Perspektywa zewnętrzna, a może raczej perspektywa wewnętrzna, różne ze względu na cele, czas powstania opisów i profesjonalne przygotowanie autorów, promują interpretacje budowane na obserwacjach i uogólnieniach, formułowane przez przyjezdnych i przejezdnych w określonym miejscu i czasie, często na użytek uprzednio przyjętej tezy i akceptowanego sposobu myślenia. Interpretacje te mogą uwzględniać wiedzę teoretyczną i osobiste doświadczenia; inny obraz Śląska wyłania się z analiz naukowych, a inny z wypowiedzi dziennikarskich, literackich czy polityczno-propagandowych. W dyskursie na temat kultury śląskiej, wznowionym z dużą intensywnością w mijającym trzydziestoleciu, często spotykamy odwołania do dawnych opisów, sprawozdań i relacji. Były one sporządzane z odmiennych perspektyw zewnętrznych: zarówno profesjonalni badacze, jak i przypadkowo odwiedzający Śląsk przedstawiciele wielu narodowości, mający rozmaicie sprofilowane wykształcenie i odmienne cele, notowali swoje spostrzeżenia z pozycji outsiderów. Zatem zewnętrzne spojrzenie na kulturę śląską nie dawało także w przeszłości jednorodnego obrazu: obserwacja mogła być prowadzona z różnych punktów widzenia i z różnym stopniem dokładności przez badaczy i publicystów, niezwiązanych ze Śląskiem jako miejscem urodzenia. Wielu z nich poświęciło немало wysiłku, próbując poznać i opisać jego specyfikę.

Formuły „specyfika Śląska”, często przywoływanej we współczesnych dyskusjach, używam nieprzypadkowo, gdyż perspektywa zewnętrzna zakłada z jednej strony postrzeganie tego obszaru jako swoistej całości, a z drugiej wymaga porównania go do innych terytoriów. I tu zaczyna się poważny problem, bo w grze pojawiają się argumenty ideologiczne i polityczne. Śląsk można opisywać jako zespół niezależnych niegdyś księstw, jako część obszaru historycznie należącego do innych państw,

ale także jako część Europy i zarazem miejsce krzyżowania się różnych wpływów kulturowych. W zależności od tego, jaką przyjmujemy orientację interpretacyjną, możemy kierować się (lub nie kierować) takimi względami jak: dawna przynależność terytorialna (skomplikowana z jednej strony dzięki historycznej koncepcji własności ziemi i władzy dziedzicznej, a z drugiej dzięki nowoczesnej koncepcji państwa i jego granic), tradycyjna obyczajowość (mniej jednorodna na całym obszarze niż by się to z pozoru wydawało), język (zróznicowany lokalnie), wyznanie (w przewadze katolickie lub ewangelickie) czy poczucie wspólnoty mieszkańców (bardzo trudne do zbadania). Wyłaniający się z takich interpretacji obraz Śląska rzadko bywa spójny, zwłaszcza gdy argumenty historyczne krzyżują się z ideologicznymi, a obserwacje mające wymiar lokalny są ekstrapolowane na inne tereny.

Zatem deklarowany obiektywizm perspektywy całkowicie zewnętrznej z różnych powodów nie przynosi wystarczającej wiedzy o specyfice kultury śląskiej, chociaż niewątpliwie rzuca na nią światło i implikuje określony sposób jej opisywania. Fakt ten w ostatnim trzydziestoleciu został dostrzeżony przez wielu przedstawicieli inteligencji, zwłaszcza humanistycznej, upominającej się o prawo regionu do autonomii. Zakres tej autonomii bywa zresztą rozmaicie określany. Zasadniczą podstawą kwestionowania zasadności perspektywy całkowicie zewnętrznej jest deklarowana perspektywa wewnętrzna, oparta na mniej lub bardziej ofensywnie manifestowanym przeświadczeniu, że prawo do wypowiedziania się na temat specyfiki kultury śląskiej mają przede wszystkim Ślązacy. I nie chodzi jedynie o prawo moralne, ale przede wszystkim o bezpośredni dostęp do tych rejonów kulturowej tradycji, które – zgodnie z przywołaną argumentacją – zrozumieć i zinterpretować może jedynie człowiek w niej urodzony. Wydaje się, że bez względu na poziom wyrafinowania konstrukcji słownych, jakimi posługują się przedstawiciele tej opcji, pomijają oni jednak w konstruowaniu modelu poznawania specyfiki Śląska kilka czynników.

Po pierwsze, w sposób mniej lub bardziej świadomy czynią podstawą swojej argumentacji osobiste doświadczenia i konsekwencje własnych wyborów. W efekcie albo deklarują silne, niemal

naturalistyczne przywiązanie do tradycji rodzinnych i lokalnych, uznając je za reprezentatywną część śląskiego dziedzictwa kulturowego, albo przeciwnie, demonstrują wykorzenienie, potrzebę wyrwania się z kleszczów „tutejszości” i „małej ojczyzny” na rzecz identyfikacji z Europą i światem. Między tymi skrajnościami istnieje szeroka gama stanowisk pośrednich, werbalizowanych ostentacyjnie, periodycznie lub okazjonalnie, ale bardzo często nacechowanych emocjonalnie i niekiedy naprowadzających na ślady dramatycznych wyborów: uczestniczenie w dyskursie, skoncentrowanym na poszukiwaniu specyfiki kultury śląskiej paradoksalnie wykorzenia często jego uczestników z domowej i lokalnej tradycji, każe mówić o niej językiem, którego znaczna część rodziny i znajomych nie używa, a niekiedy po prostu nie rozumie.

Po drugie, opowiadając się za perspektywą wewnętrzną, zwolennicy tej opcji w istocie konstruują perspektywę wewnętrzną-zewnętrzną, nie tyle może próbując ekstrapolować zdobytą wiedzę, tradycje domowe i własne doświadczenia lokalne na inne obszary Śląska, ile w tych innych obszarach upatrując wyrazistych a zarazem specyficznych podobieństw, pozwalających myśleć i mówić o całym rejonie jako samoistnej kulturowej całości. O ile jednak Śląsk w takim ujęciu jest trudny do opisu, o tyle analizy wybranych aspektów jego odmienności przynoszą niejednokrotnie ciekawe rezultaty.

Po trzecie, tak rozumiana perspektywa wewnętrzna ma stosunkowo nową proveniencję, jest na etapie wytwarzania własnej tradycji badawczej i własnych sposobów werbalizacji, co sprawia, że jest ona silnie nacechowana emocjonalnie i uwikłana w rozliczne spory, z których część dotyczy moralnego prawa do reprezentacji interesów mieszkańców regionu.

Po czwarte, relatywnie nowe postawy koncyliacyjne, reprezentowane między innymi przez osoby przeświadczone, że jakoś trzeba „odnaleźć się wśród wytworów kultury, która nie jest kulturą wytworzoną rękami naszych przodków” (Tadeusz Zatorski o tłumaczeniu wierszy Eichendorffa przez Martę Klubowicz) spotykają się z rozmaitymi, nie zawsze przychylnymi reakcjami. Wynika to między innymi stąd, że ziemia śląska, oglądana z perspektywy historycznej, była początkowo podzielona na samodzielne księstwa dziedziczne, stopniowo wcielane wskutek rozmaitych przyczyn w skład sąsiednich monarchii: polskiej, czeskiej, austriackiej a później także pruskiej. Rozwój kulturalny tych państw nie był współbieżny czasowo, a organizacja wewnętrzna i jej prawne zaplecze często się od siebie znacznie różniły. Podejmowane po latach próby całościowego traktowania tego wielorakiego dziedzictwa



Pomnik Josepha von Eichendorffa w Raciborzu

bywają traktowane podejrzliwie, chociaż zwolennicy takiego podejścia powołują się na szeroko podzielane przeświadczenie, że kultura śląska jest bardzo bogata i posiada rozmaite źródła tradycji. Nie sposób się z tym nie zgodzić, jeżeli przyjmujemy, że przedmiotem analizy, a zarazem płaszczyzną odwołania jest Śląsk współczesny, leżący w przewodzie w granicach jednego państwa. Jego rodowici mieszkańcy szukają sposobów na pogodzenie tradycji kształtowanych w całkowicie odmiennych warunkach, niekiedy w przeświadczeniu, że jedynie jakaś sformalizowana autonomia jest w stanie rozwiązać wiekami nawarstwione problemy. Kłopot w tym, że o ile w wieku XIX podobne dążenia doprowadziły do powstania państw opartych na post-osiwieceniowej koncepcji narodu, o tyle obecnie nie ma nowych, filozoficznie ukształtowanych podstaw do ewentualnego nowego podziału Europy. Pozostaje zatem anachroniczne naśladownictwo przetestowanych przed dwoma wiekami decyzji i działań. Ich skutki w obecnych warunkach wcale nie muszą być zadawalające i zgodne

z przewidywaniami inicjatorów zmiany, poczynając od ogólnego ekonomicznego rachunku zysków i strat, poprzez podziały rodzinne, indywidualne wybory językowe i deklaracje tożsamościowe. Budzący kontrowersje problem przynależności kulturowej wybitnych twórców z ubiegłych epok też nie zostałby w tym trybie łatwo rozwiązany; żaden naród nie zrezygnuje łatwo z części swojego dziedzictwa. Nie jest to problem wyłącznie śląski, szkocki czy kataloński, dyskusje na ten temat toczono już dawniej chociażby w odniesieniu do tradycji polskiej. Kłopot polega na tym, że o ile dzisiaj fraza „Adam Mickiewicz urodził się na Białorusi i po polsku pisał »Litwo, ojczyzno moja!«” w Polsce budzi raczej uśmiech, chociaż kwestia kulturowej przynależności poety na Białorusi nadal jest poważnie dyskutowana, o tyle fraza „Joseph von Eichendorff był wybitnym poetą śląskim” wywołuje już znacznie większe emocje.

Pytanie o realne możliwości „czynnego, twórczego adaptowania tego spadku po innym, nie zawsze przyjaznym narodzie” postawił w takiej właśnie for-

mie Tadeusz Zatorski, laureat Nagrody im. Karła Dedeciusa (2007) za wybitny dorobek translatorski i działalność na rzecz porozumienia między Niemcami i Polakami. Ale porozumienie takie nie rozwiązuje kwestii tożsamości lokalnej, a nawet przeciwnie – zmierza do wzięcia w nawias tożsamości jednoznacznej na rzecz tożsamości wielokulturowej, budowanej racjonalnie na podstawie wiedzy o przeszłości miejsca, a nie przeszłości grupy.

Tymczasem w dyskusjach o specyfice Śląska, także dyskusjach prowadzonych w domowych zaciszach, pojawia się niekiedy motyw „Śląska dla Ślązków”, motyw dążenia do budowania tożsamości autochtonicznej, identyfikującej jednostkę z grupą, a grupę z miejscem i terytorium. Dla wielu przedstawicieli inteligencji urodzonej i wykształconej na Śląsku taka postawa jest nie tylko przejawem ksenofobii, lecz także sprawia, że kultura lokalna staje się swoistym „gułagiem”, bo serwituty na jej rzecz ograniczają indywidualne możliwości korzystania z dorobku Europy i świata, bo widmo „zdrady swoich”, „zdrady klerków” oznacza zaprzepaszczenie szansy na stworzenie odrębnej, lokalnej kultury na miarę współczesnych oczekiwań, oznacza umocnienie podziałów na „swoich”, w przewadze wiernych tradycjom rodzinnym i zarazem najczęściej pracujących fizycznie bądź tworzących tak zwaną inteligencję techniczną oraz tych, którzy się wyobcowali, których praca nie przynosi namacalnych efektów, którzy potrafią uczenie mówić, czasem coś wiedzą, ale rzadko posiadają konkretne umiejętności.

Jest w tych opiniach sporo obiegowych stereotypów, a te przecież, jako zwerbalizowane uogólnienie społecznych wyobrażeń, także należą do kultury. I tutaj pojawia się problem kolejny, związany nie tyle z definicją, ile rozumieniem tego kluczowego pojęcia. Posługując się słowem „kultura” starałam się używać go w najszerszym sensie, obejmującym sferę przedmiotów, zachowań i idei. Ale byłoby nadużyciem pominięcie faktu, że dla wielu osób kultura to przede wszystkim obszar zainteresowania wyspecjalizowanych organów administracji państwowej, to architektura, malarstwo, rzeźba, literatura, teatr, film, sztuka ludowa, niekiedy sport masowy, to dziedzictwo intelektualne przechowywane w bibliotekach i rozwijane w uniwersytetach, to wreszcie tradycje religijne. Tak rozumiana kultura otrzymuje państwowe dotacje, jest zarządzana, podlega określonym procedurom konkursowym i ewaluacyjnym. Są więc tacy, którzy się na nich znają, i tacy, którzy chcieliby – wychodząc od poziomu amatorskiego – stać się w jakiejś jej dziedzinie profesjonalistami, zdobyć uznanie, sławę, pieniądze i prawo do nazywania się „człowiekiem kultury”.

Jeśli więc mówimy o specyfice kultury śląskiej, to nie sposób pominąć takiego jej rozumienia. I należałoby mieć na względzie, że relacja między „kulturą wysoką”, profesjonalną, a jej postacią popularną w dużym stopniu decyduje o wspomnianej specyfice. Przynajmniej od okresu intensywnej industrializacji i rozwoju szkolnictwa na poziomie elementarnym na Śląsku ludzie zaczęli nie tylko mówić, ale też czytać, a niekiedy pisać w kilku językach, pojawiły się liczne chóry i teatry amatorskie, których repertuar kształtowany przez preferencje członków poszczególnych zespołów przyczyniał się do „budzenia świadomości narodowej” i wpływał na budowanie indywidualnych i zbiorowych postaw tożsamościowych.

Zasięg i popularność ruchu amatorskiego miały jednak dodatkowe znaczenie: była to forma usankcjonowanej obyczajowo edukacji, która najzdolniejszym nie zamykała drogi do profesjonalnego zajmowania się wybraną dziedziną wąsko rozumianej kultury. Była to zatem droga alternatywna, rodzaj rzemieślniczego terminowania, pozwalającego osiągnąć mistrzostwo. Zintensyfikowane zwłaszcza w ostatnim dwudziestolecu zjawisko zarządzania tym ruchem, ujęcia go w sztywne ramy instytucjonalne i uzależnienia od konkursów grantowych praktycznie doprowadziło do całkowitej przemiany jego form, treści i funkcji, a przede wszystkim do odebrania jego uczestnikom poczucia prawa do twórczego, swobodnego przekształcania własnych tradycji. Z jednej strony pojawiło się zjawisko tzw. skansenizacji form tradycyjnych, z drugiej brak zrozumienia, a w konsekwencji i zainteresowania ich specyfiką. Poziom propozycji amatorskich, nawiązujących do lokalnego dziedzictwa, jeszcze niedawno był na Śląsku bardzo wysoki w porównaniu z innymi obszarami Polski. Obmieranie tego obszaru kultury oznacza zerwanie ciągłości z żywą tradycją, traktowaną jako tworzywo do indywidualnej, artystycznej twórczości. Przejęte z tzw. „kultury wysokiej” kryteria oceny tych propozycji – w myśl zasady, że teatr, literatura czy rzeźba może być albo dobra, albo zła – wywołały falę zniechęcenia bądź zainspirowały próby ambitnego przekształcania niektórych przynajmniej zespołów tanecznych w „Śląsk”, a muzycznych w filharmonię. Zorganizowany ruch amatorski, podporządkowany profesjonalnym instruktorom coraz szybciej rezygnuje z tego, co było w nim ważne: ze spontaniczności, entuzjazmu twórczego, a nade wszystko rzeczywistego zakorzenienia w tradycjach lokalnych. Tym samym rodzima kultura śląska traci jeden ze swoich ważnych filarów.

Ruch amatorski, zwłaszcza teatralny, przyczyniał się też do utrzymania licznych odmianek lokalnej mowy. Próby kodyfikacji, podejmowane w intencji równouprawnienia godki i przyznania jej statusu języka są prowadzone w perspektywie zwolenników postrzegania Śląska jako specyficznej kulturowo całości. Usankcjonowana prawnie, wyrazista odmienność językowa byłaby tego praktycznym, ale i teoretycznym uzasadnieniem. Takie kodyfikacje, do jakich na szeroką skalę dochodziło w wiekach XVI–XIX i które doprowadziły do ukonstytuowania się europejskich języków narodowych, a zwłaszcza ich wariantów literackich, wdrażane były powoli i dotyczyły społeczności rozproszonych terytorialnie. Dzisiaj, gdy nie tylko bliskość sąsiedzka, ale i przede wszystkim odmienne kanały komunikacji sprawiają, że ludzie kontaktują się częściej w sposób upośredniczony niż bezpośredni, skodyfikowany język jest niezwykle przydatny, ale wówczas trzeba przystać na to, że tym samym niszczy się wielowiekowe odrębności różnych jego odmianek. Być może fascynacja tym, co nazywane bywa folklorem śląskim, oznacza odśrodkową tendencję do utrzymania wartości ważnych z perspektywy lokalnej, ale już niekoniecznie regionalnej.

I wreszcie kwestia ostatnia, ale kto wie, czy nie najważniejsza: położenie geograficzne Śląska, jego zmienny historycznie podział administracyjny i przynależność państwowa mogą być czynnikami drugorzędymi wobec kryjących się pod ziemią bogactw naturalnych, które sprawiły, że od przełomu XVIII i XIX wieku zaczęła kształtować się na tym obszarze cywilizacja przemysłowa. Industrializacja zasadniczo zmieniła typ kultur lokalnych na Śląsku, upodobniła je do innych kultur przemysłowych, funkcjonalizując język codzienny, kształtując nawyki, przyzwyczajenia i reguły zachowania, które sprawiły, że przez długi czas mieszkańcy tych terenów próbowali integrować się przede wszystkim sami z sobą. Niektórzy tę potrzebę osobności zachowali do dzisiaj, ufając w siłę tradycji i samodzielności ekonomicznej. Inni podkreślają, że Śląskowi przypadł w udziale los pioniera cywilizacji przemysłowej, którym rejon stał się na długo przed tym, zanim w innych obszarach Europy w pełni wykorzystano kulturowy potencjał wynikający z systematycznego i powolnego urbanizowania terenów rolniczych, budowania szlaków komunikacyjnych, sieci szkół i uniwersytetów itd. Wydaje się, że właśnie rewolucja przemysłowa, przerywająca rozwój ewolucyjny i wymuszająca przyspieszoną adaptację do nowinek cywilizacyjnych sprawiła, że mieszkańcy Śląska miewają problemy z dookreśleniem własnej tożsamości.

Ale może nie są to jedyne przyczyny dzisiejszych „kłopotów z kulturą”. ■

Marta J. Bąkiewicz: Naszą rozmowę rozpocznę od słów Czesława Miłosza: „Gdziekolwiek wędrowałem, po jakich kontynentach, zawsze twarzą byłem zwrócony do Rzeki”. Jakie znaczenie mają te słowa w kontekście Pana związków z Odrą?

Janusz Wójcik: Rzeka, rzeki – mają dla mnie bardzo duże znaczenie, podobnie jak dla wspomnianego noblisty Czesława Miłosza. Dla niego był to pierwszy widok z rodzinnego domu w Szetejniach na Niewiażę, utrwalone literacko-biograficzne spojrzenie w *Dolinie Issy*. Również dla mnie rzeka była zawsze bardzo ważnym medium. Urodziłem się we Wrocławiu – śląskiej Wenecji, czyli w mieście posadowionym na głównym nurcie Odry, jej licznych odnogach i kanałach. W dzieciństwie Odra była dla mnie miejscem odkrywania świata przyrody. Przez całe wakacje mogłem siedzieć nad nią i nad jej starorzeczami z wędką i spoglądać w toń wody. Do szkoły średniej uczęszczałem w Opolu, gdzie pejzaże Odry mijanej kilka razy dziennie, następnie studia we Wrocławiu, a po nich praca w Opolu i wreszcie podróże do źródeł Odry na Zaolziu, gdzie miałem wielu przyjaciół – pisarzy, poetów, animatorów kultury. Wędrówki w dorzeczu Olzy i Odry, począwszy od górskiej Łomnianki, w Sałajce, Górnej i Dolnej Łomnej, po kamiennie-skaliste koryta Olzy w Nawsiu.

MB: Odra towarzyszyła Panu nieustannie w różnych momentach życia. Czy z perspektywy czasu dostrzega Pan miejsce tej rzeki w (Pana) przestrzeni pamięci?

JW: Gdy człowiek spogląda z odległej perspektywy czasu, odchodzącego za pewien Rubikon, za widnokrąg, to rzeka staje się dla niego wyrocznią, punktem odniesienia. Przychodzą na myśl odwieczne pytania filozoficzne o upływ czasu (por. Heraklit), o sens naszego istnienia. Rzeka staje się swego rodzaju zwierciadłem, w którym odbija się nasze własne życie, ale spoglądamy również wstecz, na wydarzenia z przeszłości i losy poprzednich pokoleń. Taką rzeką-zwierciadłem była dla mnie zawsze Odra, wciąż obecna w moim życiu: prywatnym, społecznym i zawodowym. Ze względu na wspomniane zamiłowania wędkarskie – bardzo często spędzałem wiele dni w samotności. To był dobry czas na rozmyślenia, wyciszenie, na spojrzenie w lustro wody jak w magiczne zwierciadło. Bardzo często przebywałem z wędkami pod namiotem na łonie przyrody, z dala od ludzi, w samotności albo czasami z kolegą, już nieżyjącym Cezarym Czternastkiem, jednym z najwybitniejszych polskich bluesmenów i skrzypków przełomu lat 80. i 90.; tak więc spędzaliśmy wiele dni i nocy pod gwiazdami nad starorzeczem Odry, gdzie podczas nocnego wędkowania towarzyszyły nam w ciemnościach sarny, lisy, jeże i puchacz. A w toni wody oświetlonej lartarką raki i oślepienie ryby – podwodny



Janusz Ireneusz Wójcik

Tropy kultury nad brzegiem Odry

Marta J. Bąkiewicz w rozmowie z JANUSZEM WÓJCIKIEM

mikrokosmos. To była przestrzeń takiego *katharsis*, oczyszczenia, kiedy można było uciec od zgiełku świata i usłyszeć własny głos, a także ten głos, który mówił do nas z głębokiego nurtu rzeki.

MB: W jaki sposób odkrywał Pan palimpsestowy charakter swojej „małej ojczyzny”?

JW: W połowie lat 80. wielu poetów związanych z Dolnym Śląskiem, powracających ze studiów do swoich małych miast, zaczęło podążać tropem wielokulturowej historii tej ziemi; odkrywano, że każdy kamień w dolnośląskim czy opolskim miasteczku ma własną historię – historię związaną z czasami piastowskimi, ale także późniejszymi okresami państwowości czeskiej, habsburskiej, pruskiej, niemieckiej. Odkrywaliśmy to poprzez poszczególne postacie związane ze Śląskiem, poszczególne historie, zdarzenia. Niemal magiczne imiona barokowych poetów m.in. – Angelus Silesius, Czepkius, Scherfferus, wpisujących się w nadodrzański pejzaż. Schodziliśmy wówczas do sztolni odległej historii. Chcieliśmy przenikać tajemnice, które Odra skrywała pomiędzy swoimi brzegami, w mętym nurcie swoich dziejów, odsłaniając tylko na chwilę sekrety, kiedy opadała podczas suszy wysoka woda. Rzeka jest jak biologiczny zegar odmierzający czas, który nie powróci, daje możliwość, żeby spojrzeć w głąb siebie, żeby zastanowić się nad tymi kardy-

nalnymi pytaniami: skąd przychodzimy, dokąd idziemy? – które wydają się banalne, tyle razy je powtarzano w kontekście filozoficzno-kulturowym, ale w wymiarze indywidualnym, osobistym są ostateczne i niepowtarzalne.

MB: W roku 1945 rzeka Odra dla ludności napływającej m.in. z Kresów Wschodnich do Polski, na Ziemię Zachodnią, była istotnym elementem w procesie zapuszczania korzeni nad Odrą. Stanisław Srokowski w jednym ze swoich artykułów pięknie ujął znaczenie rzeki dla osadników, pisał, że wówczas „Odra nie była tylko nazwą geograficzną. Była stanem umysłu. Ale też była zagadką, niespodzianką, potworem wykreowanym w ludowej wyobraźni”.

JW: Ci, którzy przyjechali na Śląsk z Kresów południowo-wschodnich – głównie z trzech przedwojennych województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego – byli związani z rzekami, jednak pejzaż tych rzek, np. Prutu, był nieco inny niż Odry. Odra to rzeka nizinna, która wolno płynęła przez tutejsze tereny, a osadnicy przywozili wspomnienia rzek, które spływały z Karpat. Szukali zatem w tym krajobrazie jakichś punktów wspólnych, czegoś, co by im przypominało dawne miejsca zamieszkania, dawnego pejzażu, dlatego Odra pełniła tak ważną rolę. Jednak pejzaż nadodrzański w latach 1945–1946 to nie była

tylko sielanka, ale także zerwane mosty, spływające ślady walk, zniszczeń wojennych, ludzkich tragedii. Tak więc Odra jawiła się przybyszom jako raczej różna i obca. Ci osadnicy to byli ludzie, którzy jeszcze przez wiele lat po wojnie żyli nadzieją na powrót do Lwowa, do Stanisławowa, do Tarnopola. Roman Kołakowski – poeta i pieśniarz współpracujący z Lotharem Herbstem – śpiewał wtedy w swojej przejmującej pieśni *A Lwów to dla mnie zagranica*: „w polskim Wrocławiu niemieckie drzewa”.

MB: W poetyckim cyklu pt. Magiczne Miasto pisze Pan o zakorzenieniu nad Odrą: „Drzewiej / na brzegu Odry / mieszkańcy osady / ujrzeli kotwicę”. Jak należy dzisiaj odczytywać znaczenie tych wersów?

JW: Ich znaczenie jest związane przede wszystkim z osadami i miastami na tej ziemi. Rzeka była ciągiem komunikacyjnym, dawała ludziom żywność, powstawały całe osady rybackie, które utrzymywały się z połowu ryb. Tak było w historii magicznego miasta, czyli Brzegu, który nazywał się jako osada najpierw Wysoki Brzeg, później z łaciny *Alta Ripa* – ludzie najpierw znajdowali schronienie na wysokich brzegach rzek, które chroniły ich przed powodzią, a z drugiej strony mieli podstawowe źródło utrzymania, czyli po prostu rybołówstwo. Z czasem wokół tych osad zaczęły powstawać grody, miasta, bo rzeka stanowiła często główną oś komunikacji, handlu.

MB: Czyli Odra jako krajobraz kulturowy?

JW: Ja postrzegam ją jako swoistą wstęgę czasu, pewien symbol, który łączy nas w podróży przez wieki, gdzie możemy płynąć wzdłuż licznych tropów kulturowych stanowiących kamienie milowe na tej drodze polskiej, czeskiej, niemieckiej, austriackiej, powiedziałbym nawet, że i włoskiej, bo w Brzegu swego czasu funkcjonowała duża kolonia Włochów i nawet wydawano dla nich gramatykę, żeby mogli poznać miejscowy język. Tych wpływów kulturowych jest bardzo wiele wzdłuż Odry, od jej źródeł pod Ostrawą poprzez Chałupki, Bohumin, gdzie mamy polsko-czeski styk kulturowy, później w stronę Raciborza (pierwszy ważny gród z historią średniowieczną); dalej Opole, grody, zamki, które powstały na Ostrówku, na wyspie Pasiece; następnie Brzeg, Oława, Wrocław... z nurtem Odry, mijamy wiele pejzaży kulturowych, historycznych, a przede wszystkim – w nawiązaniu do tej miriady potoków, strumieni, rzeczek, rzek – każdy z nich możemy potraktować jak historię jakiejś miejscowości, splątane historie poszczególnych ludzi uwikłanych w różne dramaty dziejowe, bo Śląsk był ziemią graniczną, gdzie władza, państwowość, język, kultura, zmieniały się w miarę upływu czasu.

MB: Mówiąc o Odrze jako rzece przepływającej przez różne krajobrazy Śląska – ziemi pogranicza – czy zdaniem

Pana zmieniała się funkcja Odry wraz ze zmianą granic państwowych?

JW: Powinniśmy wziąć pod uwagę, że na przestrzeni wieków zmieniały się granice państwa polskiego – kto by pomyślał sto lat temu, że będziemy rozmawiać w dawnym Opolu, dzisiejszym Opolu, przez które Odra przepływa nie jako rzeka graniczna? Na tym odcinku płynie ona niemal przez środek Polski, a nasze dawne rzeki, takie jak Prut, Dniestr, Wilia, Niemien, są daleko poza obecnymi granicami polskiego państwa. Tak więc w związku z tym, że granice polskiej państwowości się zmieniały, również funkcje Odry ulegały zmianom. Odra, Odera, Silesia, Śląsk, Slezsko, Schlesien... pojęcia posiadające różne znaczenia na osi czasu.

MB: W wydanym w roku 1977 przez Komisję Odry Instytutu Śląskiego w Opolu zbiorze reportaży pt. Sentymenty i gospodarcza konieczność. Reportaże o Odrze w tytule jednego z reportaży Odra nazwana jest „Jej Wysokość Wicekrólowa”. Czy są jeszcze inne obrazy związane z Odrą?

JW: Bardzo piękne określenie, jest w nim pewna majoryzacja wizerunku rzeki, która jest postrzegana jako szmaragdowa wstęga, chwalona o poranku i o zmierzchu śpiewem ptaków, ale pamiętajmy, że to jest wyidealizowany obraz. Odra miała w swojej historii bardzo trudne okresy, bywała zatrzuta, była cuchnącym ściekiem przemysłowym, w którym ginęło życie biologiczne, i miało to również wpływ na życie – nie tylko biologiczne – ludzi, którzy zamieszkiwali jej brzegi, na ich sposób myślenia. Zatruta woda, zatrute powietrze, zatruta rzeka – to miało poważne konsekwencje dla ich kondycji psychicznej i zdrowotnej. Całe szczęście, że Odra, że spacer nad Odrą jest już innym spacerem niż jeszcze trzydzieści czy czterdzieści lat temu, kiedy rzeką płynęły strzępy brudnej piany, plamy ropy, benzyny. Dzisiaj możemy tutaj, spacerując wzdłuż Odry, delektować się widokiem tej rzeki, która skłania nas raczej do refleksji literackich niż do ekologicznych wynurzeń na temat stanu przyrody.

MB: To prawda, Odra budzi skojarzenia nie tylko idylliczne. I tak po powodzi w 1997 r. napisał Pan wiersz pt. Wieża, animizując rzekę, postrzegając ją w momencie powodzi jako „chińskiego smoka” albo „morski[a] potwór[ę]”. Jak zapamiętał Pan tamten czas spędzony na wieży ratusza w Brzegu?

JW: Na mnie to wydarzenie wywarło bardzo duży wpływ, stanowiło doświadczenie człowieka znajdującego się w oku cyklonu. Tak się złożyło, że na początku lat 90., ćwierć wieku temu, założyliśmy studio Polskiego Radia Opole w Brzegu, w renesansowym ratuszu pod wieżą ratuszową. To studio, które relacjonowało życie społeczne i kulturalne miasta, nagle okazało się niezwykle potrzebne w czasie tej najwyższej próby, czyli powodzi z 1997 roku,

kiedy tu, na Śląsku, nie do końca zdawało sobie sprawę z grozy tego, co się dzieje, że te olbrzymie masy wody, które spływały z południa, z pogranicza polsko-czeskiego, to nie jest już zwykła wiosenna powódź, która jak co roku zaleje poldery, ale że to jest nieokiełzany żywioł. To było niesamowite, że ja na tej wieży, która miała za sobą tyle wieków historii i była świadkiem wielu powodzi i różnych katastrof spadających na Brzeg, Opole i na cały Śląsk, sam jestem świadkiem kolejnej tragedii, spoglądałem przez lunetę i widzę aż po horyzont olbrzymie masy wody, z którą płynie wszystko: zmiatające z powierzchni ziemi cmentarze, zręby lasów, padłe zwierzęta gospodarskie, ludzie na pontonach, nie wiadomo, czy szukający ratunku, czy okazji do grabieży mienia pozostawionego w domach zalanych po drugiej stronie rzeki. Przychodzi olbrzymi żywioł i wobec tego żywiołu wszyscy są bezradni, na skraj paniki, skłonni do irracjonalnych reakcji. To była taka próba wody, próba czasu, próba ludzi w sytuacji ekstremalnej. To wywarło na mnie przemożny wpływ. Żeby utrzymać łączność, musiałem na wieży ratusza operować jednym z nielicznych wówczas telefonów komórkowych. Ale właśnie ten telefon stał się nagle medium, dzięki któremu utrzymywałem łączność z całym światem, bo kiedy Opole zostało zalane i potężne masy wody przesuwały się w stronę Wrocławia, to dzięki moim znajomościom z poetami, z panem doktorem Lotharem Herbstem i Robertem Gawłowskim, którzy pracowali wtedy w rozgłośni Radia Wrocławskiego, wchodziłem na żywo z wieży ratusza i podobno, jak mówili koleodzy, jako pierwszy ostrzegłem Wrocław, że to jest kataklizm, że to jakaś niewyobrażalna masa wody, nie zwykła wiosenna powódź, tylko tragedia, przed którą staną za dwa, trzy dni. No i ze względu na to, że numer tego telefonu komórkowego był polski, zdarzało się, że ludzie dzwoniли z Australii, ze Stanów, żeby się dowiedzieć, co się dzieje z ich bliskimi. Dzwonili też radiowcy z ogólnopolskich rozgłośni, w których słyszano mnie na żywo – dziennikarza Radia Opole na antenie Radia Wrocław. Stąd u mnie te porównania do chińskich smoków i odwołania do kataklizmów, które spadły na Śląsk, jak w 1241 roku najazd Mongołów, dlatego porównywałem powódź do tej hordy, która napadała na Europę, tak mi się to skojarzyło, to zjawisko, jego skala i bezradność poprzednich mieszkańców Śląska w czasach średniowiecza, które bardzo lubię, bo z tego czasu pochodzi powiedzenie *Lux ex Silesia, Swiatło ze Śląska*. Takie były moje doświadczenia z dwóch czy trzech tygodni spędzonych noc i dzień na ratuszowej wieży w Brzegu, gdzie zdołałem utrzymać łączność radiową i przekazywać informacje dla radiosłuchaczy i powodzian dzięki krótkofalówce, nawet wtedy kiedy pałała sieć telefonii cyfrowej.

MB: W opowiadaniu Günтера Grassa pt. Das Treffen in Telgte (1979) pisarze wyruszają z zamku w Brzegu, natomiast z Pana inicjatywy poeci z różnych krajów od 27 (30?) lat odwiedzają Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, aby rozmawiać o literaturze i kulturze w duchu przyjaźni. Proszę opowiedzieć o kulisach tej literackiej inicjatywy.

JW: Wspominałem o moich koneksjach wrocławskich. We Wrocławiu studiowałem, wiele zawdzięczam Mariannie Bocian, Lotharowi Herbstowi, wybitnym poetom, literatom tego miasta, osobom, które odcisnęły swoje piętno w sposób znaczący na polskim życiu kulturalnym lat 70. i 80. Zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić, żeby przywrócić tradycję literacką na Zamku Piastów Śląskich. Zamek był w XVI wieku, za czasów księcia Jerzego II, miejscem słynącym z turniejów poetyckich, oratorskich, głównie za sprawą żaków z Gymnasium Illustre Bregense, a warto podkreślić, że było ono miejscem tolerancji religijnej, że przedstawicielem polskich rodów szlacheckich, magnackich, w tym rodów innowierczych wysyłali tam swoich synów, żeby mogli się kształcić w czasach kontrreformacji, bardzo trudnych dla innowierców na terenie Korony Polskiej. I tam sztuka słowa, sztuka oratorska, sztuka poetycka stała na bardzo wysokim poziomie. Zresztą najlepsi poeci barokowi, a wcześniej także renesansowi tworzyli na tym dworze, na tym zamku. Na twórczość barokowych poetów otworzył mi oczy skrypt akademicki profesora Szyrockiego z 1957 roku. Odkryłem wówczas Opitzę, Fryderyka z Łagowa, Schefferusa, Lohensteina; w tekstach tych nadwornych barokowych poetów oprócz ich zobowiązań wobec władcy-mecenasu można było odczytać wiele pięknych rzeczy, świadectw czasu, związanych również z rzeką z Odrą, z kataklizmami, które spadały na Śląsk. Były w tej poezji przerażające obrazy wojny trzydziestoletniej, ale również świadectwa najpiękniejszych tradycji przyjaźni kulturowych, polsko-niemieckich, ponieważ wielu z tych barokowych poetów Polska jawiła się jako Sarmacja, jako obrońca Europy przed Turkami; był to motyw często występujący w inwokacjach do dłuższych form dedykowanych temu czy innemu księciu. W dobie baroku polsko-niemieckie relacje kulturowe, literackie były bardzo interesujące i zawsze twierdziłem, że mogą być dobrym pomostem dla powrotu do źródeł.

Günter Grass wspominał, że z tego zamku wyrusza młody Johannes Schefler, późniejszy Angelus Silesius, i jak sądzę, takim poetą starszego pokolenia, którego on znał i od którego zaczerpnął krótkie formy poetyckie w *Cherubowym wędrowcu*, był Daniel Czepko, czyli Czepkius. Oni właśnie z Brzegu wyruszają na spotkanie w Telgte i Günter Grass nie wie, że na tym zamku, z którego wy-

ruszają bohaterowie jego fikcji literackiej, od 1990 odbywają się zjazdy poetów z całej Polski, Europy, niemal z całego świata. Zdarzało się, że nawet 50, 70 poetów z różnych stron świata bywało na zamku. Przyjeżdżali, żeby w Brzegu rozmawiać o języku poetyckim nieco szerzej, w wymiarze bardziej uniwersalnym, dotyczącym nie tylko języka niemieckiego, ale wszystkich kręgów kulturowych, artystycznych, religijnych i światopoglądowych obecnych na Najeździe Poetów, na śląskim Wawelu, nad brzegiem Odry.

MB: Literatura łącząca narody – piękna idea przyświecająca rokrocznym spotkaniom poetów na nad Odrą.

JW: Tak. Myślę, że podkreśla Pani ważną cechę tych spotkań poetów. Aspekt wspólnotowy był zawsze dominujący; budowanie wspólnoty ludzi ponad barierami kulturowymi, religijnymi, narodowościowymi, znalezienie przestrzeni dialogu związanego z wartościami, które są nam bliskie – i te wartości niesie literatura. Ona jest dla nas matczynikiem, w którym możemy wszyscy ponad granicami, ponad podziałami, ponad stereotypami stanąć wobec siebie i w zupełnym innym świetle spojrzeć na siebie jako na ludzi, twórców, osoby, które powinny odgrywać ważną rolę w budowaniu mostów, w budowaniu dialogu.

MB: Jest Pan osobą zaangażowaną w zbliżenia między kulturami i językami.

JW: Bardzo bym chciał, żeby tak było, żebym mógł po sobie zostawić ślad na brzegu Odry. Łączyć ponad podziałami, budować wspólnotę ludzi myślących, ludzi dobrej woli, którzy spoglądają na przyszłość w kontekście odpowiedzialności za dobro wspólne, w perspektywie wielu lat, a nie tylko na czubek własnego nosa.

MB: Jak Pan ocenia dzisiejsze polsko-niemieckie relacje?

JW: Trzeba mieć świadomość, że oprócz tragedii wojen światowych, które pamiętamy i powinniśmy pamiętać, były takie okresy w historii relacji polsko-niemieckich, które mogą nas inspirować do budowania czegoś nowego, wartościowego, na innych filarach niż na traumie drugiej wojny światowej. Europa zmienia się na naszych oczach, widzimy, jak pewne demony odżywają; trzeba przypominać ludziom o tym, jak ważne są porozumienie, dialog o tym, czego, jak się zdaje, współczesna Europa nie docenia. Kto spośród młodych pokoleń ceni dziś tak wielki dar jakim jest pokój na kontynencie? Bierność w tej materii to wydanie wizji pokojowej, praworządnej i dostatniej Europy, na którą pracowało tak wielu wspaniałych ludzi, tak wiele pokoleń, na rzecz demagogów, oszustów politycznych, którzy w imię swoich urojeń o władzy absolutnej, dyktatorskiej, gotowi są podłożyć ogień pod naszym domem.

MB: Dokonania których postaci – Pana zdaniem – są istotne dla zrozumienia specyfiki Śląska?

JW: Skoro rozmawiamy tu nad brzegiem Odry, w Opolu, to na pewno powinniśmy powiedzieć przede wszystkim o Edmundzie Osmańczyku. O Polaku, który był obywatelem III Rzeszy, który wolnej Polski nie znał, ale tęsknił do niej jako rodak, członek Związku Polaków w Niemczech, pomysłodawca i współprojektant znaku Rodła – nie godła, nie herbu, ale symbolu narodowego, który obrazował bieg rzeki Wisły z zaznaczoną starą królewską stolicą w Krakowie. Tutaj właśnie w 1935 roku Osmańczyk wydał swój debiutancki tomik poetycki *Wolność jest słoneczna*, z nim chodził po Opolu. W tamtych czasach raczej trudno było doszukiwać się tej słonecznej wolności poza wizją Poety, bo były to czasy, które stawały się coraz bardziej brunatne, po dojściu Hitlera do władzy, kiedy zamierzeniem ideologów ruchu nazistowskiego było zatarcie tutaj jakichkolwiek śladów słowiańskich i polskich. Najlepszym dowodem tego była odpowiedź ze strony polskiej, kiedy wojewoda Grażyński wysłał tu, nad Odrę jednego z największych literatów II RP, Stanisława Wasylewskiego, żeby dał świadectwo polskich korzeni na Śląsku Opolskim. Zbiór jego esejów czy reportaży z pobytu na Śląsku opolskim ukazał się w Instytucie Śląskim w Katowicach w 1937 r. Wasylewski, jeden z najbardziej znanych pisarzy II RP, laureat Złotej Wawrzyny Akademickiego Polskiej Akademii Literatury, urodzony w Stanisławowie, związany później z Poznaniem, gdzie zaraz po wejściu hitlerowców gestapo zaczęło go poszukiwać, jest równie ważny w związku z Odrą, ponieważ to on naszkicował tę odpowiedź z polskiej strony, dał świadectwo przywiązania mieszkańców wsi i miasteczek prawobrzeżnej części Odry do języka polskiego i do kultury polskiej. To właśnie zostało opublikowane we wspomnianym zbiorze *Na Śląsku Opolskim*, gdzie pojawia się również Odra. Pragnę zwrócić uwagę na język tego zbioru; jest to przepiękna, wysmakowana i erudycyjna polszczyzna pisarza (dr Adam Wierciński z UO – nazwał go „dyskretnym erudyta”), który zajmował się głównie powieściopisarstwem historycznym, ale był zarazem jednym z największych talentów języka polskiego. Pozostał w nadodrzańskim pejzażu, kiedy prowadził po wojnie badania archeologiczne na Ostrówku, o których pisał młody utalentowany doktor historii opolskiej WSP – Stanisław Sławomir Nicieja – późniejszy długoletni rektor UO, budowniczy Wzgórza Uniwersyteckiego. Dziś Stanisław Wasylewski, spoczywający na opolskiej nekropolii na Półwsi jest dla Opola znakiem czasu, kamieniem milowym kresowem dziedzictwa na Śląsku, wpisującym się na brzegu rzeki w przedziwne losy rzeki i ludzi, połączonych na wieki wstęgą Odry.

MB: Dziękuję Panu serdecznie za rozmowę.
Opole, 04.11.2017

Familoki i Montownia Smaku

obserwował
ścianę w białobłękitne pionowe pasy,
świerk syberyjski tuż za otwartym oknem,
krótkie spódniczki młodych kobiet trajkoczących
po angielsku, globus na parapecie, różowe goździki
w szkle i lilie, wszędzie lilie, puffy, zmysłny parkiet,
dziesiątki lampek. Słyszał cichą muzykę, modną, klubową

pamiętał,
że na familokach były huśtawki,
wisały na hokach w futrzinach dwiryzi.
Tam obsmarkane Lodzie i Francki, czekając na
powrót taty (montował szole, potem robił za byglajtra),
furgaly pod ordeki, nigdy dalej. Linia familoków wyznaczała
granice, powyżej której nie podskoczą. Wydawało się. A teraz

patrzył
w lokalu Montownia
Smaku na wnuczkę Łodzi,
kiero była cerom łód Ciski, żony
tamtego montera, jak jednocześnie, płacąc
kartą, rozmawia przez telefon i całuje w policzek wysokiego
latynosa, zarzucając na ramię żeglarski worek z nadrukiem reserved

wiedział,
że za kilka lat ich syn wsiądzie na własny
rollercoaster i nie zatrzyma się aż na krótko w czwartym
związku. Platforma wiertnicza na Morzu Północnym będzie mu
huśtawką i grubą a życie nieskończonym montowaniem nieprzystających
do siebie kawałków i byglajtrowaniem możniejszym. I wyrwaniem korzeni.
I wszystkiego z korzeniami.

Lublin – Pszów, 29 maja 2019 r. – 11 lutego 2020 r.

Teduś

kiedy umierał był jeden z tych pierwszych dni marca,
które nie należą do żadnej pory roku, jakby były
stawem wyłamanym z kości. Już nie zima, jeszcze nie
wiosna, brak jakichkolwiek znaków powrotu życia.
Nagie, suche badyle czarnego bzu, kurz w powietrzu,
kilka stopni powyżej zera, zimny wiatr, za wcześniej
na krokusy, powietrze bez zapachów, bez marzeń.
W każdym razie: natura trwała w swojej zwykłej
obojętności. Miał 72 lata a było to 44 lata temu.
Matylda miała go przeżyć o 7 lat, w sam raz by jeszcze
modlić się na mojej prymicyjnej Mszy. Starzik Teduś
był dla mnie człowiekiem nieodgadnionym. Żyliśmy
razem na tym świecie 22 lata. Jako dziecku mówił mi
w chwilach czułości dziubel. Była to bodaj ksywa jego
dawnego kumpla. Starzik był powstańcem, życie miał
ciężkie, z przemożnym smutkiem w tle. Na ile udane
– nie wiem. Podczas mszy niedzielnych zabierał mnie
na kościelny pawłacz, jak się u nas mówiło, skąd pszowski
świat drugiej połowy lat pięćdziesiątych XX wieku w moich
czteroletnich oczach wyglądał nadzwyczajnie. Miał obok łóżka
Rapsodię, radio z zielonym rybnym okiem. Kręcił gałką
często i cierpliwie podczas długich lat choroby. Kiedy
o nim myślę, wiem, że musi być Bóg, by ocalić takich
jak on: bez biogramu w słownikach, z niepojętym
cierpieniem, z wieloraką biedą, z nieuleczalną tęsknotą,
pokiereszowanym przez historię życiem. Przyjmij go,
Panie, do domu, w którym mieszkań wiele. Niech tam
na mnie czeka Teduś.

Pszów, 3 marca 2019 r.

Panama na Śląsku

Księdzu Wojtkowi Iwaneckiemu

zęby mrozu zewnątrz, wielki huk
wewnątrz, trzy tysiące młodych
skacze w hali Jastrzębskiego Węgla
a Twój tron wznosi się nad ziemi krąg
memu Bogu będę śpiewał jak długo
będę żył, Jemu grał, póki starczy mi sił

cóż bowiem takiego rzekł Dawid,
„tańcząc z zapałem w obecności Pana”
ubrany w lniany efod? Otóż to:
„Przed Panem będę tańczył.
I upokorzyłbym się jeszcze bardziej”

ze wszystkich tylnych kieszeni spodni
nastolatków wystają smartfony
zielone światła omiatają halę, nad nią
Oko Opatrzności i staje się jasne,
że oni tej wojny nie wygrają

moje narzekanie Ty zamieniasz w taniec
świat i życie są łąką, Pan pasterzem,
ciemna dolino, ciemna dolino,
nie ulęknię się ciebie, dolino,
dolino ciemna, śpiewają
Adonai, Adonai. Dziewczyńy

tańczą jak w Puerto Rico, jak w Panama.
Zła się nie ulęknię, bo Ty jesteś ze mną
stroboskopy, fluorescencja, dym, błękit, złoto,
łomot, chwała i cześć, Tobie chwała i cześć

oni tej wojny nie wygrają.
Tę wojnę wygrają pokorni, bo
biedak zawołał i Pan go usłyszał
i będę wielbił Boga w każdym czasie.
I saksofon świdruje, przewierca tę noc

zrobię cokolwiek mi powiesz, śpiewają,
mocne, najmocniejsze bity idą teraz

mówię tak, mówię tak
nie bój się, nie bój się

Jastrzębie Zdrój, 27 stycznia 2019 r.

Kto to posprząta?

chudzi, odstające uszy,
coś w czubie, bodaj dopalacze,
rapowali czarną nocą wrześnieją:
ma alzheimera twoja stara
twoja stara ma alzheimera
i rak ją zżera.
Mieli po 15 lat.

Ich pradziadków zżerał
stalinizm, PRL, jej mała stabilizacja
i akord wyścigowy na grubie.
Ich dziadków zżerała rewolucja 1968,
środkowy Gierek, pigułka, aborcja
i planowe niedziele na grubie.
Ich rodziców zżerała MTV,
transformacja i likwidacja grubu.
Wszystkie te trzy pokolenia
zżarł stan wojenny. Pierwszym zabrał resztki
złudzeń, drugim godność, trzecim dobranocki.
Ich zżera FB, porno – i patostreaming.

Kto to posprząta? I jak?

Czytam tej czarnej nocy wrześniejącej
w brewiarzu słowa świętego Tomasza:
„aby nie zwątpić o swojej wartości,
pijcie Krew, która jest ceną waszego zbawienia”.

Na następnej stronie:
„Tyś dla nas ucieczką z pokolenia na pokolenie,
Twoja wierność z pokolenia na pokolenie”.

Pijcie Krew z pokolenia na pokolenie

Pszów, 18 czerwca, 5 września 2019 r.; 2 marca 2020 r.

Plebiscytowa

nocą,
po całym dniu pisania
nareszcie coś czytam, idąc
Plebiscytową:

Twój Vincent
(afisz na ścianie Rialta).
Wchodząc do sklepu po 22.00,
bezwzględnie zdjęć kaptur
(na drzwiach Żabki).
Żabskie psy (podpis: Ruch 1923).
Iopi hostel.
Bellano.
Lokal do wynajęcia.
Studio paznokci.
6 win.
Beatko wróć do mnie!
Lokal do wynajęcia.
Soli Deo honor et gloria
(na tympanonie katedry).

Chwała Bogu,
że żyję w kraju, którego
premier pięć dni temu tymi samymi
słowami zakończył swoje sejmowe
exposée: na chwałę Bogu.

Lokal do wynajęcia,
lokal do wynajęcia,
jakiś chłopak kłnie,
jakaś dziewczyna płacze,
lokal do wynajęcia.

Odkładam różaniec, wracam do
pisania i zapisuję co wyczytałem
grudniową nocą, idąc
Plebiscytową

Katowice, 17 grudnia 2017 r.

Epitafium dla Anny

kiedy Ferdinand Friedrich August Fritze,
rybnicki aptekarz, 28 lipca 1832 roku
zgłaszał twoje narodziny
w Królewskim Górnośląskim Urzędzie Górnicy
w Tarnowskich Górach,
dzieje pszowskiej ziemi
wstrzymały oddech.

Wydech nastąpił po 180 kilku latach.

W lutym, w lipcu, w deszczu, potykając się,
chodzę bezradny po twoich zgłiszczach.
Wydarto ci wszystko, co było w twoim łonie.
Szolę po szoli, wagon po wagonie, bryłę po bryle.
Podobno niszczyłaś płuca, domy i krajobraz.
Zabijałaś ludzi. Ale czy moja ziemia bez
ciebie może swobodnie oddychać?

Jak bez ciebie żyć?

Został po tobie czarny muł, kalekie
wzgórza, gruzowiska, pamięć katastrof,
obraz świętej Barbary z cechowni, parę
fotografii, lej w miejscu szybu, ziemia
osierocona, biedniejsza, cichsza. Pustka.
Na twoich nagrobnych płytach napisano:
„Nieruchomość na sprzedaż”.

A w bazylice Jan Wincenty Hawel dyryguje

muzyką norweskiego baroku, smyczki
dławią się sobą, nie nadążają za własną maestrią.
Madonna słucha ze zwyczajnym w tym miejscu
uśmiechem, którym mówi: pod moim płaszczem
nie zginiecie, ani wy, ani moja Anna. Zobaczycie.
Nie na darmo to imię mojej Matki.
I runęła na nas ściana dźwięku,
jak runęły, jedna po drugiej, złotoczarne ściany

tej, która nas żywiła – Anienki, naszej Anny

*Pszów, 19 lutego 2017 r., 19 sierpnia 2019 r., 4 marca,
29 kwietnia 2020 r.*

Jan Macha urodził się w rodzinie robotniczej w 1914 r. w Chorzowie. Po studiach teologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1939 r. przyjął święcenia kapłańskie, zaś we wrześniu 1939 r. rozpoczął pracę duszpasterską w Rudzie Śląskiej. Jako wikary posiadał dobry kontakt z parafianami i widział pogarszające się położenie polskiej ludności po wcieleniu Górnego Śląska do Rzeszy: aresztowania i prześladowania powstańców śląskich i ich rodzin, zsyłki do obozów koncentracyjnych. Widział niszczenie polskiej kultury, sam został zmuszony do zaprzestania odprawiania mszy po polsku.

Szczególne wrażenie zrobiły na młodym kapłanie znajdujące się w potrzebie rodziny prześladowanych powstańców i jeńców wojennych, osamotnione i pozbawione żywicieli. Postanowił zorganizować dla nich pomoc materialną oraz duchową. Środki finansowe zdobywał u zamożniejszych Polaków i innych księży. Po pewnym czasie skupili się wokół niego studenci, młodzież i harcerze, którzy pomagali w tej działalności dobroczynnej. Powstała w ten sposób sprawna organizacja, która zaczęła z czasem zrzeszać drużyny harcerskie z Rudy Śląskiej i okolic. Podporządkowała się najpierw Służbie Zwycięstwu Polski, a następnie Związkowi Walki Zbrojnej. Ks. Macha stał się komendantem grupy akademickiej połączonej z harcerzami, której nadano kryptonim „Konwalia”.

„Konwalia” wykonywała zadania wywiadowcze, propagandowe, sanitarne i charytatywne. Młody kapłan traktował jednak priorytetowo działalność dobroczynną, ukierunkowaną na miejscowych potrzebujących Polaków. Konspiracyjne spotkania odbywały się w mieszkaniach prywatnych i na probostwie w Rudzie Śląskiej. Ks. Macha cieszył się autorytetem wśród młodzieży, a jego zdolności organizatorskie zwróciły uwagę przełożonych z konspiracji. W kwietniu 1940 r. mianowano go szefem specjalistycznej komórki utworzonej na szczeblu Okręgu Śląsk ZWZ pod nazwą „Opieka społeczna”.

O znaczeniu „Opieki społecznej” może świadczyć fakt, że w samej Rudzie Śląskiej liczyła 4 tys. członków i wydawała konspiracyjną gazetkę o nakładzie 800 egzemplarzy, w której publikowano teksty patriotyczne, kronikę wydarzeń politycznych i militarnych, humor oraz wiersze.

Zanim przejdziemy do okoliczności aresztowania ks. Machy i wytoczonego mu procesu, zatrzymajmy się na chwilę przy kwestii prześladowania duchownych w okresie III Rzeszy. Jest poza dyskusją, że podczas okupacji niemieckiej polskie duchowieństwo było poddawane eksterminacji jako jedna z grup społecznych obok inteligencji i ziemiaństwa. Eksterminacja ta następowała jednak w więzieniach Gestapo i obozach koncentracyjnych, a nie na drodze wyroku sądowego. W samej III Rzeszy niemiec-



Tablica ku czci ofiar terroru hitlerowskiego i stalinowskiego na murze katowickiego więzienia.

Stracenie ks. Jana Franciszka Machy

KONRAD GRACZYK

17 października 2020 r. Kościół Rzymskokatolicki wzbogaci się o nowego błogosławionego – ks. Jana Franciszka Machę, zgilotynowanego w Katowicach w grudniu 1942 r. przez Niemców. Egzekucja nastąpiła z wyroku sądu niemieckiego, a jego sprawa wyróżnia się na tle innych, zarówno jeśli spojrzymy przez pryzmat stosunku III Rzeszy do Kościoła, jak też przez pryzmat orzecznictwa sądów niemieckich za działalność w ruchu oporu, kwalifikowaną jako zdrada stanu.

cy duchowni właściwie nie byli prześladowani. Szerzej znane jest jedynie kilka przypadków pociągnięcia duchownego do odpowiedzialności karnej przed sądem na podstawie specjalnego przepisu dotyczącego tzw. nadużycia ambony – § 130a, przepisu dodanego do kodeksu karnego w okresie, gdy Otto von Bismarck był kanclerzem Rzeszy.

Pierwszy przypadek dotyczył berlińskiego proboszcza Bernharda Lichtenberga, skazanego przez sąd specjalny w 1942 r. na dwa lata więzienia. Jego przewinienie polegało na tym, że wieczorne nabożeństwo 29 sierpnia 1941 r. w Kościele św. Jadwigi w Berlinie zakończył modlitwą, w której powiedział: „Pozwól nam modlić się za Żydów i biednych jeńców w obozach koncentracyjnych, przede wszystkim także za innych duchownych”. W nabożeństwie uczestniczyły dwie studentki, które poczuły się zgorszone tymi

słowami i złożyły donos na Gestapo. Sytuację duchownego pogorszyła przygotowana odezwa do parafian, ostrzegająca przed rozpowszechnianą na polecenie ministerstwa propagandy broszurą antysemicką.

Drugi przypadek jest bardziej znany i dotyczy ewangelickiego pastora Martina Niemöllera, którego skazał berliński sąd specjalny w 1938 r., również za „nadużycie ambony” na siedem miesięcy więzienia. Co prawda Niemöller po odbyciu kary nie wyszedł na wolność, całą wojnę spędził w obozie koncentracyjnym, ale przeżył.

Czyn, który zarzucono ks. Janowi Machy miał inny ciężar gatunkowy. Nie dotyczył nadużycia ambony, lecz zdrady stanu. To oznaczało zainteresowanie Gestapo. Organizacja ks. Machy najprawdopodobniej została zinfiltrowana przez niemieckich konfidentów. W 1941 r. duchowny znajdował się pod obserwacją

i był dwukrotnie przesłuchiwany. Aresztowanie nastąpiło ostatecznie 5 września 1941 r. na katowickim dworcu. W ciągu kilku dni zatrzymano również dwóch współpracowników ks. Machy – Joachima Gürtlera i Leona Rydrycha, którzy zostali później razem z nim oskarżeni, skazani i straceni. Po aresztowaniu osadzono ich w policyjnym więzieniu zastępczym w Mysłowicach. Tam ks. Machę torturowano i złono.

W lutym 1942 r. gotowy był akt oskarżenia przeciwko duchownemu i jego dwóm towarzyszom. Niemiecki prokurator stwierdził, że wszyscy z nich są Polakami, toteż czyny ich zakwalifikował na podstawie dyskryminacyjnego rozporządzenia o prawie karnym dla Polaków i Żydów na wschodnich obszarach wcielonych z 4 grudnia 1941 r., a nie niemieckiego kodeksu karnego. Główny zarzut dotyczył przygotowywania przedsięwzięcia o cechach zdrady stanu polegającego na oderwaniu od III Rzeszy przynależącego do niej obszaru. W tym celu oskarżeni działali wspólnie w tajnej organizacji, ich działalność była ukierunkowana na uczynienie niemieckich sił zbrojnych i policji niezdolnymi do wykonywania ich obowiązków ochrony Rzeszy w aspekcie zewnętrznym i wewnętrznym, a także wpływali propagandowo na ludność poprzez rozpowszechnianie gazetek.

Rozprawa odbywała się 17 lipca 1942 r. przed Wyższym Sądem Krajowym w Katowicach, z wyłączeniem jawności, przed składem trzech sędziów zawodowych. Po kilku godzinach zapadł wyrok skazujący, a wszystkim oskarżonym wymierzono karę śmierci oraz dożywotniego pozbawienia obywatelskich praw honorowych.

Porównanie treści aktu oskarżenia z wyrokiem prowadzi do wniosku, że ustale-

nia sądu w przeważającej części pokrywały się z twierdzeniami prokuratury, a sąd nadał im jedynie szerszy wymiar, odwołując się do innych spraw przeciwko członkom polskiego ruchu oporu. Różnica dotyczyła natomiast kwestii narodowości oskarżonych. Sąd niemiecki uznał, że ich narodowość nie została ostatecznie wyjaśniona, nie uznał ich więc za Polaków i zastosował do nich przepisy kodeksu karnego, tj. te same, które stosowano do Niemców. Nie miało to jednak wpływu na wymiar kary. Takie rozwiązanie tego zagadnienia umotywowano tym, że wszyscy urodzili się na Górnym Śląsku i złożyli wnioski o wpis na folkslistę. Sąd nie podzielił również ustaleń prokuratury w zakresie ukierunkowania działalności podsądnych na uczynienie sił zbrojnych lub policji niezdolnymi do wykonywania ich obowiązków.

Ks. Jana Macha został skazany za działalność konspiracyjną, ale nie mającą charakteru bojowego, tylko charytatywnej. Żeby zrozumieć, jak sąd niemiecki mógł skazać człowieka za prowadzenie działalności charytatywnej podczas wojny, trzeba odwołać się do aksjologii systemu politycznego III Rzeszy i innych wyroków wydanych przez jej sądownictwo.

Na szczycie sądownictwa politycznego w III Rzeszy stał Trybunał Ludowy w Berlinie. Został on utworzony w 1934 r. jako remedium na zbyt łagodny wyrok wydany w tzw. procesie o podpalenie Reichstagu. We właściwości Trybunału Ludowego znalazły się sprawy o najpoważniejsze przestępstwa polityczne: zdradę stanu i zdradę kraju, a także szpiegostwo. Z „dorobku” orzeczniczego Trybunału Ludowego dowiemy się, że każda polityczna formacja wspólnotowa poza NSDAP uzasadniała podejrzenie zdrady sta-

nu. Znamiona przygotowania do zdrady stanu wypełniało np. odbywanie zebrania członkowskich, przygotowywanie pomieszczeń, rozpowszechnianie ulotek lub organizowanie zbiórek pieniędzy dla więźniów politycznych. Z opisu działalności charytatywnej ks. Machy wiemy, że odbywał on zebrania w mieszkaniach prywatnych i na probostwie w Rudzie Śląskiej, że jego współpracownik Rydrych zbierał składki członkowskie, a ich organizacja rozpowszechniała gazetki. Każde z tych działań uzasadniało według orzecznictwa Trybunału Ludowego w Berlinie podejrzenie przygotowywania zdrady stanu. A jako takie musiało spotkać się z reakcją państwa totalitarnego – III Rzeszy, bowiem w III Rzeszy jedyną dozwoloną formą organizacyjną spotkań i zrzeszeń ludzi była NSDAP i jej struktury. Ks. Macha mógł więc zgodnie z niemieckimi przepisami zaangażować się w działalność Narodowosocjalistycznej Opieki Społecznej, jednak wówczas jego pomoc nie dotarłaby do osób potrzebujących, które widział w swoim otoczeniu: byłych powstańców śląskich i ich rodziny, rodziny Polaków osadzonych w obozach koncentracyjnych lub jenieckich.

Mimo podjętych starań władze niemieckie odmówiły ks. Masze i jego towarzyszom aktu łaski. Karę śmierci wykonano w więzieniu w Katowicach w nocy z 2 na 3 grudnia 1942 r. przy użyciu gilotyny, którą możemy oglądać w Muzeum Śląskim. ■

Konrad Graczyk – dr, adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, starszy inspektor w Biurze Badań Historycznych Instytutu Pamięi Narodowej w Warszawie.

Więźniowie w Katowicach, w którym stracono księdza Jana Machę



foto: Tomasz Bierek

Historia Polski, jak i całe Słowiańszczyzny zachodniej jest naznaczona zjawiskiem niemieckiego parcia na wschód, które ma swój początek we wczesnym średniowieczu, gdy ustał germański napór na tereny dawnego cesarstwa zachodniorzymskiego. Zmienił się wówczas kierunek ekspansji, trwającej prawie 1000 lat aż po koniec drugiej wojny światowej. O ile ekspandujący na tereny rzymskie Germanowie reprezentowali daleko niższy stopień rozwoju cywilizacyjnego w porównaniu z mieszkańcami dawnego cesarstwa, to w kolejnej epoce swojego rozprzestrzeniania się byli już wyposażeni w łacińskie dziedzictwo, co dotyczyło przede wszystkim strony technicznej, a więc sprawności wojennej i organizacyjnej, przewyższając tym samym swoich wschodnich sąsiadów – Słowian zachodnich. Nic więc dziwnego, że skutki niemieckiego parcia na wschód były łatwo dostrzegalne i stanowią problem sam dla siebie jako część historii politycznej, osadnictwa, wojskowości i innych dziedzin jak np. językoznawstwo.

Jeszcze w XII wieku Słowianie połabscy sięgali niedaleko od Hamburga, a nawet przekraczali dolną Łabę, docierali do gór Harzu, występując nawet, jak wspominają kronikarze, w dobrach opactwa Fuldy. Dalej na południu zamieszkiwali większą część późniejszej Austrii, docierając w okolicach Triestu do Adriatyku. Następujące później wieki zupełnie zmieniły ten obraz sytuacji, a w momencie upadku III Rzeszy niemieczna na północy sięgała po dolny Niemien, na południu zalewając większość Śląska oraz w postaci licznych enklaw występując na różnych obszarach Europy wschodniej na Węgrzech, w Rumunii, w krajach bałtyckich, a nawet i w Rosji nad Wołgą.

Proces ten interesował nie tylko przedstawicieli nauki, ale przede wszystkim polityków oraz działających w ich orbitach publicystów, transmitujących świadomość istotnych sytuacji do szerszej opinii publicznej. W Polsce dostrzegano od dawna wagę problemu, a w niektórych czasopismach o orientacji narodowej już w początku lat trzydziestych pisano o powrocie Polski na część zgermanizowanych od dawna ziem. Zdawało sobie sprawę, że tu nie chodzi o jakieś pograniczne konflikty, ale o być albo nie być narodu polskiego. Wiek XIX, kiedy to znaczna część I Rzeczypospolitej stała się łupem Prus, znowu wysuwał na czoło problem niemieckiego parcia na wschód. Wszak, jak to pisał lider Narodowej Demokracji Roman Dmowski: „W Polakach polityka berlińska dążąca do opanowania wschodniej Europy (...) widziała główną dla siebie przeszkodę. Stąd oficjalne oświadczenie ks. Bülowa przed kilku laty w sejmie pruskim, iż kwestia polska jest najważniejszą dla Prus kwestią. Stąd powta-

Przedhitlerowskie korzenie nazizmu

BOGUMIŁ GROTT

rzający się często w prasie niemieckiej głós, że Niemcy walczą nie tylko z Polakami w swoim państwie, ale z całym narodem polskim”.

Tak było pod koniec XIX wieku i na początku XX. Później sprawy przybrały dramatyczny obrót. Jego wyrazem stał się pęd III Rzeszy do opanowania całej Europy wschodniej oraz zniszczenia zamieszkujących tę część kontynentu narodów.

O ile sposób działania w stosunku do Polaków wypracowany w Prusach, choć bezwzględny, to jednak był daleki od metod stosowanych przez narodowych socjalistów, to ci ostatni posunęli się już do ludobójstwa. II wojna światowa stała się więc koncertem nie liczącym się z niczym eksterminacji, a w konsekwencji także i do stawiania nowych pytań o kondycję człowieka i jego etycznych kwalifikacji. Chodziło tu oczywiście o człowieka niemieckiego. Pytano skąd się wzięły takie idee, które stały się w ostatecznych konsekwencjach inspiracją do zbrodni i jakie są korzenie całego zjawiska, które wstrząsnęło cywilizowanym światem. Czy jest możliwe, aby pojawiły się one nagle, będąc wytworem tylko ostatniego pokolenia Niemców działających w ramach III Rzeszy?

Już w latach przed drugą wojną światową zaczęło pojawiać się przekonanie, iż „Niemcy wychodzą z Europy”. Bieg wypadków, mających miejsce po roku 1939, nie mógł już pozostawiać pod tym względem żadnych wątpliwości. Ogrom tragicznych wydarzeń domagał się wyjaśnienia ich genezy i głębszej istoty.

Problematykę tę podejmowano nie tylko w Polsce, ale również i na Zachodzie. Nie ma tu miejsca na zajmowanie się konstatacjami uczonych obcych. Tutaj pozostaniemy przy polskich badaczach problematyki. Pretekstem do podjęcia tematu niech będzie niedawno wydana drukiem książka pt. *Przedhitlerowskie korzenie nazizmu, czyli dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa*. Bez wątplenia inspiracją do podjęcia na nowo zawartej tam problematyki są również dobiegające nas informacje o funkcjonującej narracji o „polskich obozach koncentracyjnych” czy rysująca się również w Niemczech tendencja do przerzucaniu winy za dokonane zbrodnie na „mitycznych” nazistów, którzy byliby czymś innym niż sam naród niemiecki. Nie bez wpływu na taki stan rzeczy miała fatalna polityka histo-

ryczna lat PRL-u, ale także i zaniedbania ostatnich czasów.

Zaanonsowana tu właśnie książka nie stanowi zupełnie nowego opracowania. Poza obszernym rozdziałem wstępnym składają się na nią teksty dwóch polskich uczonych: profesora Bogdana Suchodolskiego oraz profesora Leona Halbana, którzy jako specjaliści od zagadnień kultury i aksjologii w sferze polityki zareagowali na zjawisko narodowego socjalizmu sięgając do jego prehistorii, a więc prądów i tendencji w dziedzinie ducha, które legły u jego podstaw. Reakcję tę spotęgowały przeżycia II wojny światowej pod okupacją niemiecką i to wszystko co można było wówczas zaobserwować w kraju skazanym na całkowite wyniszczenie. Poszukiwania genezy toczących się wypadków stały się głównym przedmiotem ich badań. Leon Halban był już od dawna specjalistą od polityki wewnętrznej III Rzeszy, odnoszącej się do sprawy religii chrześcijańskiej i Kościołów, o czym świadczy kilkusetstronicowe jego dzieło wydane we Lwowie w 1936 r. zatytułowane *Religia w III Rzeszy*. Bogdan Suchodolski jako filozof i pedagog zajmował się raczej analizą kierunków filozoficznych w Niemczech, z których część w formie spopularyzowanej i uproszczonej formowała mentalność tego narodu, co wraz z rasizmem, kultem Germanów i skłonnością do autorytaryzmu proweniencji pruskiej, który nie został wystarczająco podważony przez ducha rewolucji francuskiej, tworzyła mieszanekę specyficzną i jak się później okazało w skutkach tragiczną.

Książka *Przedhitlerowskie korzenie nazizmu...* składa się więc z rozdziału wprowadzającego oraz trzech tekstów przedstawionych tu wyżej polskich uczonych. Bogdan Suchodolski napisał tekst pt. *Dusza niemiecka w świetle filozofii*, natomiast Leon Halban *Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu oraz Religia starogermańska i jej aktualne znaczenie w Niemczech*. Dwa pierwsze teksty były publikowane po dwa razy w latach 1945, 1946, 1947 i 1948. Trzeci zaś tylko jeden raz w roku 1949. Wydawcami byli: Instytut Zachodni w Poznaniu oraz Towarzystwo Naukowe KUL.

Tu konieczna jest uwaga. Rok 1949 to czas rozpoczynającej się intensywnej stalinizacji kraju, z którą wiązało się także narzucanie nauce bezwzględnych

ograniczeń ideologicznych, w których konstrukcje myślowe tak Suchodolskiego, jak i Halbana nie mieściły się w sposób zadawalający dla reżimu. Pisanie o „duchu” czy „duszy” oraz krytykowanie niszczenia chrześcijaństwa, choćby tu chodziło nawet o III Rzeszę, a jeszcze wcześniej deformowanie go poprzez wyplukiwanie z niego jego wartości humanitarnych, co czynili rozmaici niemieccy myśliciele, filozofowie historycy, a nawet i ludzie sztuki, stało się już niemiłe widziane. Obydwaj autorzy, których teksty przywracamy dzisiaj uwadze polskich czytelników, pokazywali, do czego prowadziły trendy negowania nie tylko samej religii chrześcijańskiej, co czynili już wcześniej różni XIX wieczni liberałowie w Europie Zachodniej, ale także i humanizmu chrześcijańskiego w latach II Rzeszy i później. Proces ten torował drogę „etosowi” germańskiego wojownika, który wcielili później do swojej ideologii nazisci jako jeden z zasadniczych jej elementów.

Tak więc tego typu badania musiały w Polsce ustać i może właśnie dlatego najpóźniej napisana praca profesora Halbana *Religia starogermańska i jej aktualne znaczenie w Niemczech* nie doczekała się drugiego wydania, jak to miało miejsce z tekstem Suchodolskiego *Dusza niemiecka w świetle filozofii* czy tegoż Halbana *Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu*.

Ponadto w parę lat po wojnie wraz z powstaniem NRD pojawił się w propagandowej retoryce „miłujący pokój naród NRD”, który wymagał zupełnie innych, bo marksistowskich uzasadnień, różnych od tych, które stosowali Halban i Suchodolski czy też inni zachodni badacze problematyki niemieckiej w jej kulturowym i psychologicznym aspekcie. Walka klas stała się podstawą do interpretacji mechanizmów dziejowych, inne zaś metody wyrzucono na śmietnik.

Dlatego to właśnie dzisiaj, po tak długiej przerwie, wznowienie prezentowanych tu prac wydaje się jak najbardziej celowe, a nawet konieczne. Wnioski wyciągnięte przez Suchodolskiego i Halbana przeczą wspomnianym wyżej przejawom polityki historycznej naszych sąsiadów, ale wysuwają oskarżenie nie tyle przeciwko tym czy innym osobom odgrywającym ważne role w III Rzeszy, ale oskarżają procesy, które zaczęły kiełkować już w łonie samej kultury niemieckiej od głębi XIX w, a w niektórych aspektach i wcześniej. Halban wysunął tezę, iż w kulturze niemieckiej istniały dwie warstwy. Jedną z nich nazwał „kulturą Poczdamu”, drugą zaś „kulturą Weimaru”. Dla pierwszej stosował też nazwę „germanizmu”. Poczdam jako siedziba królów pruskich występuje tu jako antyteza demokracji i synonim tzw. prusactwa, autoryta-



ryzmu i soldateski. Weimar natomiast, kojarzony z Goethem, miał symbolizować drugą stronę medalu tj. kulturalną i bardziej liberalną twarz Niemiec. Sama nazwa miasta wiązała się też z obaleniem monarchii i republikanizmem oraz, co prawda, dość wątpliwą niemiecką demokracją.

Dwie powyższe warstwy kulturowe, jak chciał Halban, nie były równorzędne. Wg autora *Mistycznych podstaw narodowego socjalizmu* i *Religii starogermańskiej i jej aktualnego znaczenia w Niemczech* owa „kultura Weimaru” stanowiła jedynie warstwę naskórkową, spoza której wyłaniał się ów „Poczdam” i „germanizm”, a więc to, co narastało przez długi czas w kulturze niemieckiej, krystalizując się potem w warunkach zagrożenia komunizmem i grożącego rozstroju państwa i gospodarki w system narodowego socjalizmu, który w innych warunkach może by nie zdołał odpowiednio opanować wyobraźni społecznej i odnieść tak wielkiego politycznego sukcesu we własnym kraju. System ten, o czym nie można zapomi-

nać, miał do dyspozycji już wcześniej wytworzona glebę kulturową, bez której stałby się zapewne tylko czymś zbliżonym do włoskiego faszystów i niczym więcej. Włoski profesor Bokka podkreślał, że we Włoszech nie było gleby kulturowej odpowiedniej dla rozwoju faszystów, a polska historyk profesor Krystyna Kersten we wstępie do książki *Czarna księga komunizmu* wyraźnie stwierdza: „faszyzm włoski nie zabijał”, co miało oczywiście oznaczać, że liczone w dziesiątkach milionów ludobójcze czyny, odpowiednio podbudowane ideologicznie i służące konkretnym celom politycznym, były tylko, jeśli idzie o Europę, dziełem sowietów i Niemców. Uformowanie się nazizmu w system nie tylko polityczny, ale także i mentalny, wymagało długiego wewnętrzznego fermentu kulturowego. Złożył się nań swoisty historyzm, sławiący starożytnych Germanów za ich wojowniczość i ekspansjonizm, i stawianie ich na piedestale przed innymi narodami. Nie bez znaczenia była też słaba recepcja przesłania wielkiej re-

wolucji francuskiej, która podkreślała jednak wagę jednostki ludzkiej. Wielki wpływ miały już w okresie drugiego cesarstwa w Niemczech idee rasistowskie, które chociaż powstawały na zewnątrz tego kraju, to jednak właśnie tu znalazły dla siebie prawdziwą ojczyznę oraz ostry nacjonalizm, wzgardliwie odnoszący się do Słowian, który w połączeniu z doktryną rasistowską stał się szczególnie bezwzględny. Niemieckie „sny o potędze” doznały też szczególnego wzmocnienia poprzez łączenie nacjonalizmu z rasizmem, który poprzez swoją pseudo naukową pozorną ścisłość czynił z tej ideologii szczególnie bezwzględne narzędzie.

Rozdźwięk pomiędzy zasadami chrześcijaństwa a wspomnianym przez Halbana „germanizmem” z czasem zaczęto odczuwać w różnych sferach w Niemczech jako niekorzystny hamulec ograniczający ducha parcia na zewnątrz bez żadnych ograniczeń. Tu zaczęła się tzw. „germanizacja chrześcijaństwa” i pojawiło się szerokie spektrum innych czynników z dużym udziałem filozofii i innych przejawów myśli, np. antropologia czy nawet sztuka. W końcu pojawiły się na przełomie XIX i XX wieku ruchy neopogańskie, nawiązujące do rzekomej kultury przedchrześcijańskiej. O ile germanizatorzy religii chrześcijańskiej myśleli raczej o wypłukaniu z niej treści, które chciano usunąć, to neopoganie całościowo odrzucali chrześcijaństwo, uważając je za czynnik obcy i krępujący Niemców w ich „snach o potędze” oraz przeciwbieżny ich wybujałej ekskluzywności narodowej.

O ile niemiecki katolicyzm wykazywał się większą odpornością, to dekompozycja tamtejszego protestantyzmu robiła daleko większe postępy. Na tym polu profesor Halban był szczególnie specjalistą, o czym świadczy jego główne dzieło *Religia w III Rzeszy*, omawiające politykę zmierzającą do eliminacji chrześcijaństwa. Tu trzeba dodać, że z religią walczone tam nie tak jak w Rosji sowieckiej, gdzie dokonano na nią, rzec by można, nagłego ataku, paraliżującego od razu życie religijne i działalność Kościołów. Nazizm działał bardziej powoli choć skutki miały być bardzo podobne. Ponadto funkcjonowały tam, można by rzec, siły społeczne, które z własnej inicjatywy wpływały na procesy dechryścianizacji. Marzono o „religii narodowej” odpowiadającej nowemu etosowi, potrzebnemu do realizacji gigantycznych planów i aneksji.

Wśród najgłośniejszych postaci reprezentujących taki nurt należałoby wymienić teologa i orientalistę Paula de Lagarde (1827–1891) autora pracy *Nationale Religion*. Według słów tego autora należało nie tyle powołać nową religię, co stworzyć warunki do jej wyłonienia się w sposób samorzutny. Miałyby stać

się ona „duszą Niemiec”, a więc systemem odczuć i wartości wyrażających „niemieckiego ducha”, który miałby być jej istotną determinantą. De Lagarda ocenia się jako panteistę. Jego książka była wznawiana do końca funkcjonowania III Rzeszy, co świadczy o jej oddziaływaniu. O nim samym, co warto też wiedzieć, napisano kilka książek. Za de Lagardem pojawili się i inni piewcy „germanizacji chrześcijaństwa”. Ujmując rzecz w najogólniejszym zarysie, chodziło tutaj o zachowanie chrześcijańskiej fasady z eliminacją istotnych treści charakteryzujących tę religię. Także i różni autorzy podnosili, iż niemieckość jest czymś innym niż chrześcijaństwo. Wartą wspomnienia na tym miejscu jest postać Artura Bonusa (1864–1941), który w następnym pokoleniu na swój sposób kroczył po drodze wskazanej przez de Lagarda. Tytuły jego prac oraz i innych autorów mówią same za siebie, a ich treści pokazują kierunek ewolucji specyficznych tendencji dechryścianizacyjnych, które nie miały nic wspólnego z liberalnym laicyzmem, dynamizując jedynie niemiecki szowinizm poprzez usuwanie z chrześcijaństwa tych elementów które stały mu na drodze.

A oto jeden z przykładów, które przedstawiał Bonus. Według niego duch chrześcijaństwa wynika z duchowości żydowskiej, narodu o trudnej i nieraz tragicznej historii. Stąd też w ich religii pojawiają się takie pojęcia jak pokora, współczucie, litość itd. Miały być one nie tyle częścią objawienia, co późniejszym dodatkiem pochodnym od ich żydowskich losów. Zgodnie z przekonaniami Bonusa gdyby ta sama religia była objawiona Germanom, to miałyby ona już inny sens zgodny z ich odrębną psychiką i typem życia. W ten sposób autor ten próbował dokonać swoistej „kastracji” chrześcijaństwa bez odrzucania go w całości. Dla niego Bóg miał być pojmowany jako potężny przywódca – „wódz” czy „król”, wojownik nieoczekujący od ludzi miłosierdzia i innych cnót głoszonych przez chrześcijaństwo.

Już z tak krótkiego fragmentu poglądów Bonusa i idących w jego ślady „reformatorów” widać wyraźnie kierunek ewolucji duchowej Niemców i tendencje do usankcjonowania innej duchowości niż ta, którą reprezentowały Kościoły chrześcijańskie. Jak pisał K. Gelles w pracy pt. *Niemiecy protestanci wobec narodowego socjalizmu*: „W zjednoczonych przez Otto Bismarcka Niemczech [a więc jeszcze przed pojawieniem się nazizmu – B.G.] christianizm był atakowany przez różne ugrupowania, zarówno zwolenników lewicowego materializmu i racjonalizmu, jak i prawićcowego pseudonaukowego rasizmu...”

Długi szereg osób, idei i pism dotyczących wskazywanych tu tendencji,

znajdzie czytelnik szczególnie w pracach profesora Leona Halbana, a jeśli idzie o ich odbicie w myśli filozoficznej, to u profesora Bogdana Suchodolskiego.

Obok skłonności do deformacji chrześcijaństwa w Niemczech na przełomie XIX i XX wieku pojawia się tam drugi nurt, potocznie nazywany neopogaństwem. Tzw. ruchy neopogańskie w całości odrzucały chrześcijaństwo, bazując na wyimaginowanych, bo znanych tylko z bardzo fragmentarycznych przekazów historycznych wierzeniach starożytnych Germanów i ich wojowniczego etosu.

Lapidarnie, ale bardzo wymownie ujął ten temat jeden z czołowych dowódców niemieckich w latach pierwszej wojny światowej, generał Erich von Ludendorff (1865–1937): „Jestem przeciwnikiem chrześcijaństwa i poganinem i jestem z tego dumny. Dawno już pożegnałem chrześcijaństwo (...). My Niemcy jesteśmy w tej chwili ludem, który najbardziej odłączył się od chrześcijańskiej nauki. Dopiero w skutek zupełnego odrzucenia chrześcijaństwa nabędzie lud niemiecki zwartości, której potrzebuje, i której byliby potrzebował w ciężkich chwilach 1918 roku”.

Jest to bardzo jasna deklaracja. Pod względem aksjologicznym Niemcy wychodziły z Europy jeszcze przed pojawieniem się nazizmu. Jak powiedziano już wyżej, ich odchodzenie od ducha prawdziwego chrześcijaństwa niewiele albo i nic nie miało wspólnego z liberalnym laicyzmem. Ten ostatni bowiem jako istotną wartość traktował jednostkę ludzką. Natomiast niemieckim „reformatorom ducha” chodziło o takie predyspozycje człowieka, które były potrzebne do prowadzenia wojny totalnej. I na tym polegała podstawowa różnica.

Tych niewiele zdań, które składają się na niniejsze omówienie wznawianych tekstów Halbana i Suchodolskiego nie oddaje, co jest samo przez się zrozumiałe, bogatej problematyki „zbiorowej duszy” narodu niemieckiego i jej ewolucji jaką przechodziła co najmniej od głębi wieku XIX do połowy XX. Dlatego też zainteresowanych problemem, których szczególnie interesują głębokie mechanizmy rządzące dziejami, odsyłam do opracowania pt. *Przedhitlerowskie korzenie nazizmu, czyli dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa* oraz i do innych prac profesorów Halbana i Suchodolskiego. Zaś w celu konfrontowania aksjologii polskiej ideologii narodowej z niemiecką, autor niniejszego poleca rezultat własnych wieloletnich badań przedstawionych w książce *Dylematy polskiego nacjonalizmu: powrót do tradycji czy przebudowa narodo-wego ducha*

IN MEMORIAM – PROF. STANISŁAW PASYK

Dziękujemy, Profesorze!

W dniu 19 sierpnia 2020 r. liczna reprezentacja śląskich lekarzy, kardiologów, w obecności Władz Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, rodziny i wychowanków, pożegnała w Kościele Św. Anny w Zabrze prof. dra hab. med. Stanisława Pasyka, wybitnego kardiologa i nauczyciela, twórcę nowoczesnej metody leczenia zawału serca zwanej metodą zabrzańską, upowszechnioną w całym kraju.

Zegnąjący Pana profesora: prof. Tomasz Szczeniński, Rektor SUM, prof. Andrzej Lekston, wychowanek oraz prof. Marian Zembała, Dyrektor SCCS w Zabrze przypomnieli osiągnięcia Pana profesora i jego osobisty wkład w rozwój nowoczesnej zabrzańskiej, śląskiej, polskiej, kardiologii.

Prof. Stanisław Pasyk urodził się w Zamieściu, powiat Limanowa, w 1931 r. Studia medyczne ukończył na Akademii Medycznej w Krakowie w 1954 r., uzyskując tytuł i dyplom lekarza. W latach 1960–61 był jednym z pierwszych europejskich stypendystów specjalizujących się w kardiologii w słynnym ośrodku Harvard Medical School w Bostonie, USA. Równolegle odbywał szkolenie specjalistyczne w Walter Reed Army Medical Center w Waszyngtonie, a także na Uniwersytecie Michigan, IL w zakresie intensywnej opieki kardiologicznej. Był specjalistą z zakresu chorób wewnętrznych i zawsze z dumą podkreślał, że warunkiem bycia kompetentnym specjalistą jest nie tylko znajomość, ale także udokumentowane doświadczenie w zakresie chorób wewnętrznych. Stopień naukowy doktora nauk medycznych otrzymał w roku 1964 na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, pisząc pod kierunkiem prof. Leona Tochowicza pracę dotyczącą problematyki wstrząsu kardiogenego. Uwieńczeniem doświadczenia zdobytego w USA, a pogłębione w kraju była dysertacja habilitacyjna z zakresu chorób wewnętrznych i kardiologii, obroniona w roku 1973 na Wydziale Lekarskim AM w Krakowie. Wysoka ocena dorobku naukowego i klinicznego były podstawą przyznania Panu profesorowi w 1985 r. tytułu naukowego profesora.

Do swoich szczególnych doświadczeń naukowych i klinicznych Pan prof. Stanisław Pasyk zaliczał pobyt w latach 1973–1975 na stanowisku profesora na Wydziale Kardiologii Klinicznej i Doświadczalnej Instytutu Max Plancka w Bad Neuheim, Niemcy, gdzie kierował wieloma nowatorskimi projektami obejmującymi choroby serca i naczyń. Kiedy w roku 1978, jako stypendysta naukowy prowadziłem badania w tym ośrodku, jego ówczesny Dyrektor przypomniał mi, że osobą, która bardzo dobrze zapisała się w historii osiągnięć tej prestiżowej, europejskiej instytucji był Pan prof. Stanisław Pasyk, Polak o niesamowitym uporze i dociekliwości w prowadzeniu badań naukowych.

W roku 1976, ze względu na imponujący dorobek i nowatorskie osiągnięcia kliniczne Pan profesor został zatrudniony na stanowisku docenta w II

Klinice Kardiologii Instytutu Chorób Wewnętrznych SUM, stając się w 1984 r. jej Kierownikiem.

Posiadając doświadczenie wyniesione z pobytu w USA, od podstaw zorganizował Wojewódzki Ośrodek Kardiologii (WOK w Zabrze), obecnie Śląskie Centrum Chorób Serca, zostając jego pierwszym dyrektorem (1976–1993). Chcąc rozwijać kardiologię interwencyjną wzorem Bostonu i francuskiej Tuluzi, jako pierwszy w Polsce i drugi w Europie (!) powołał Pracownię hemodynamiki czynną 24 godziny przez 7 dni w tygodniu, wyposażoną w najnowocześniejszą jak na ówczesne czasy aparaturę medyczną do diagnostyki inwazyjnej i elektrofizjologicznej. Dzięki uruchomieniu przez Pana profesora w Zabrze dyżuru na tzw. karetce kardiologicznej



oraz rozpoczęciu nowatorskiego programu diagnostyki i leczenia chorób serca, w ciągu 10 lat od ich wprowadzenia śmiertelność w zawałe serca w Zabrze i województwie śląskim zmalała 10-krotnie, dając szansę na przeżycie oraz chroniąc od inwalidztwa bardzo wielu chorych. Zaczęto przez prof. Pasyka i jego uczniów, m.in. prof. Andrzeja Lekstona, a kontynuowany przez Jego wychowanków, m.in. Zbigniewa Kalarusa, Mariusza Gąsiora i innych – zabrzański model leczenia zawału serca był systematycznie upowszechniany w całym kraju. Rezultaty programu były tak znakomite, że został rozszerzony przez profesorów Zbigniewa Religę i Mariana Zembałę o reperfuzję i chirurgiczną rewaskularyzację. Wszystko to razem spowodowało, że Polska w niechlubnej statystyce zgonów z powodu zawałów serca zaczęła uzyskiwać znacznie lepsze wyniki na tle innych krajów Europy, a ośrodek zabrzański stał się modelowym dla szkolenia kadr polskich kardiologów i kardiochirurgów. Wielu wychowanków Pana Profesora to dzisiaj wybitni polscy lekarze, kardiolodzy, profesorowie, kierownicy klinik oraz ordynatorzy oddziałów kardiologicznych i internistycznych.

W roku 2001 prof. Stanisław Pasyk przeszedł na emeryturę, dalej służąc swoim doświadczeniem. Z radością i dumą obserwował rozwój Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze. Dał temu wyraz w 2012 roku podczas Międzynarodowej Konferencji Kardiologicznej w Zabrze, kiedy otrzymał od swoich wychowanków i uczniów zaszczytne wyróżnienie, tj. „Krok milowy w leczeniu zawału serca” za pionierskie w Polsce rozwiązania organizacyjne w leczeniu zawału serca metodą angioplastyki wieńcowej oraz wdrożenie systemu 24-godzinnych dyżurów „zawałów”. Dziękując, podkreślił, że jego życiowym i zawodowym marzeniem było stworzenie na Śląsku, w Zabrze nowoczesnego ośrodka kardiologii dorosłych i dzieci oraz kardiologii, dlatego zaprosił do współpracy wielkich pionierów – prof. Zbigniewa Religę (kardiochirurg, transplantolog) oraz dr Lili Goldstein (kardiolog dziecięcy). W swojej wypowiedzi podkreślił, że fundamentem sukcesu jest współpraca i integracja różnych dziedzin medycyny oraz szczególne docenienie roli i znaczenia badań klinicznych, w tym badań eksperymentalnych. Był zachwycony, kiedy pokazywałem mu powstały już i działający Kardio-Med Silesia, pierwszy w województwie śląskim park technologii medycznych na europejskim poziomie. Powiedział wtedy, że to jest taki zabrzański Max Planck Institute dla najzdolniejszych i najambitniejszych młodych lekarzy i naukowców. Z dumą patrzył jak ze skromnego i bardzo ciasnego Wojewódzkiego Ośrodka Kardiologii, który stworzył, powstaje nowoczesny, europejski szpital na światowym poziomie. Powiedział mi, że to najlepszy ambasador polskiej nauki i medycyny.

Zegnąjąc profesora, mieliśmy świadomość Jego dokonania, które pozostają ponadczasowe i nieśmiertelne. Działalność profesora to piękny przykład pasji i poświęcenia nie-Ślązaka spod Limanowej, który pokochał ten region i jego ludziom bezgranicznie się poświęcił.

Dzisiaj my – spadkobiercy tego dorobku – nie tylko o tym będziemy pamiętać, ale będziemy rozwijać ten testament i misję szpitala „Jesteśmy, aby ratować, nowoczesnie leczyć, dawać nadzieję...”

Zapewniam Panie Profesorze, że Pana dorobek i przesłania będą dalej inspirowały nas do podejmowania nowych wyzwań dobrze służących polskiej nauce, medycynie, ale przede wszystkim ludności zurbanizowanego Śląska, owych tysięcy ludzi, którzy życie poświęcili w pracy w ciężkich warunkach, aby budować kraj, region i jego przyszłość.

Dziękujemy bardzo Panie Profesorze!

Z szacunkiem i trwałą pamięcią,

Prof. Marian Zembała
Dyrektor Śląskiego Centrum Chorób Serca
(1994–nadal)

Wokół Michała Willmanna

Ks. HENRYK PYKA

Niemal „wydarłem” ostatni egzemplarz katalogu wystawy malarstwa Michaela Willmanna, czynnej do czwartego października w wrocławskim Pałacu Czterech Kopuł. Z pewnością wybrałem ostatnią szczęśliwą dla siebie chwilę, by tę wystawę, czynną od niemal roku zobaczyć. W międzyczasie zwiedzający wykupili cały nakład publikacji towarzyszącej wystawie. Kasjerka radziła, by ubłagać samego dyrektora Muzeum Narodowego we Wrocławiu, bo sprawa jest beznadziejna. Bez nadziei sięgnąłem po telefon do podległej dyrektorowi osoby. Okazało się, że w księgarni Gmachu Głównego Muzeum czekał na mnie faktycznie... ostatni egzemplarz.

W Willmannie, choć jest to paradoks – bo był malarzem – rozczytywałem się. Znałem go z opracowań, reprodukcji i niektórych jego realizacji zachowanych w Krzeszowie, Lubiążu i niektórych muzeach. W opactwie cystersów w Lubiążu znalazł Willmann miejsce wiecznego spoczynku. Wystawy jego malarstwa wcześniej nie widziałem. Ostatnia taka wystawa rozsławiająca dzieło Śląskiego Apellesa – bo takie określenie przylgnęło do artysty – miała miejsce w roku 1994 we Wrocławiu i Salzburgu. W Galerii Malarstwa Historycznego mieszczącej się w Rezydencji Arcybiskupów Salzburga kupiłem w wyprzedzaniu za symboliczne euro katalog tej wystawy. Już wtedy skutkiem lektur byłem „zakręcony” Willmannem i miałem za sobą tekst popularyzujący jego twórczość, który umieściłem w miesięczniku „Śląsk” (nr 4/1998, s.65). Kiedy przejrzałem „cudem” zdobyty we Wrocławiu katalog, okazało się, że moja fascynacja Willmannem nie jest osobliwa. Podobnie jak mnie i innych także artysta ten fascynuje. Osobliwością wydawniczą natomiast jest sam katalog wystawy, w którym nie znajdziemy nic z tego, co dotychczas o Willmannie pisano: opatrzonego przypisami dyskursu naukowego. Takich publikacji poświęconych artyście było już wiele. Na Willmannie „zjedli już zęby” wybitni historycy sztuki. Katalog, obok bogatej warstwy ilustracyjnej pomyślany jest zatem jako impresja, zbiór wypowiedzi wielu osób różnych specjalizacji i profesji. Czytałem w tym katalogu wypowiedzi historyka sztuki, lekarza, muzykologa, krytyka literackiego, duchownych. Wspólną cechą tych osób różniących się profesją, jest doświadczenie wyniesione z poznania sztuki Willmanna. To są ci, których Willmann swoją sztuką zdo-

łał „zakręcić”. Organizatorzy wystawy nie definiują sztuki artysty, lecz pytają, czy i jak funkcjonuje ona w naszej świadomości. Pytanie, w którym stawia się kwestię aktualności sztuki śląskiego Apellesa, znajduje swój kontekst w postaci przestrzeni, w której jego obrazy zostały zaprezentowane. Tą przestrzenią są tereny Parku Szczytnickiego we Wrocławiu, zabudowane ekspresjonistyczną architekturą Maxa Berga wpisaną w roku 2006 na listę światowego dziedzictwa UNESCO. W tę modernistyczną architekturę wpisano w trakcie trwania wystawy twórczość jednego z najwybitniejszych ślązaków drugiej połowy XVII wieku porównywanego pod względem duchowości przenikającej jego malarstwo ze współczesnym mu mistykiem wrocławskim Johannesem Schefflerem zwanym „Śląskim Aniołem”. Z mojej praktyki duszpasterza pracującego w niemieckojęzycznej parafii wyniosłem zasłuchanie w jedną z pieśni ułożonej przez Schefflera śpiewanej podczas przyjmowania Komunii Świętej w języku jej autora, czyli po niemiecku. Angelus Silesius umieścił ją w zbiorze poetyckim *Helige Selen-Lust* wydanym we Wrocławiu w roku 1657. Willmann miał wtedy 27 lat. Oto pierwsza strofa tej pieśni, która mimo upływu ponad 350 lat i mnie zdołała poruszyć:

*Morgenstern der finstern Nacht,
Der die Welt voll Freunden macht
Jesu mein komm herein
Leucht in meines Herzens Schrein*

Ten sześciowrotkowy tekst poetycki naznaczony aksamitną liryką czerpie zarówno z tekstów Objawionych (Ap.22,16; 2P.1,19), jak i chrześcijańskiej tradycji pierwszych wieków, gdzie Chrystus przedstawiany jest jako wschodzące słońce, „tausentfach” – czyli tysiącokrotnie swym blaskiem przewyższające to naturalne ciało niebieskie. Światło i mrok Nocy, Niebo i Słońce to fenomeny i symbole tej Rzeczywistości, która z mrocznej ludzkiej duszy potrafi uczynić świątynię światła.

Michał Willmann, urodzony w roku 1630 w Królewcu, Ślązakiem został z wyboru. Zaproszony do współpracy przez opata klasztoru cysterskiego w Lubiążu kupił tu dom, założył pracownię i rodzinę. Od roku 1630 przez kolejne 46 lat do swojej śmierci mieszkał w Lubiążu, podejmując głównie zlecenia lubiąskiego opata. Choć gdyby rozejrzeć się, to znajdziemy jego wspaniałe realiza-

cje w Henrykowie, Krzeszowie, Trzebnicy, wielu kościołach Dolnego Śląska, Czech. Są to realizacje o tematyce religijnej, choć pojawiają się w jego twórczości obrazy inspirowane mitologią zamawiane do wnętrz pałacowych.

Willmann, który próżno szukał mecenasa we Wrocławiu, znalazł go w osobie Arnolda Freibergera opata w Lubiążu, człowieka o szerokich horyzontach umysłowych, gruntownie wykształconego, dbałego także o poziom intelektualny podległych mu mnichów cysterskich. Związki artysty z opactwem w Lubiążu postrzegano w niektórych opracowaniach jako usiłowanie instrumentalnego traktowania artysty. Arnold Freiberg po ustaniu wojny trzydziestoletniej podjął wielki trud odnowy budynków klasztornych, które uległy dewastacji w wyniku toczącej się wojny. To, co dzisiaj oglądamy – ów śląski Escorial, drugi co do wielkości obiekt sakralny na świecie to dzieło Freibergera, który rozpoczął dzieło odbudowy i budowy klasztoru w duchu baroku, kontynuowane przez jego następcę Johana Reicha i kolejnych opatów. Działo się tak dzięki pomyślnej sytuacji ekonomicznej zapoczątkowanej przez Freibergera. „Opus Magnum” twórczości Willmanna prezentowane we Wrocławiu to przede wszystkim dwanaście monumentalnych przedstawień wykonanych dla kościoła klasztorowego w Lubiążu. Organizatorzy wystawy w opisie poszczególnych obrazów przedstawiających męczeństwo dwunastu Apostołów, a także innych męczenników Kościoła, informują o pierwotnej ich lokalizacji w kościele w Lubiążu. Wiele z tych obrazów znajduje się obecnie w warszawskich kościołach. Nieszczęśliwie eksponowane, ucierpiały skutkiem braku konserwacji. Warszawa ma malarzy, którzy ją malowali. Willmann malował dla Lubiąża, zaś w Warszawie znajduje się tytułem „reparacji wojennych” jak cegła ze zburzonych nyskich kamienic, z której odbudowywano warszawską starówkę.

W katalogu wystawy pojawiły się nieśmiało głosy, by przywrócić Lubiążowi Willmanna z warszawskich kościołów, tak jak przywrócono Wawelowi jego arras. Bo tylko w Lubiążu te monumentalne realizacje mają swoje miejsce w przestrzeni kościoła, dla której je Willmann wykonał. Nad grobem Willmanna w Lubiążu mógłby powstać zespół o charakterze artystyczno-liturgicznym, w którym duchowość czasów reformy Kościoła wyrażająca

się trydencką liturgią znalazłaby dopełnienie w klimacie dzieł artysty, którego organizatorzy wystawy umieścili w nurcie sztuki zwanej „Sztuką Kontrreformacji”.

W roku 2017, zmęczony uporczywym fetowaniem zasług Lutra przez Kościół Katolicki w Austrii, pojechałem w Roku Reformacji do Trydentu. 450 rocznicę zakończenia Soboru Trydenckiego obchodzono w roku 2013 nie tylko w Austrii, raczej skromnie, prawie bez rozgłosu. A przecież było to wielkie dzieło odnowy i naprawy Kościoła. Używany w Polsce także w środowisku historyków sztuki termin „Kontrreformacja” został przeniesiony na nasz grunt z języka niemieckiego w dosłownym tłumaczeniu tego pojęcia wymyślonego przez profesora Uniwersytetu w Getyndze Jana Stefana Püttera (1725–1807). „Gegenreformation” w rozumieniu Püttera to szereg działań politycznych mających na celu restaurację władzy katolików w niektórych krajach niemieckich. Z czasem pojęcie to zostało rozszerzone na inne formy działalności Kościoła Katolickiego jak sztuka, szkolnictwo, a nawet działalność charytatywna w jego pejoratywnym, agresywnym rozumieniu jako forma zaborczości i nietolerancji. Pisząc dla „Śląska” o działalności edukacyjnej pijarów w Podolińcu, wymieniałem wśród uczącej się tam młodzieży katolickiej także protestantów, a nawet żydów. Poziom nauczania tych szkół był wysoki, co charakteryzowało przede wszystkim wszystkie kolegia jezuickie. Tym ostatnim – jezuitom – kamień „kontrreformacji” u szyi, szczególnie ciężki zawieszono. W czym więc uczestniczył Michał Willmann, malując obrazy „zaszufladkowane” przez krytykę jako sztuka kontrreformacyjna. W katalogu wystawy jeden z respondentów jednym tchem wymienia czterech największych Ślązaków drugiej połowy XVII wieku: opata krzeszowskiego Bernarda Rosę, biskupa wrocławskiego Sebastiana Rostocka, mistyka Angelusa Silesiusa i malarza Michała Willmanna. Freibergera dziwnie pomija. Byli to ludzie, bez których Śląsk nie byłby ogrodem takim, jakim go postrzegał cesarz Józef II, kiedy w rozmowie z Fryderykiem II powiedział: „Kiedyś Austria miała ogród, dziś pozostał jej jedynie płot tego ogrodu”. Myślał o granicy, która po pruskich podbojach oderwała Śląsk od jego katolickiej tradycji pielęgnowanej przez Habsburgów, przywrócić go do wyrosłej na gruncie reformacji zasadzie rządzenia: „cuius regio eius religio”. Rządy króla pruskiego z pogardą traktującego katolickich „irokezów” były od połowy XVIII wieku początkiem upad-



Michael Willmann, autoportret

ku i dezorganizacji Lubiąża przypięczonej sekularyzacją klasztoru.

Michał Willmann, którego nazywano śląskim Rembrandtem, to znów Rubensem innym razem Rafaeliem wyraził w swojej sztuce to, co było zawarte w programie odnowy Kościoła doby potrydenckiej: żywą aż po granicę męczeństwa odwagę wyznawania swoich przekonań. Gotowość do samookreślenia się podług własnego „Credo” aż po granicę męczeństwa nie tylko charakteryzowała wczesnych wyznawców Chrystusa. Gustaw Adolf konwertytów z protestantyzmu karał śmiercią. *Jako protestancki pastor* – czytam w katalogu – *zachowuję dystans wobec legend świętych i czczenia męczenników. Nie są dla mnie treścią wiary.* Tylko że to, co było treścią ich wiary, stało się przyczyną ich męczeństwa. Męczeństwo to rzecz wtórna. Któż z nas opierał się grzechowi aż do przelania krwi? Leje się krew na obrazach Willmanna. Cierpią wydani katuszom mężczyźni i kobiety. Narracja malarza jest porażająca, bo prawdziwa, także dzisiaj. Zdumiewająco trafnie pod względem anatomii charakteryzuje artysta ludzkie ciało poddane torturom. Cia-

ło świętego Wawrzyńca niemieszczące się na rozpalonym ruszcie artysta przedstawia w anatomicznym skrócie przywołującym manierę Mantegni i najlepszą tradycję malarstwa europejskiego. Prawda zawarta w malarskim kunszcie artysty ma wyrazić prawdę wewnętrzną, której sztuka jest środkiem wyrazu. Willmann nie miał powodu, by ze względów koniunkturalnych zmienić wyznanie. Oblegany przez zleceniodawców, ceniony przez cystersów miał z czego utrzymać rodzinę. Wiele też lat pracował dla opactwa, trwając w kalwińskim wyznaniu. Wewnętrzna prawda zawarta w jego malarstwie dokonała w nim tej przemiany, która czyni człowieka świadkiem Prawdy. Ciało artysty złożone po jego śmierci w chórze zakonnym to absolutne odstępstwo od norm kanonicznych. Nie chowano świeckich w przestrzeni kościoła, przeznaczanej tylko dla duchowieństwa. Ceniono jego sztukę i jej przekaz, z którym z czasem Willmann się utożsamiał, przechodząc do Kościoła Katolickiego. Gdyby konwent traktował go instrumentalnie, znalazłby miejsce, nawet jako katolik, na przyklasztornym cmentarzu. ■

19 lipca 2020 roku w piękny słoneczny dzień, w jednym z krakowskich szpitali, po długiej i ciężkiej chorobie, zmarł prof. dr hab. Franciszek Ziejka. Odszedł wybitny uczony, organizator nauki, znany społecznik, miłośnik i znawca kultury Krakowa.

Tak się wydarzyło, że biografia Ziejki w wielu swoich składnikach przypomina życiorys innego wybitnego polonisty, którego wykładów jeszcze Ziejka mógł słuchać – profesora Stanisława Pigoń. Swoją drogę życiową opisał Pigoń w autobiograficznej książce *Z Komborni w świat*, a droga ta prowadziła z podjasielskiej wioski Kombornia do godności rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Droga Ziejki wiodła zaś z podtarnowskiego Radłowa do stanowiska rektora najstarszej polskiej uczelni – Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Po zdaniu matury w radłowskim liceum ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki w roku 1958, Ziejka rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był uczniem tak znakomitych uczonych, jak Henryk Markiewicz, Kazimierz Wyka, czy Zenon Klemensiewicz. Po obronie magisterium został asystentem w Katedrze Historii Literatury Polskiej UJ. Jego debiutem naukowym była rozprawa drukowana w „Pamiętniku Literackim” (1966, z. 1) *Kraszewski i Muzeum Narodowe Polskie w Raperswilu*, choć już wcześniej podejmował on problematykę kulturową na łamach, wydawanego w Krakowie przez ludowców, tygodnika „Wieści”.

W jednym z wywiadów, przeprowadzonych z rektorem Ziejką w szacownych murach Collegium Maius, dziennikarz telewizyjny Krzysztof Ziemięcki powiedział, że kariera Ziejki była karierą w stylu amerykańskim. Nie był to pogląd słuszny. Ziejka wszystko, co osiągnął, zdobył ciężką, rzetelną pracą.

Tytułem do chwały Ziejki jest przede wszystkim jego bogaty dorobek naukowy. Załączona do *Księgi Jubileuszowej Literatura – Kulturoznawstwo – Uniwersytet* (2005) bibliografia Ziejki jest olbrzymią i obejmuje 730 pozycji. A przecież to nie wszystko, bo Ziejka pisał jeszcze przez wiele lat po tym jubileuszu. Ale nie ilość jest tu najważniejsza, lecz ciężar gatunkowy dokonań naukowych.

Cały szereg pozycji Franciszka Ziejki ma kluczowe znaczenie dla dziejów historii literatury polskiej, szczególnie lat przełomu XIX i XX wieku. Ulubionym obszarem badawczym Ziejki była literatura okresu Młodej Polski. Zaś jego metodą było śledzenie – utrwalonych w przekazach literackich – mitów narodowej wyobraźni. Temu zagadnieniu poświęcił rozprawę doktorską o „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego



Pożegnanie profesora Franciszka Ziejki

STEFAN ZABIEROWSKI

go pt. *W kręgu mitów polskich* (1977), te same problematyki dotyczyła rozprawa habilitacyjna *Złota legenda chłopów polskich* (1984).

Szczególne znaczenie dla kształtowania się osobowości naukowej Franciszka Ziejki miał jego pobyt na uczelniach zagranicznych – we Francji i Portugalii. W latach 1970–1973 był zatrudniony w charakterze lektora języka polskiego i kultury polskiej na Uniwersytecie Prowansalskim w Aix-en-Provence. Rezultatem naukowym tego pobytu

była książka *Studia polsko-prowansalskie* (1977).

W roku 1979 Ziejka przybył do Lizbony i utworzył tu pierwszy w dziejach lektorat języka i kultury polskiej. Doświadczenia pobytu w tym kraju przekazał ten badacz w książeczce *Moje spotkania z Portugalią* (1983).

Później znów przyszła Francja. W Paryżu w latach 1984–1988 prowadził wykłady z literatury i kultury polskiej w Institut National des Langues et Civilisations Orientales.

Trudno przecenić rolę pobytu w zagranicznych uczelniach dla formowania się warsztatu naukowego Ziejki. W moim przekonaniu najważniejszym dokonaniem tego badacza, rezultatem pobytu we Francji, jest monografia *Paryż młodopolski* (1993). Stanowi ona jedno z podstawowych lektur dla każdego badacza zajmującego się epoką Młodej Polski.

W imponującej tej monografii przedstawił Ziejka rolę stolicy Francji w kształtowaniu się kultury polskiej przełomu wieków. Podejmując takie zagadnienia jak miejsce Paryża jako centrum ówczesnego świata, ośrodki polskie w nadsekwąńskiej stolicy, francuscy polonofili, czy francuski sukces *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza. Całość tych, opartych na rzetelnych poszukiwaniach źródłowych, często rewelacyjnych rozważań, zamyka syntetyczny rozdział – *Młoda Polska u wrót Europy*.

Przyglądając się dokonaniom Ziejki w tych najważniejszych jego opracowaniach, warto podkreślić, że dwa spojrzenia zdają się w nich dominować – problematyka ludowa w ujęciu mitycznym oraz podejście komparatystyczne.

Ale tym podstawowym dziełem Ziejki towarzyszą jeszcze inne opracowania książkowe. Będą to zbiory studiów takich jak *Nasza rodzina w Europie* (1995), czy *Poeci, misjonarze, uczeni* (1998), ale także drobne pozycje książkowe w rodzaju *Z Montmatre na Wawel* (2009), o powtórnym pogrzebie Juliusza Słowackiego w roku 1927).

Wspomnieć też należy o licznych pracach, które ukazały się pod redakcją krakowskiego uczonego. Ale badacz ten posiadał w swoim dorobku także zrealizowane scenariusze telewizyjne. Chodzi o widowiska – *Narodziny legendy, czyli Rzecz o Panoramicie Raclawickiej* (1983), *Polski listopad* (1989), *Traugutt* (1991).

Trzeba też napisać parę zdań o Ziejce jako o nauczycielu akademickim. Wedle świadectwa jego studentów i wychowanków uczony ten obdarzony był niezwykle talentem dydaktycznym. Umiał prowadzić zajęcia, zarówno wykłady, jak i ćwiczenia, w sposób niezmiernie interesujący, daleki od wszelkiej sztampy. Dla studentów był życzliwy, ale i wymagający. Szczególnie duży nacisk – co na Uniwersytecie Jagiellońskim było normą – kładł na to, by studenci umieli korzystać z szerokiej gamy propozycji kulturowych, jakie oferował im Kraków. Obdarzony był też dużym poczuciem humoru, co chroniło go od nadmiaru uniwersyteckiej celebracji.

Rolą, która wyraźnie się wyodrębniła w biografii Ziejki, była rola organizatora życia naukowego. Krótko mówiąc, Ziejka piastował wszystkie

funkcje, jakie może piastować polski nauczyciel akademicki. Był bowiem kierownikiem Katedry Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski, dziekanem Wydziału Filologicznego UJ (1990–1993), prorektorem UJ (1993–1999), zaś w roku 1999 został wybrany rektorem tego uniwersytetu. W czasie jego kadencji 1999–2006, w roku 2000 wypadł jubileusz odnowienia uniwersytetu przez św. królową Jadwigę. Było to doniosłe wydarzenie połączone z różnymi celebracjami i powiększeniem uczelni o – finansowany uchwałą Sejmu – Kampus 600-lecia Odnowy UJ.

W wydarzeniu tym rektor Ziejka odegrał kluczową rolę. W charakterze gospodarza podejmował w murach uniwersytetu szereg wybitnych osobistości ze świata nauki, polityki i literatury, w tym głowy państw i głowy koronowane. Wśród nich najbardziej chyba oryginalną postacią był cesarz Japonii. Z właściwym sobie poczuciem humoru wspominał Ziejka, że był jednym słuchaczem koncertu, który na fortepianie, na którym grał ongiś Fryderyk Chopin, wykonywała cesarzowa Japonii.

Warto jeszcze dodać, że Ziejka pełnił funkcje przewodniczącego kolegium rektorów uczelni krakowskich, był przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Był też członkiem licznych towarzystw naukowych z Polską Akademią Umiejętności na czele.

Ale działalność Ziejki nie ograniczała się jedynie do środowiska naukowego. Ze względu na swój wysoki autorytet w podwawelskim grodzie został on powołany na zaszczytną funkcję Przewodniczącego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Ziejka zwykł mówić, że kiedy był rektorem, krakowscy kamienicznicy mijali go obojętnie, zaś kiedy został przewodniczącym Komitetu Odnowy Zabytków, ci sami kamienicznicy kłaniali się mu nisko, bowiem od decyzji Komitetu zależały pieniądze na rewaloryzację ich starych – zniszczonych zrębem czasu – kamienic.

Korzystając z dużego autorytetu, jaki posiadał w społeczności Krakowa, Ziejka występował z licznymi propozycjami. Bodaj najciekawszą z tych propozycji było umieszczenie Panteonu Narodowego w podziemiach kościoła św. Piotra i Pawła przy ul. Grodzkiej. Była to konieczność, bo po pogrzebie Czesława Miłosza, wszystkie miejsca na Skałce były zajęte. Podobna sytuacja była na Wawelu, po katastrofie smoleńskiej i pochowaniu pary prezydenckiej. Propozycja Ziejki spotkała się z aprobatą władz kościelnych i świeckich. W tym panteonie znalazło się miejsce dla prochów Sławomira Mrożka, który spoczął obok ks.

Piotra Skargi. Ostatnio umieszczono tam urny z ziemią zaczerpniętą z grobów polskich matematyków, którzy złamali kod niemieckiej maszyny szyfrującej – Enigmy – Marianna Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego.

Ziejka posiadał w swojej osobowości wyraźny rys społecznikowski. Pełniąc funkcje rektora wiele troski poświęcał sytuacji materialnej emerytowanych pracowników, nie tylko nauczycieli akademickich, lecz także pracowników administracji i obsługi.

Szczycąc się swoim chłopskim pochodzeniem, Ziejka pamiętał o potrzebach kulturalnych biednej młodzieży wiejskiej. Korzystając z pomocy Kościoła krakowskiego zorganizował pobyt w Krakowie młodzieży wiejskiej. Dzieciarnia ta zwiedzała pod fachową opieką zabytki miasta, a po budynkach uniwersyteckich oprowadzał ją sam rektor. Czy mamy jeszcze takich rektorów?

Pełniąc liczne zaszczytne, prestiżowe funkcje Ziejka pozostał zawsze – co podkreślają zawsze ludzie, którzy go dobrze znali – człowiekiem skromnym, bezpośrednim, niemającym za grosz snobizmu. Wyróżniała go duża kultura osobista i życzliwość dla ludzi.

Na zakończenie słów parę o związkach profesora Ziejki z Uniwersyteciem Śląskim. Warto przypomnieć, że na naszej uczelni od chwili jej powstania pracowała grupa nauczycieli akademickich, która przybyła tu z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Byli wśród nich koledzy i wychowankowie Ziejki.

Natomiast formalne związki Franciszka Ziejki z Uniwersyteciem Śląskim miały swój początek – można to dokładnie określić – 8 listopada 1974 roku. Wówczas to Franciszek Ziejka, zaproszony do udziału w ogólnopolskiej konferencji organizowanej z okazji 50 rocznicy śmierci Josepha Conrada-Korzeniowskiego przez naszą uczelnię, wygłosił referat *Conrad w Marsylii*. Dał w nim nowe naświetlenie jednego z najbardziej dyskutowanego przez badaczy fragmentu życiorysu Conrada. Należy też przypomnieć Ziejki udział w charakterze recenzenta w przewodach habilitacyjnych. Na wzmiankę zasługuje też wystąpienie Ziejki na temat godności uczonego, towarzyszące koncertowi muzyki Wojciecha Kilara z okazji uroczystości uniwersyteckiej.

Dziś to wszystko rozdział zamknięty. Ale Ziejka pozostał na długo. Pozostanie dzięki swoim dokonaniom naukowym. Ale pozostanie we wdzięcznej pamięci swoich przyjaciół i uczniów jako wzór nauczyciela akademickiego. Tylko tyle i aż tyle. ■

Do specyficznych rysów historycznych Śląska Cieszyńskiego zdaje się należeć upowszechnienie edukacji wśród niższych warstw społecznych, uwarunkowane m.in. czynnikami politycznymi (w habsburskiej Austrii), ekonomiczno-cywilizacyjnymi (wczesna modernizacja) i religijnymi (protestancki postulat lektury Pisma Świętego i egalitaryzm). Chodzi nie tylko o bardzo wysoki stopień alfabetyzacji ludności, ale wręcz o ni rzadkie przykłady chłopów, którzy byli właścicielami biblioteczek, prowadzili kroniki z ważnymi dla siebie informacjami i wypisami, interesowali się zarówno lokalną przeszłością, jak i zdarzeniami na świecie oraz angażowali w życie społeczne. Zjawisko to komentował we własnym dzienniku bibliofil z Ustronia Józef Pilch (1913–1995), relacjonując jedną ze swych prelekcji: „[K]olejno scharakteryzowałem cieszyńskich miłośników książki, takich jak Gajdzica, od którego rozpoczynając [doszedłem] aż po Jana Wantułę. Ludzie ci nie posiadali poza szkołą podstawową żadnego innego wykształcenia, czyli byli to samoucy, prości chłopcy i robotnicy. Że księża, nauczyciele mieli trochę książek, dziwić się nie należy, bo potrzebowali ich do swej pracy, ale jeżeli chłop, a później robotnik gromadził książki i je czytał – to już co innego, to świadczy o wielkim umiłowaniu i głodzie słowa drukowanego”.

Wspomnianego furmana Jurę Gajdzicę (1777–1840) z Małej Cisownicy – którego 180-lecie śmierci przypada w bieżącym roku – uważa się za naczelnego protoplastę owego szeregu plebejskich bibliofilów, sporządzających też tzw. zapiśniki „dla pamięci narodu ludzkiego”. Tak właśnie brzmi tytuł jego protopamiętnika z wiadomościami na temat wojen napoleońskich oraz sytuacji społeczno-gospodarczej i ewangelickiego życia religijnego w Cieszyńskim, a także z odpisem kroniczki wydarzeń w regionie od XIII w. Co więcej, swoje książki (ponad 60) Gajdzica oprawiał w skórę i opatrywał znakiem własności – pierwszym polskim ekslibrisem chłopskim.

* * *

Jako odkrywca tego sensacyjnego zapiśnika zasłynął Jan Wantuła (1877–1953) z Ustronia-Gojów – nadzwyczajny samouk, którego bez przesady wolno nazwać plebejskim humanistą. Chociaż zmuszony warunkami materialnymi ukończył zaledwie trzy klasy, by zarobkować w hucie, zdobył na własną rękę imponującą wiedzę. Został publicystą, działaczem naro-



Gustaw Morcinek (pierwszy z lewej) u Jana Wantuły (w środku) z wycieczką dziennikarzy – 1952 r.

Bibliofilska sztafeta

KATARZYNA SZKARADNIK

dowym, społecznym i luteranckim, pomologiem, krzewicielem czytelnictwa, a przede wszystkim uznanym bibliofilem i badaczem przeszłości Cieszyńskiego. Z jego cenne go księgozbioru – zawierającego ok. 3000 tomów, w tym starodruki i egzemplarze z dedykacjami sławnych pisarzy – korzystali naukowcy i literaci, tacy jak Władysław Orkan, goszczący u Wantuły na wczasach. Zresztą autor *Kart z dziejów ludu Śląska Cieszyńskiego* utrzymywał serdeczne kontakty listowne m.in. z Julianem Ochorowiczem, Marią Wysłouchową, Andrzejem Niemojewskim, Pawłem Hulką-Laskowskim, Wincentym Lutostawskim, Tadeuszem Mikulskim, Wincentym Ogrodzińskim czy Rafałem Urbanem. Ich pełny obraz daje *Zmieszany zapach książek i jabłek. Wybór korespondencji Jana Wantuły z lat 1899–1953*, który ujrzał światło dzienne z okazji 140. rocznicy urodzin głównego bohatera tomu.

Rozgłos i renomę przyniosło mu nie tylko opublikowanie z komentarzem w 1930 r. zapiśnika Gajdzicy, lecz także przełomowy szkic o jego ekslibrisie, wydany pod egidą Towarzystwa Miłośników Ekslibrisów w Warszawie w 1935 r. Rok wcześniej członek towarzystwa Tadeusz Szpakowski informował w liście: „Opracuje broszurkę p. redakt[or] Edward Chwałewik, znany bibliofil, pierwszorzędnym znawcą ekslibrisu polskiego. Po-

nieważ sprawa ekslibrisu Gajdzicy ma o wiele szersze znaczenie niż na partykularzu ekslibrisowym, zamierzona broszurka wniesie swą dań do historii kultury polskiej w ogóle, a śląskiej w szczególności”.

Jak wyjaśniał Gustaw Morcinek w biografii literackiej autora *Książek i ludzi*: „Ów diariusz [tzn. zapiśnik – K. Sz.] wywołał zrozumiałe zainteresowanie wśród uczonych, gdy Wantuła ogłosił jego treść ze swymi uwagami w »Silva Rerum«, a następnie w cieszyńskim kwartalniku »Zaranie Śląskie«. Najbardziej zaś intrygował wszystkich ekslibris Gajdzicy umieszczony na rękopisie. Uczenni zachodzili w głowę, skąd takiemu prostaczkowi do ekslibrisu, i podejrzewali go szpetnie, że zmajstrował mu go [...] drukarz lub grafik. Ponieważ jednak Jura Gajdzica wianował swym dzieciom inne swoje rękopisy [raczej księgi – K. Sz.], a każdy był ozdobiony jego ekslibrisem, przeto Jan Wantuła, sprawdzając je, przekonał się, iż wykonywał je autor własnoręcznie, bardzo misternie [...]”.

Fragment protopamiętnika cisownickiego wozaka trafił do *Wyboru pisarzy ludowych* Stanisława Pigionia, który listownie powiadomił odkrywcę, że wymienił tam i jego nazwisko. Z kolei Zofia Kossak-Szatowska kajała się przed Wantułą w 1931 r.: „Dopiero dziś odpisuję na list Pana, gdyż chciałam przesłać go ra-

zem z zeszytami „Tygodnika [Ilustrowanego]”, w których drukowano nowelę o Ustroniu, Jurze [Gajdzicy] i [poecie i historyku literatury Kazimierzu – K. Sz.] Brodzińskim. [...] Krótką wzmiankę o Gajdzicy znajdzie Pan również [w opowiadaniu *Różnymi drogami* – K. Sz.] w książce mojej pod tyt[ulem] *Nieznany kraj*, która wyjdzie z druku jeszcze tej jesieni. Bardzo będę ciekawa zdania Pana o niej”.

Znaczenie, jakie wydobyciu z zapomnienia autora *Dłó pamięci Narodu Ludzkiego* przypisywał adresat listów, analizował bibliograf i kustosz Ludwik Brożek w „*Śląsku Literackim*” (1953, nr 6/7): „Prace o Jurku Gajdzicy [...] były swego rodzaju rewelacją, najwięcej radującą samego Wantułę: oto jego okolice rodzinne wydały kronikarza ludowego i posiadacza okazałej biblioteczki z własnym ekslibrisem już w tych czasach, kiedy masa chłopska w całej Polsce tkwiła [...] w ciemności i zacofaniu – a jemu, jego następcy, [...] przypadł w udziale zaszczyt pokazania go cząsom dzisiejszym”. Słowem, Wantuła traktował Gajdzicę jako duchowego antenata i włączał się w korowód regionalnych plebejskich „księgołubów” sięgających po pióro, mianując siebie (w narzeczu cieszyńskim) „dziedzicznym piśmiorzyczem”.

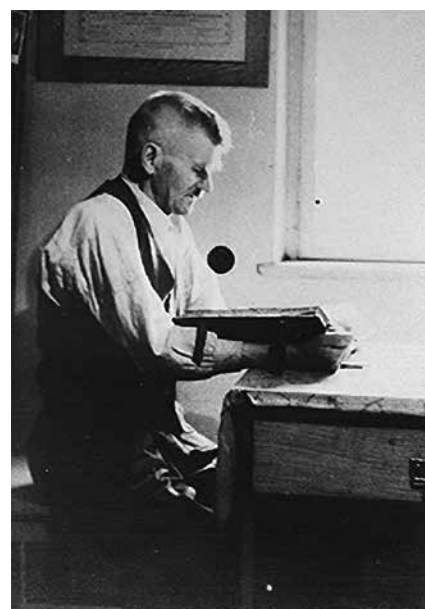
* * *

Spadkobiercą autora *Kart z dziejów ludu...* można zaś nazwać cytowanego już Pilcha, którego ćwierćwiecze śmierci także mija w 2020 r. W przedmowie do jego *Ustronia 1939–1945* historyk i nestor biografistyki śląskiej Alojzy Targ tak go charakteryzował: „Józef Pilch jest samoukiem wysokiej klasy. W tym wypadku jest godnym następcą wielkiego ustroniaka Jana Wantuły, którego był serdecznym przyjacielem i powiernikiem. Jest również wybitnym bibliofilem [...]. Pole działalności ogarniał zawsze rozległe”. Istotnie, ów długoletni księgowy PSS „Społem” w Ustroniu, podobnie jak odkrywca Gajdzicy, dał się poznać jako historyk regionu, publicysta, koneser książek w ogóle, a silesiaków w szczególności; ponadto jako działacz spółdzielczy, biograf i memuarysta. Zaprzyjaźnieni przedstawiciele świata nauki cenili rzetelność monografii *Polskie pierwodruki cieszyńskie czy Z dziejów Robotniczego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Siła” na Śląsku Cieszyńskim (1908–1939)*, prócz których miał na koncie m.in. ok. 200 artykułów historycznych, współautorstwo *Słownika gwarowego Śląska Cieszyńskiego*, redakcję ośmiu roczników

„*Pamiętnika Ustrońskiego*” oraz hasła do *Polskiego i Śląskiego słownika biograficznego*. Jego urozmaicone kontakty listowne z literatami, redaktorami, badaczami przeszłości, miłośnikami książek, artystami, spółdzielcami i dawnymi PPS-owcami skłoniły redaktorkę korespondencji Wantuły do upamiętnienia zasynalizowanej rocznicy przez opublikowanie także spuścizny epistolarnej Pilcha. (Skądinąd, już w 100-lecie jego urodzin ukazał się 544-stronicowy wybór z dziennika.)

Do najważniejszych przyjaciół autor *Ustronia 1939–1945* zaliczał właśnie Wantułę, aczkolwiek istniała między nimi znaczna różnica wieku. Pod koniec życia popularyzator Gajdzicy Pilch asystował mu w pracach naukowych, m.in. przepisywał na maszynie jego artykuły i wypożyczał dla niego materiały z Biblioteki Śląskiej. Po latach na łamach „*Pogłądów*” (1977, nr 20) dzielił się reminiscencjami z rozwoju owej znajomości: „Jerzy Lazar [ze »Społem«] powiedział mi, że Wantuła z Gojów interesuje się moją biblioteczką i prosi, ażebym wstąpił do niego. [...] Jeżeli jego artykuły robiły [...] wrażenie, to oddziaływanie jego osobowości było o wiele silniejsze. [...] Nasza pierwsza powojenna rozmowa rychło potoczyła się na temat książek. [...] pytał, co już mam w bibliotece, co się uratowało z okresu okupacji. [...] [Gdy] żegnałem go, popatrzył mi prosto w oczy i prosił, abym za tydzień znowu zaglądnął. [...] [Jeżeli] nie mogłem na przestrzeni dwóch tygodni wstąpić na Goje, to dzwonił do mnie z telefonu sąsiada [...], że ma coś ważnego dla mnie, że czeka na mnie. Spotykaliśmy się, bo dla obydwóch było to potrzebą duszy”.

Osoby znające obydwu wskazywały nie tylko na podobieństwo pasji niezwykłych autodyktów, lecz również na ich powinowactwo duchowe. Już w „*Kalendarzu Śląskim*” na 1962 r. uwypuklał je dziennikarz i działacz polonijny Władysław Oszelda: „O Janie Wantule [...], człowieku o niespożytej energii i dużych zasługach jako historyka ziemi cieszyńskiej i cenionego w całej Polsce bibliofila, dość szybko zapomnieliśmy. [...] [Jednak] ten skromny człowiek spod Czantorii pozostawił swe ślady nie tylko w pismach i zasobnej bibliotece, ale i w ludziach, którzy go otaczali [...]. Do takich właśnie należy Józef Pilch z Golezowa. Niedługa była droga wiodąca go na Wantułowę Goje. [...] Trudno by mi dziś było powiedzieć, w jakim stopniu przyjaźń ta formowała Józefa Pilcha, który już od dziecka interesował się nauką, życiem społecznym, ruchem



Jan Wantuła w swoim pokoju bibliotecznym, 1932 r.

amatorskim”.

Bohater przytoczonego fragmentu opowiadał o wpływie swego mentora – ale też odkrytego przezeń poprzednika – np. na wojewódzkim zjeździe działaczy kulturalno-oświatowych w ustronim domu kultury w 1978 r. W dzienniku zanotował: „Przedstawiłem sylwetkę Jury Gajdzicy i [...] udowaadniałem, że zajmowanie się naszą przeszłością, kontakty z miłośnikami książek wzmocniły [moje] urabiane już w szkole powszechnej, a może już trochę przyniesione ze sobą na świat – zamiłowanie do książki. [...] [Mówiłem także] o kontaktach z Janem Wantułą. Przedstawiłem moje wędrowki na Goje, rozmowy o książkach, o ludziach i innych sprawach. Dałem do zrozumienia, że przyjaźń ta pozostawiła [...] dożgonną wdzięczność za pogawarki, które bogaciły umysł wśród jego książek”.

* * *

Rzeczona „niedługa droga na Goje” prowadziła z Golezowa-Równi, gdzie Pilch mieszkał wtedy z rodziną siostry; tymczasem kilkanaście lat po śmierci autora *Książek i ludzi* zbudował dom w tej samej dzielnicy. Toteż w „*Pogłądach*” z 1974 r. (nr 2) Krystyna Heska-Kwaśniewicz pisała: „Gdy wędruje się urokliwymi drogami kotliny wiślańskiej, warto przystanąć na chwilę na szosie wiodącej z Ustronia do Cieszyna [...]. Od tej szosy wiedzie w bok droga na Goje. Tu mieszkał Jan Wantuła, tu także mieszka Józef Pilch, do którego trafi każdy, kto interesuje się problematyką regionu cieszyńskiego. [...] Pracownia Józefa Pilcha, pełna pamiątek przeszłości, posiada ten rzadko już spotykany klimat miejsca, w któ-

rym każdy przybysz szukający pomocy i rady czuje się dobrze”.

Z owej niewielkiej odległości redaktor i poeta Kazimierz Kaszper wysnuł w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” ([GZC] 1983, nr 8) radykalny wniosek odnośnie do *genius loci*: „Nieopodal leży punkt ciężkości prawie że równobocznego 500-metrowego trójkąta, którego [...] wierzchołki wyznaczają [...] nazwiska Jury Gajdzicy, Jana Wantuły i Józefa Pilcha. [...] [Ten ostatni] Jest dziedzi- cem i kontynuatorem wyjątkowego, acz charakterystycznego dla Śląska Cieszyńskiego zjawiska, któremu na imię i miłośnictwo rodzinnej ziemi, i głęboka znajomość jej dziejów oraz kultury mieszkańców, i samouctwo, i – zrodzone niejako z tych postaw – bibliofilstwo. [...] W cisownicko-gojowskim trójkącie pałeczka przechodzi z rąk do rąk”.

W tym kontekście znamion symbolu nabiera podarowanie Pilchowi przez mistrza *Książeczki o sadzie i owocu...* ks. Karola Kotschego z dedykacją z 28 lipca 1953 r.: „[...] Miłośnikowi Książki, skrzętnemu zbieraczowi silesiaków, ofiarował przyjaźnie Jan Wantuła z Goji”. Przesyłkę dostarczył dzień później syn obdarowyjącego – już po jego śmierci. (*Notabene*, nie był to jedyny „prezent zza grobu” otrzymany przez autora *Ustronia 1939–1945*, który przypisywał im jeszcze inne znaczenie. Publikacja Karola Ludwika Konińskiego pt. *Robotnik bibliofilem*, poświęcona mentorowi Pilcha, wywoływała u niego takie oto asocjacje: „Mając ją w ręku, to jakbym miał przed oczyma żywego jeszcze bibliofila. [...] Wantuła podarował ją Lazarowi, a Lazar przekazał w ostatnim liście – jakby w testamencie – dla mnie. Obydwa te serca – w martwej broszurze, ale się odczuwa”.)

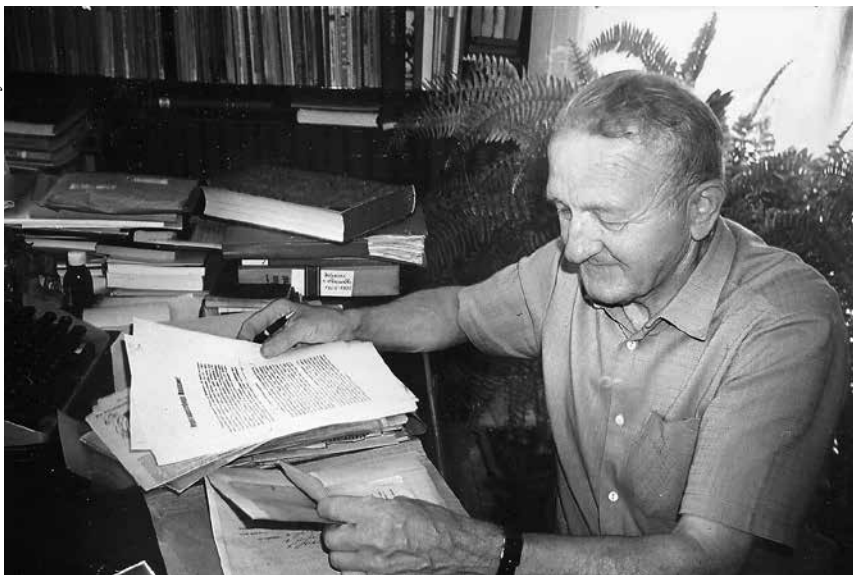
Warto dodać, że wybór *Książeczki o sadach i owocu...* był nieprzypadkowy. Kiedy regionalista Jan Broda przysłał Pilchowi pewne cymelium i ten chciał się odwdziżyć, darczyńca w liście z 1974 r. próbował wyperswadować mu rekompensatę: „O odpłatność się nie pytaj. Zawsze lepiej dawać – jeśli sprawi się tym komuś zadowolenie – aniżeli brać. Przyjadę kiedyś jak do starego Wantuły na jabłka – i to będzie Twoja zapłata”. Z kolei prezes Towarzystwa Miłośników Ustronia Stanisław Niemczyk powiedział na pogrzebie młodszego z bibliofilów (zob. „Pamiętnik Ustroński” [PU] t. 9): „Tak jak kiedyś wychodziło się z domu Wantuły na Gojach obdarowanym dorodnym jabłkiem [...], ciekawą książką bądź doradczym słowem, tak każdy z nas wychodził przez wiele lat od Pilchów”. Motywy te sprzęgły się też w narracji autora *Z dziejów RSKO „Siła”*... dla ekipy telewizyjnej: „Z pewną treścią oczekiwałem audycji, w której przedstawiłem dom pierwszego bibliofila chłopskiego [...], Jury Gajdzicy. Opowiedziałem również o tradycjach ogrodniczych na Śląsku Cieszyńskim, przedstawiłem pioniera tego ogrodnictwa, pastora Karola Kotschego, jego *Książeczkę...* oraz powiedziałem coś na temat moich zbiorów”. Owego proboszcza, publicystę, autora elementarza i wierszy także można włączyć do szeregu „piśmiornicy” – uczynił to Broda w „Kalendarzu Beskidzkim” w 1990 r.: „Kiedym przed ćwierć wiekiem po raz pierwszy przestąpił progi domu [Pilcha – K. Sz.], aż mi serce podskoczyło z radości, że [...] datująca się od czasów ks. Kotschego [...] przez Jana Wantułę [...] [ustrońska – K. Sz.] pałeczka bibliofilska przeszła na obecnego Jubilata”.

O sukcesji między dwoma ostatnimi napomknął nawet w „Życiu Literackim” (1984, nr 1668) Celestyn Kwiecień: „Na Śląsku Cieszyńskim żywą działalność bibliofilską rozwijał Jan Wantuła z Ustronia, znawca starej książki śląskiej. Jego śladami nieco później poszli Jan Broda z Górek Wielkich i Józef Pilch”. Wilhelm Szewczyk, zaakcentowawszy w „Dzienniku Zachodnim” (1984, nr 123) wartość poznawczą pozycji *Zasłużeni ludzie Ustronia* oraz *Ustroń 1939–1945*, konstataował: „Józef Pilch jako badacz i działacz jest motorem wielu tych akcji uświadamiających w sensie historycznym. Pisał o nim Alojzy Targ, że jest godnym następcą Jana Wantuły. Również i ja jestem o tym głęboko przekonany”. Oszelda zaś, trzy dekady (!) po cytowanym artykule, przypominał (GZC 1996, nr 8): „Śladami pana Jana podążałam i kontynuowałam rozpoczęte przez niego dzieło [...] jego przyjaciel, [...] autor wielu opracowań historycznych, animator społeczny, niestrudzony po krańce życia Józef Pilch”. Na ich związki zwracał też uwagę w rozmowach prywatnych, skoro pisarka Maria Wardasówna zapowiadała bibliofilowi z Gojów na pocztówce z 1966 r.: „Chętnie się do Pana wybiorę [...] zobaczysz Pana zbioru, gdyż jak mnie informował red. Oszelda, po Wantule jest Pan najwybitniejszym zbieraczem materiałów historycznych”. Najdalej w podkreślaniu ich podobieństwa poszła Hesk-Kwaśniewicz w przywołanym już tekście: „Dzisiaj Józefa Pilcha nazywa się drugim Wantułą”.

* * *

Przybliżając sylwetki laureatów Nagrody im. J. Ligonia, Franciszek Marek tak prezentował Pilcha na łamach „Katolika” (1984, nr 2): „Jako samouk posiadał dużą wiedzę – zyskującą mu uznanie ludzi nauki – w zakresie historiografii, bibliofilstwa i kolekcjonerstwa. Zaprzyjaźniony z Janem Wantułą i Ludwikiem Brożkiem podjął nie bez ich namowy i doradztwa badania nad przeszłością swojego regionu. Zgromadził okazały księgozbiór, liczący ponad 3 tysiące nierzadko pozycji unikalnych. [...] Publikuje prawie we wszystkich czasopismach śląskich [...]. Twierdzi, że nie dokonał niczego nadzwyczajnego, bo robił tylko to, co lubił”. Bohatera tej charakterystyki rzeczywiście cechowała niebywała skromność, swoją działalność traktował w kategoriach obowiązku; zapewne więc zgodziłby się z patetycznym stwierdzeniem zaprzyjaźnionego ustrońskiego robotnika Rudolfa Mitręgi, też samouka, z listu z 1995 r.: „Przejął się

fol. arch.



Józef Pilch podczas pracy, ok. 1990 r.

dziedzictwo kulturotwórcze począwszy od autorów dawnych pierwodruków do miłośników książki takich jak [Paweł] Stalmach, Jura Gajdzica czy Jan Wantuła. Nie mamy trwającego wiecznie życia doczesnego, ta oczywista prawda nakazuje nam przez nas dokonane pomnażanie wartości przekazać następnym pokoleniom”.

Służyła temu m.in. popularyzacja historii regionu, choćby w formie wykładów. Jak zanotował Pilch w 1974 r.: „Na prośbę [Jana] Kropa wygłosiłem w liceum w Wiśle prelekcję na temat »Bibliofilstwo na Śląsku Cieszyńskim«. [...] opowiedziałem o początkach książki polskiej [...], o pisarzach i wydawcach, przedstawiłem miłośników książek oraz pisarzy ludowych, jak Jura Gajdzica, Jan Wantuła, Jan Śniegoń z Wisły. Powiedziałem również coś na temat roli książki [...] dla utrzymania polskości i kultury polskiej na tym terenie. [...] Wspominałem o robotnikach ustronńskich, jak Adam Sikora, Jan Sztwiertnia, Jerzy Lazar, którzy już przed I wojną światową mieli miniaturowe biblioteczki, składające się z około 50 książek. Omówiłem miłość książek i ich znaczenie wśród Polaków za granicą, ich oddziaływanie na serca tych, którzy je miłują, tą czarującą magią, która potrafi godzić ludzi”.

Niniejszy szkic koncentruje się na swoistym łańcuchu dziejowym, lecz miłośnictwo książek łączy przede wszystkim tu i teraz. Z korespondencji autora *Ustronia 1939–1945* wypada wybrać przykład ilustrujący pośrednictwo postaci Wantuły w owym nawiązywaniu przyjaźni, mianowicie znajomość z Wittem Wójcikiem. W pierwszym liście do Pilcha, z 1985 r., ten bibliofil z Nysy tłumaczył, że od dawna fascynuje się biografią i działalnością jego mentora: „Wywarł on na mnie głęboki wpływ duchowy, powiedziałbym nawet – charyzmatyczny”. Co ciekawe, wśród listów od Wójcika zachował się maszynopis eseju *Czym jest dla nas i przyszłych pokoleń Polaków życie i dzieło Jana Wantuły* z dedykacją: „Nieocenionemu Panu Józefowi Pilchowi, który przyczynił się do poznania i przybliżył mi postać mojego Mistrza Duchowego – szkic ten poświęca Wit Wójcik”.

Za sprawą postaci Wantuły przebiegły także ścieżki autora *Polskich pierwodruków cieszyńskich* i kustoszki m.in. Biblioteki Uniwersytetu Śląskiego, Anny Radziszewskiej. Okoliczności przybliżyła list Pilcha do promotora jej dysertacji, Kazimierza Wyki: „[O]dważę się powiedzieć, że praca p. Radziszewskiej wiernie odtwarza ciężkie życie Jana Wantuły, Jego wiel-



Józef Pilch w swojej bibliotece, ok. 1990 r.

ką miłość do książki, do Ojczyzny [...] i zamiłowania pisarskie. Za to, że Pan Profesor wyznaczył za temat pracy doktorskiej robotnika ustronńskiego, który potrafił sobie utorować drogę do celu i wydobyć z siebie wszystkie wartości, jakie w nim tkwiły, zasyła serdeczne podziękowanie – jeden z nielicznych już przyjaciół Jana Wantuły”.

* * *

O istnieniu *genius loci* zapewniał też profesor Jan Szczepański – chrześniak autora *Książek i ludzi*, a zarazem kolega z klasy Pilcha – który w broszurze wydanej na 80. urodziny tego ostatniego przekonywał, że jego pisarstwo „wrosło na szczególnej glebie, na tej, z której wyrosło pisarstwo dwóch jego poprzedników: Jury Gajdzicy i Jana Wantuły. Gdybyśmy nanieśli na mapę miejsca ich działania, otrzymalibyśmy trójkąt nieduży o wierzchołkach w Cisownicy, na Gojach i w Równi. Boki tego trójkąta miałyby tylko kilka kilometrów. Ale jaka urodzajna w nich gleba, że dały one społeczności śląskiej tyle dzieł [...]”.

Niemniej wywód ten socjolog zakończył słowami: „wypromienionych z ich wielkich indywidualności”, horyzonty Wantuły i Pilcha bowiem bezsprzecznie przekraczały skalę Śląska Cieszyńskiego. O pierwszym z nich nadmieniał Zbigniew Hierowski w *Życiu literackim na Śląsku w latach 1922–1939*, że stanowi zjawisko „osobliwe, oryginalne, wyrastające w sposób zdecydowany ponad przeciętność, a także ponad normalny poziom intelektualny chłopskiego pisarza”. Obaj mogli osiągnąć dużo więcej i nie ograniczała ich lokalność

– raczej sami ograniczyli się do niej, świadomie wybierając więc z konkretnym terenem, z jego historią i kulturą, oraz służbę tej ziemi. W „Biuletynie Informacyjnym Biblioteki Śląskiej” (1974, t. 19) Pilch wspominał m.in., że wkrótce po wojnie zapytał Wantułę o syna, Andrzeja (pełniącego wtedy funkcję proboszcza polskiej parafii w Londynie), i dowiedział się, że ojciec „z utęsknieniem czekał na niego. Twierdził, że każda indywidualność ludzka może nabrać znaczenia tylko na własnej ziemi, w środowisku własnej kultury”. Z przeświadczeniem tym koresponduje puenta nekrologu Pilcha autorstwa Szczepańskiego (PU t. 9): „Bez wielkich tytułów, bez rozgłosu w mediach, pisał i tworzył pamięć zbiorową społeczności swojej ziemi. [...] Uczni studiujący dzieje Śląska znajdą w jego pracach materiały empiryczne, interpretacje pozwalające zrozumieć bieg zjawisk i procesów [...]. Przemijają ludzie, pamięć ich poczynąń i działań, przemijają organizacje, prawa [...]. Pozostało po nich tyle, ile zapisali kronikarze i historycy. Bo słowa pisane trwają ponad przemijaniem ludzi i rzeczy”.

Cytaty zaczerpnięto z tomów: J. Pilch, *Dziennik. Zapiski bibliofila i dziejopisa z lat 1963–1995*, Ustroń 2013; *Zmieszany zapach książek i jabłek. Wybór korespondencji Jana Wantuły z lat 1899–1953*, Ustroń 2017; a także „*W atmosferze ksiąg, gór i bliskich dusz*”. *Wybór korespondencji Józefa Pilcha z lat 1936–1995*, który ukaże się pod koniec 2020 r. (Osoby zainteresowane tymi pozycjami ich redaktorka zachęca do kontaktu: katka.szkaradnik@gmail.com).

Konrad Wrzos „Oko w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce”

MARIAN SWORZEŃ

Pprzedwojenna publikacja „Czy wiesz kto to jest?” wydana w roku 1938 pomija osobę autora. Zdziwił mnie brak Wrzosa, prymusa sanacyjnej publicystyki. Spojrzałem do tomu z uzupełnieniami: był. Przytaczam, bez listy książek, jego hasło: „Dziennikarz. Publicysta. Sprawozdawca polityczny i szef warszawskiego IKC. Odznaczenia: Krzyż Zasługi złoty, Legia Honorowa, Korona Włoska, Korona Rumuńska, węgierski Krzyż Zasługi. Warszawa, Krakowskie Przedmieście 5”. Krótkie, to prawda, ale nic w tym złego, dzisiaj wiemy o Wrzosie znacznie więcej. Wiedzę tę – ogólnie, acz z ideologicznymi wtrętami – zawiera przedmowa Kazimierza Koźniewskiego, natomiast czytelnicy zainteresowani szczegółami bez trudu znajdą w internecie opracowania autorstwa Krystyny Sanetry i Tomasza Lachowicza. Dzięki nim mogłem zestawzić najważniejsze zręby życiorysu Konrada Wrzosa.

Urodził się w roku 1905 w Warszawie w zamożnej rodzinie mieszczańskiej Stanisława i Gustawy Rosenber-

gów. Jego ojciec był właścicielem znanej cukierni. Konrad, nie ukończywszy szkoły średniej, w roku 1923 rozpoczął dziennikarskie próby w PPS-owskim „Robotniku”. Stamtąd przeszedł do „Kuriera Polskiego”, jednego z czołowych pism tamtego czasu. Używał niezmiennie pseudonimu Wrzos. W „Kurierze” zyskał zawodowe ostrogi, m.in. przeprowadził wywiad z Piłsudskim na krótko przed zamachem majowym. Po pracy w innych redakcjach trafił ostatecznie do ogólnopolskiej czołówki – „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

W redakcji „IKC-a” był do wybuchu wojny, pełniąc funkcję szefa działu stołecznego. Zarabiał niewyobrażalnie wysoko (4,5 tysiąca złotych). Jeździł wiele po kraju, Europie i świecie (Argentynę i Brazylię opisał w książce *Yerba Mate*). W roku 1933 wydał *Oko w oko z kryzysem*, rok potem – po objęciu państw otaczających Niemcy – ukazała się książka *Kiedy znowu wojna*, w kolejnym zaś zapis objazdów krajów bałkańskich zawarty w dwóch zbiorach *Wulkany Europy* i *Rewolucja w Grecji*. Spraw krajowych dotyczyła książka *Piłsudski i piłsudczycy*, zawierająca wywiady z czołowymi postaciami obozu rządowego. W roku 1937 spędził kilka miesięcy we Francji, czego pokłosiem była książka *Francja dzisiaj*. Krótko przed wojną wydał książkę o szefie MSZ, Józefie Becku oraz zbiór wywiadów z głowami kilkunastu europejskich państw i szefów armii. Przełom roku 1938/39 spędził w USA. Po powrocie do kraju rychło wyjechał do Paryża jako korespondent polityczny. Przed wybuchem wojny postanowił wrócić do Polski – 1 września zastał go w Mediolanie, stamtąd do Lublina. Potem już był odwrót do Bukaresztu, a z Rumunii do Paryża. Po opuszczeniu Francji zamieszkał w neutralnej Portugalii. W roku 1942 wyjechał do Brazylii. Żonaty

z Amerykanką – Catherine, miał z nią córkę Gustawę. Na emigracji utrzymywał się z pracy w firmach biznesowych, wydał przewodnik po Brazylii, w życiu miejscowej Polonii nie uczestniczył, widywano go czasami w kręgach dyplomatycznych. Zmarł w Rio de Janeiro w roku 1974 i tam jest pochowany.

To tyle o człowieku. Spytajmy zatem, jak pisał i co wyróżniało jego teksty. Chociaż za chwilę ujrzemy ich krótkie fragmenty, warto poznać słowa Juliusza Kadena-Bandrowskiego o stylu Wrzosa: „Chce w swej robocie zostać możliwie najwzięźlejszym i najdokładniejszym. Nie tylko więc nie dąży do rozbudowy zdania, do rozkołysania prozy, do „blików” czy smaczków prozatorskich, ale ściąga swą obserwację i jej stylistyczną ekspresję do granic lakoniczności”. Po przypomnieniu, że „blik” to błysk, możemy teraz przejść do omówienia dzieła Wrzosa, w którym obraz Śląska dwakroć rozbłysnął.

Z książki *Oko w oko z kryzysem* – wznowionej 50 lat od jej pierwszego wydania – wybieram wyłącznie dwa artykuły, te o Śląsku (*W hutach, kopalniach i bieda-szybach* i *Tajemnica ceny węgla*). Innych z tego reporterskiego dzieła wielkich rozmiarów nie lekceważę i nie pomijam – są w książce, nic ich stamtąd nie wyrwie. Wszystkie razem składają się na opis rzeczywistości tamtych czasów. Ten zapis nie jest wesoły, to nie są sceny z dancingu w „Ziemiańskiej”...

Wrzos przyleciał w styczniu 1933 roku. „Samolot osobowy linii lotniczych „Lot” oderwał się od ziemi i pomknął w kierunku Katowic”. Oto co dostrzegł na krótko przed lądowaniem na Muchowcu: „Między pokrytymi śniegiem wzgórzami, otaczającymi miasto, masa ciemnych punktów odcina się wyraźnie na białym tle krajobrazu. Dokoła tych punktów pełzają mali ludzie – takimi wydają się z góry – z wózkami i sankami”. I zaraz wyjaśnienie: „To bieda-szyby”. Ten krótki myślnik jest w oryginalne, i tak go pozostawiam... Pierwsza refleksja reportera: „Z wysokości tysiąca metrów widzi się kryzys lepiej. Spośród mniej więcej 60 wielkich kominów dymi się co najwyżej dwie trzecie”. Prosto z lotniska pojechał do Nikiszowca, by w rozmowie ze starszym

phot. arch.



Konrad Wrzos

cechu kominiarskiego ustalić ilość kominów na Śląsku, ale nie uzyskał ścisłej odpowiedzi poza tą, że ludźmi coraz trudniej kupować opał. Był w wydziale opieki urzędu wojewódzkiego (zarejestrowano tam 100 tysięcy ludzi bez pracy), a potem w siemianowickiej stołówce dla bezrobotnych wydającej dziennie 3.700 obiadów (w granicach województwa jest 120 podobnych jadłodajni wydających 100 tysięcy posiłków dziennie). Statystyka górnictwa za lata 1929 (34,5 mln ton węgla, 54 kopalnie, 94.441 pracowników) i 1933 (21,5 mln ton, 42 kopalnie, 55.562 ludzi) zostaje zacytowana w artykule bez komentarza (dopisuję dla porównania dane współczesne, AD 2019: 61,4 mln ton, 43 kopalnie, 91.000 pracowników). Oprowadzono go po hucie cynku w Wełnowcu, dzielącej zapasć wspólnie z innymi cynkowniami. Odwiedził kilka kopalń, był w hucie w Siemianowicach („Z przeszło 2000 robotników, pracujących w r. 1929, pozostało obecnie na stanowisku kilkuset. Pracują oni 10–15 dni w miesiącu”). Wybrał się też taksówką do biedaszybów (znał ich ogólną ilość – 3.000), wiedział, ilu ludzi tam pracuje (12.000), był świadom, że to robota nielegalna i ścigana przez policję. Na miejscu wdał się w rozmowę przy szybie 15-metrowej głębokości („Jest ich czterech. Szybko zawieramy znajomość”). Praca była w toku, co rusz przybywali kupujący, podjeżdżały furmanki. Zanotował słowa bezrobotnego: „Górnicy z biedaszybów nie boją się – bo i czego? Pan Bóg na nas łaskawy i przymyka oczy, gdy schodzimy do tych nie naszych szybów”. Gdy jeden z obecnych powiedział, że są przecież w tej robocie wypadki śmiertelne, padły słowa: „To nie sprawa boska – odpowiedział chłopiec. – To moc kamienna...”. Warto pochylić czoła przed tym prostym nakreśleniem granicy między światem przyrodzonym i nadprzyrodzonym...

Drugi pobyt reportera nastąpił miesiąc później. O ile poprzedni wymagał rozjazdów po całym Śląsku, w lutym Wrzos interesował się wyłącznie cenami węgla. Rozmawiał o tym z dyrektorami, urzędnikami, pełnomocnikami, sprzedawcami. Pytał krótko, nie wchodził w polemiki, zapisywał obszernie wywody. Punktem wyjścia była dlań detaliczna cena tony węgla wynosząca w Warszawie 64 zł, wielokrotnie wyższa od kosztu własnego kopalni (liczonego średnio na 15 zł). Dowiedział się sporo – zanotował to tak dokładnie, że karty jego reportażu mogą i dziś być przydatne dla studiujących historię gospodarczą. Otóż kopalnie nie zajmowały się sprzedażą, gdyż to – z mocy konwencji górnośląskiej – należało do koncernu i podlegało szeregowym regulacjom. Koncern ów kon-

KONRAD WRZOS

OKO W OKO Z KRYZYSEM

REPORTAŻ
Z PODRÓŻY PO POLSCE

Miasto bezrobotnych ●
"Tempo" roku 1933 ● Czy
Polska zapłaci dług
Ameryce? ● W hutach,
kopalniach i bieda-
szybach ● "Lewiatan"
● Na zamku w Nieświeżu

Państwowy Instytut Wydawniczy

trolował 98% zbywanego węgla – średnia cena (tzw. konwencyjna) wynosiła 40 zł za tonę. Trochę taniej było w kopalniach zagłębiowskich (34 zł), najtaniej zaś bezpośrednio przy biedaszybie (od 11 zł do 14 zł) lub na ulicy z furmanki handlarza (20 zł).

Jest jednak u Wrzosa pewien obraz, który mnie nie przekonał. Oto on: „W kawiarni lub hallu hotelowym mówi się o węglu i o jego cenie. I tak od wczesnego ranka. Gdy w pośpiechu biegnie się do biura lub kopalni, do późnego wieczora, wśród płonących reklam neonowych, na głównej ulicy Katowic naprzeciwko wielkiego dworca, którego podziemne tunele i przejścia zawsze kipią życiem, można słyszeć, jak się załatwia transakcje węglowe”.

Opis to mocno karbocentryczny... Ale czy faktycznie za czasów naszych babć i dziadków rozprawiano w Katowicach tylko o węglu? To mi wygląda na efektowny reporterski „blik”. Bo przecież tam, gdzie kipi życie, nigdy nie ma jednego tematu. ■

Konrad Wrzos, *Oko w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce*, Warszawa 1985, s. 442.

O Śląsku: s. 72–80, 93–105, 318–323, 336–338



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Rok temu, 4 września 2019 roku, w Missississadze (Kanada) odszedł do wieczności prof. Florian Śmieja, urodzony 22 sierpnia 1925 roku w Kończycach, wybitny hispanista, profesor uniwersytetów angielskich i kanadyjskich, po przejściu na emeryturę gościnnie wykładający także na polskich uczelniach, w tym – na wrocławskiej romanistyce i polonistyce, pisarz, poeta i publicysta. Ostatni raz zobaczyliśmy się twarzą w twarz w maju roku 2015, kiedy w auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego Florian Śmieja odbierał najwyższą godność akademicką – doktora honoris causa naszej uczelni (zdjęcie, które towarzyszy niniejszemu wspomnieniu, zrobione zostało przez moją żonę Teresę w przeddzień tej uroczystości). Do końca Jego dni prowadziłyśmy z sobą regularną korespondencję mailową, w której losy ukochanego przez nas obydwu Ruchu Chorzów zajmowały miejsce szczególne. Co raz częściej przysyłał także swoje wiersze, w których bardzo wyraźnie czuło się klimat spokojnego odchodzenia, pożegnania ze światem i długim życiem, ale i dojmującą tęsknotę do ziemi śląskiej.

A zaczęła się nasza zażyłość w latach 90. ubiegłego wieku, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Wrocławia. Umacniały ją powiązania Floriana Śmieja z moimi rodzinnymi Tarnowskimi Górami. W mieście tym uczęszczał On do podstawowej szkoły ćwiczeń przy Seminarium Nauczycielskim, a potem do roku 1939 był uczniem szkoły średniej, którą ja ukończyłem 24 lata później.

Pamiętam, że zaprosiliśmy go z żoną na niedzielny obiad na godzinie 13. Ówczesni sąsiedzi do dziś wspominają, jak to parę minut przed pierwszą zobaczyli przed naszą bramą jakiegoś obcego pana, który spojrzął na numer domu, na zegarek, a potem zaczął spacerować, by równo z godziną trzynastą nacisnąć odpowiedni guzik domofonu. Taki był – zawsze akuratny. Jak stary Ślązak! Często ubolewał, że Polacy nie mają nawyku odpowiadania na listy, pokwitowania odbioru nawet jakiejś ważnej przesyłki, co z sarkazmem potwierdzam.

Nie odmawiał spotkań. Żona zaprosiła go do młodzieży jednej z wrocławskich szkół średnich, w której wtedy pracowała. Opowiadał uczniom o swo-

Florian Śmieja w mojej pamięci

im emigranckim losie, o tęsknocie za ojczystym krajobrazem, o przywiązaniu do języka i literatury, ale też i o pożytkach wypływających z szerszego spojrzenia na świat. Był także gościem jednego z programów ówczesnej telewizyjnej „Ojczyzny polszczyzny”, a w czasie emisji aktorka wrocławska Elżbieta Golińska recytowała dwa jego wiersze. Moich studentów wtajemniczał w szczególności polskiego życia literackiego na obczyźnie, które przecież przez wiele powojennych lat współkształtował. Wzruszył się, i to bardzo, gdy w czasie któregoś z gawęd wspominał jednego ze swoich wnuków – pół-Indianina. A ja się wzruszam ciągle, gdy czytam wiersz prof. Śmieja temu wnukowi poświęcony: „Kiedy czarna wiewiórka skrada się koło domku nad jeziorem Huron ku dojrzałym krzewom leśnych malin, zapalają się indiańskie oczy wnuka Michała-Burzy z całą pilnością wojownika ze szczepu Odżibuej. Ponieważ nie zna już plemiennych słów, woła do mnie z przejęciem po śląsku: chodź drabko, zaś przychodzi wiewiórka”. Bo też nie można w tym miejscu nie dopowiedzieć, że żona, dzieci, wnuki – to była zawsze wielka miłość i duma Profesora.

Na takie językowe – leksykalno-krajobrazowe – silesiaki jak w powyższym wierszu *Wnuk* trafia się w twórczości Śmieja bez przerwy. Oto na przykład wiersz *Bezrok*: „Kiedy cię zawiódł łośni rok, a lato poprawy nie było, pozostał bezrok – bezpieczna przystań zapóźnionych łodzi, niedokończonych planów i zamysłów, ostatnia nadzieja, szansa cudowna zrzucenia w końcu ograniczeń bytu, szerszego rozumienia siebie, świata i innych ludzi, trudnej tolerancji, zdobycia też przepastnej perspektywy, wyzwolonej nareszcie świadomości”. Albo *Okolice Opola*, dedykowane Janowi Goczolowi: „Odświeżnym ładem tchnie cała równina. Pola strzelistych skowronków zlaknione zasiewów wszystkie już nie doczekają. Ubywa ciągle prawych gospodarzy. Na łąkach sarny wystają zuchwale, hyca z powodzi ocalały zając. Ludzie przybyli nieufnie słuchają prastarych szumów nieznanomym lasów, nie rozumieją mowy autochtonów, śląskiego serca oddennego bicia”.

Dopowiedzmy, że właśnie Opolszczyzna, a mówiąc ściszej – Siołkowie, to ziemia najbliższych przodków Floriana Śmieja. Dopiero po powstaniach i plebiscycie Jego rodzice przeprowadzili się do Kończyc, gdzie się urodził w roku 1925, bo znalazły się one w granicach Polski, Siołkowie natomiast pozostały w granicach Niemiec. Do dziadków i krewnych w Siołkowicach mały Florian stale jednak przyjeżdżał!

Dlatego wiersze poświęcone tamtej stronie Śląska odznaczają się wyjątkowym ładunkiem uczuciowym, np. *Inwokacja*: „Bądźże mi pozdrowione górnośląskie Opole, Kamieniu Odrowążów, górze Świętej Anny, starki Pana Jezusa, gwarą szepcząca

Odrową, Gogolinie z piosenki, Dobrzeniu, Siołkowie, Arkadio mego dzieciństwa: was noszę w sobie jak szkaplerz, programowaną busołą na tętno małej ojczyzny, jej ludzi od wieków tamtejszych, cierpliwych i utrudzonych. Ziemi krzyży przydrożnych, bocianów, ładu i wiary”. Albo *Gaudeamus*: „Cieszymy się i wysławiamy starodawne nazwania: Lubniany, Rozmierz, Lubienie, Chróścice, Czarnowąsy, Dobrzeń, Dobrodzień, Siołkowie, Gogolin, Malnia, Odrowąż, nućmy ich wdzięczne imiona...”

Kiedy instytutowi współpracownicy przygotowali księgę pamiątkową na moje 70. urodziny w roku 2016, przysłał do niej Florian Śmieja taki tekst: „Wstałem, powtarzając słowo rozłogi. Udało mi się zapamiętać słowo, chociaż nie rozumiałem go zupełnie. Google mi podpowiedział, że Sienkiewicz, a w takim razie już nie do użycia. Zrezygnowałem ze słowa noblisty i muszę szukać dalej, bo dopiero poranek i do wieczora daleko. Tymczasem zaś mogę się zastanowić z profesorem Miodkiem, czy to mnie fascynat, czy też pasjonat języka”.

Za ten *Wiersz od przyjaciela*, za fascynację językiem, którymi się z mną dzielili, za wspólne chwile we Wrocławiu, w Tarnowskich Górach oraz w Missississadze, bo tam też się spotkaliśmy, za wszystkie listy, przysyłane książki i wiersze, za komentarze po każdym meczu Ruchu – najgoręcej prof. Florianowi Śmieja dziękuję. Kiedy przed paroma laty odbywałem spotkanie w Londynie z tamtejszymi Polakami (na jedno z nich przysłała Pani Zofia, towarzyska życia Profesora), mogłem się przekonać, jak czułą pamięcią otacza Go tamtejsze środowisko kulturalno-literackie. Żyje On także w naszych sercach, w naszej pamięci. I wiem, owszem – jestem tego pewien, że żyć będzie. ■



for. arch.

Aż trudno uwierzyć, że to obszar Górnego Śląska. Nasuwa się bowiem skojarzenie z efektownymi pejzażami mazurskimi z okolic Mrągowo, Mikołajek czy też uroczej osady leśnej Pranie nad Jeziorem Nidzkim z leśniczówką Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. A jednak jest to górnośląskie pogranicze Chorzowa i Bytomia, a nie Mazury. Imponujący kompleks przyrodniczo-krajobrazowy wywiera niesamowite wrażenie na przybyszach, którzy po raz pierwszy w życiu trafiają w to miejsce, często zupełnie przypadkowo.



Żabie Doły na pograniczu Chorzowa i Bytomia

Fascynująca przestrzeń o powierzchni 226 ha nosi nazwę ŻABIE DOŁY. Istnieje od 23 lat. Skąd się wzięła w zdegradowanym ekologicznie regionie? W naukowym języku jest to tzw. krajobraz postindustrialny. Dawna strefa eksploatacji górniczej rud cynkowo-ołowiowych, a także przylegający do niej teren objęty w przeszłości podziemnym wydobyciem węgla kamiennego przestoczył się pod koniec zeszłego stulecia w zieloną duszę Śląska. Decyzję o utworzeniu kompleksu podjął w 1997 roku ówczesny wojewoda katowicki (jeszcze nie śląski) w celu – jak to wtedy określił – *ochrony siedlisk zwierząt, głównie ptaków wodnych*.



Łabędzia rodzina w blasku słońca

Ptasie bogactwo

Dlaczego wojewoda przejął się losem kaczek? To proste. Sporą część chorzowsko-bytomskiego kompleksu przyrodniczego stanowią dzikie i porośnięte wodną roślinnością stawy. Zajmują one w sumie ok. 35 ha powierzchni (15% całego obszaru). Nic dziwnego, że pojawiły się tam liczne kaczki i inne gatunki ptactwa wodnego. Trzeba więc było stworzyć strefę ochronną dla zapewnienia im bezpiecznej egzystencji.

Ornitolodzy naliczyli tu łącznie 129 gatunków ptaków, w tym 76 rodzajów ptactwa lęgowego. 17 z nich to okazy niezwykle, występujące bardzo rzad-

ko na terenie GOP. Na kolorowych planszach edukacyjnych, umieszczonych na rekreacyjnym terenie kompleksu, można zobaczyć m.in. fotografie bażanta, czajki, dzięcioła dużego, kokoszki wodnej, kormorana czarnego, kwiczoła, modraszki, perkoza, pliszki, pustułki, rybitwy, sójki, śmieszki, szczygła oraz zięby. Dla spacerowiczów i turystów przygotowano tzw. **czatownie** – specjalne konstrukcje drewniane z siedziskami, umożliwiające prowadzenie interesujących obserwacji ornitologicznych.

Żabia atrakcja turystyczna

Odrębnego wyjaśnienia wymaga samo pochodzenie kilkunastu małych i dużych akwenów, tworzących „mazurski” charakter górnośląskiego kompleksu. Najmniejszy staw ma powierzchnię niespełna jednego hektara, a największy – ponad 12 ha. W przeszłości znajdowały się tam m.in. osadniki flotacyjne Zakładów Górniczo-Hutniczych „Orzeł Biały” (wcześniej korzystała z nich niemiecka kopalnia cynku i ołowiu „Bleischarley Grube”).

Zielona dusza Śląska

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Dodajmy tu, że flotacja to stosowana powszechnie metoda wzbogacania kopaliny użytecznych, polegająca na wykorzystywaniu właściwości przylepiania się cząstek niektórych minerałów do pęcherzyków powietrznych i wypływania z nimi w postaci piany na powierzchnię cieczy. Osadniki od dawna nie pełnią już swojej roli przemysłowej, a na ich miejscu powstały dzikie akweny.

Obecność pozostałych stawów jest zaś konsekwencją wieloletniego wydobywania węgla przez miejscowe kopalnie „Rozbark”, „Łagiewniki” i „Król” (później „Barbara-Chorzów”). Proces osiadania górniczego doprowadził do znacznych, kilkumetrowych obniżen powierzchni terenu. Eksperci oceniają, że w okresie ostatnich 130 lat obszar ten obniżył się średnio o 5–8 m.

W powstałych w ten sposób nieckach tworzyły się samorzutnie charakterystyczne zbiorniki wodne. Eksploatacja górnicza ustała tam definitywnie pod koniec XX wieku, a fotogeniczne ŻABIE DOŁY istnieją do dziś.



Ornitologiczna czatownia ułatwia obserwowanie ptaków



Pejzaż jak z mazurskiej widokówki znad Jeziora Nidzkiego

Rozlegające się wieczorami zwielokrotnione odgłosy kumkania żab są – przy dobrej pogodzie – dźwiękową wizytówką chorzowsko-bytomskiego pogranicza. Trzeba obiektywnie przyznać, że to niewątpliwa atrakcja turystyczna tego miejsca. Takich intensywnych odgłosów żabich nie ma nawet nad popularnym Jeziorem Nidzkim w Puszczy Piskiej, o czym reporter „Śląska” miał okazję przekonać się osobiście.

Bioróżnorodność

W granicach administracyjnych Chorzowa leży większa część ŻABICH DOŁÓW – teren zajmujący powierzchnię 182 ha (80% całości). Władze samorządowe Bytomia mają w swojej gestii ok. 20% kompleksu. W obu częściach górnośląskiego cudu natury można natomiast napotkać rozmaite ssaki, w tym m.in. chomika, jeża, kreta, kunę, łasicę, mysz polną, piżmaka i zając szaraka. Występuje tu również kilkaset gatunków owadów, 12 rodzajów ślimaków oraz 9 gatunków płazów. Przy słonecznej pogodzie stawy są oblegane przez wędkarzy, bo pływają tam okonie, leszcze, karpie, a nawet jesiotry, jak wyznał jeden z indagowanych miłośników łowienia ryb. We wszystkich akwenach obowiązuje natomiast kategoriyczny zakaz kąpiele. Trudno się temu dziwić. Nie wolno przecież zapominać, że na dnie stawów mogą nadal tkwić substancje chemiczne, stanowiące rezultat dawnej przeróbki rud cynkowo-olowych. Rybom i kaczkom to nie szkodzi, ale ludziom kąpiącym się w dzikich zbiornikach mogłoby to nie wyjść na zdrowie – podkreślają eksperci.

Wzmianka w szkolnym podręczniku

Cały kompleks jest dość starannie zagospodarowany pod względem turystycznym. Alejki spacerowe pokryto nawierzchnią ze specjalnej substancji mineralno-żywiczej, co spotkało się z życzliwym przyjęciem ze strony rowerzystów i spacerowiczów z wóz-

kami dziecięcymi. Zadbano o estetyczny wygląd przyczółków dawnych wiaduktów kolejowych, po których przebiegały w przeszłości tory wąskotorówki, służącej do transportowania urobku górniczego. Liczne ław-



Graffiti pod wiaduktem dawnej wąskotorówki

ki, elementy małej architektury i estetyczne kosze na śmieci uzupełniły krajobraz ŻABICH DOŁÓW, a barwne graffiti w postaci malunków żab i ptactwa wodnego dodało niewątpliwego uroku tunelom pod wiaduktami.



Łukowy mostek nad kanałem w Dolinie Górnika

Przedsięwzięcie zostało w dużej części sfinansowane ze środków unijnych.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że o przyrodniczej przestrzeni na pograniczu Chorzowa i Bytomia wspomniano w jednym ze szkolnych podręczników. W opracowanych przez Kamilę Skomorko zeszytach ćwiczeń do geografii w piątej klasie szkoły podstawowej znalazł się taki oto fragment: *Przykładem rekultywacji jest utworzenie na terenie dawnej kopalni w pobliżu Bytomia zespołu przyrodniczo-krajobrazowego ŻABIE DOŁY. Na hałdach posadzono tam lasy, a zagłębienia terenu zalano wodą i utworzono z nich jeziora. Te zmiany przyciągnęły wiele zwierząt (str. 39).*

– ŻABIE DOŁY to miejsce obdarzone niezwykle urokiem. Cennym walorem przyrodniczego kompleksu jest jego dzikość. Utworzenie w tym miejscu luksusowego ośrodka rekreacyjnego z nowoczesnym kąpieliskiem zniszczyłoby niepowtarzalny charakter przestrzeni na pograniczu dwóch śląskich miast. Duża inwestycja byłaby tam po prostu nonsensowna – argumentują górnośląscy ekolodzy i miłośnicy przyrody.

Sympatyczne sąsiedztwo

Warto jeszcze odnotować, że bezpośrednim sąsiadem atrakcyjnego kompleksu jest **Dolina Górnika**. To przytulna strefa rekreacyjna na obrzeżach Chorzowa. Niegdyś należała do kopalni „Barbara”. W jej skład wchodziło boisko piłkarskie klubu sportowego „Chorzowianka”, basen i atrakcyjne tereny zielone z parkowymi alejkami spacerowymi.

Dziś pozostały dwa stawy połączone stylowym mostkiem łukowym, niewielki lasek, plac zabaw dla dzieci i restauracja. Ławki dla spacerowiczów zachęcają do rekreacji na łonie natury w pogodne dni. Strefa o łącznej powierzchni ok. 20 ha na peryferiach Chorzowa Starego cieszy się od lat dużym powodzeniem wśród wędkarzy. ■

Zdjęcia Zbigniew Lubowski



Krajobraz górnośląskich Zabich Dolów we wrześniu 2020



Wizytówka kompleksu przyrodniczego



Zamek w Siewierzu był siedzibą biskupów krakowskich książąt siewierskich



Współczesny pomnik czeladźkiej "czarownicy" Katarzyny Włodyczkovej autorstwa Jacka Kucińskiego. Obiekt wzbudzał kontrowersje ze względu na artystyczny sposób przedstawienia oraz pierwotnie planowaną lokalizację przy kościele św. Stanisława. W obecnej lokalizacji został odsłonięty w 2016.

Było jedynym tego typu obszarem w I Rzeczypospolitej, z własną szlachtą, skarbem, polityką wewnętrzną. Powstało w XV w. i przetrwało prawie do czasów zaborów. Historia Księstwa Siewierskiego to m.in. historia Zagłębia. A nie brak tu odnośników do najważniejszych wydarzeń dziejów Polski i Europy. Np. książę siewierski biskup krakowski Andrzej Trzebiecki był polskim interreksem, zanim wybrano na króla Jana III Sobieskiego. Z kolei w 1807 r. ziemie reaktywowanego Księstwa Siewierskiego otrzymał w posiadanie Lannes Montebello, francuski generał i przyjaciel cesarza Napoleona.

Zaczął się od Zbigniewa Oleśnickiego

Jak wskazuje prof. dr hab. Zbigniew Noga, to najważniejszy umysł swoich czasów. Zbigniew Oleśnicki żył w latach 1389–1455. Był biskupem krakowskim, a od 1449 r. pierwszym kardynałem narodowości polskiej, także doradcą Władysława II Jagiełły i Władysława III Warneńczyka. Oleśnicki w 1443 r. wykupił Siewierz, Czeladź oraz 7 wsi: Gołuchowice, Łagiszę, Nową Wieś, Rzeniszów, Strzyżowice, Wojkowice Komorne i Zendek, tworząc Księstwo Siewierskie. Ziemię zostały wykupione od Piastów Śląskich i przyłączone do I Rzeczypospolitej.

– Księstwo Siewierskie miało swoje granice, swoją szlachtę, swój skarb, wojsko. Takie prawa miało tylko Księstwo Siewierskie – tłumaczy Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej i autor opracowań o historii regionu – Władcy księstwa, biskupi krakowscy – książęta siewierscy jedną ze swoich siedzib mieli w Siewierzu. Do biskupów krakowskich należał też m.in. pałac w Kielcach, który obecnie mieści Muzeum Narodowe oraz zamek w Iłży”

Dobra biskupie rozrastały się, w II poł. XVI w. biskup Jan Konarski kupił m.in. zamek i miasto Koziegłowy, łącznie więc klu-

Testament Księstwa Siewierskiego

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

cze koziegłowski i siewierski tworzyły 3 miasta i 33 wsie. W XVIII w. przebiegało tędy wiele ważnych szlaków handlowych i komunikacyjnych, które m.in. łączyły Polskę ze Śląskiem, Ukrainą, Czechami.

Ze stolicą w Siewierzu

Zamek siewierski (do naszych czasów zachowany jedynie w formie ruin) był oblany wodami, stawami zasilanymi przez rzekę Przemszę, miejsce było więc bardzo obronne z natury. Był wielokrotnie przebudowywany, aż stał się rezydencją i utracił warowny charakter, chociaż został wyposażony w platformy artyleryjskie, które obecnie są odtwarzane i w przyszłym roku będą udostępnione do zwiedzania turystom.

– Dumą Siewierza są też zachowane do dziś: romański kościół św. Jana Chrzciciela, jeden z najstarszych zabytków sakralnych w Polsce i (już z Księstwem Siewierskim związane) filialny św. Barbary i Walentego oraz parafialny św. Macieja. W XVIII w. kościół św. Macieja został gruntownie przebudowany w stylach barokowym i klasycystycznym. W takiej formie oglądamy go i dzisiaj. Inicjatorem prac był biskup krakowski Kajetan Sołtyk. Warto dodać, że biskup Sołtyk był patriotą, występował m.in. przeciwko carycy Katarzynie i protestował przeciw uznaniu I rozbioru Polski – tłumaczy Tomasz Dzierżanowski, prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Miasta i Gminy Siewierz.

Podobnie pierwsze wzmianki o parafii św. Mikołaja w pobliskich Targoszycach pochodzą z XIV w., ale historia tego miejsca sięga czasów prehistorycznych.

– Możemy ją odtworzyć dzięki strzępkom informacji, wydobytych właśnie z dokumentów Księstwa Siewierskiego czy biskupstwa krakowskiego, pod które pierwotnie podlegała parafia. To bardzo ważne miejsce na mapie regionu. Zachowana do dziś najstarsza część świątyni ma średniowieczny charakter, chociaż główna bryła jest barokowa. W ub.r. w czasie prac remontowych ujawniono zabytkowe sakramentarium, wielką rzadkość na terenie Polski. Chcemy zabytek wyeksponować, ale to w kolejnych latach. Na razie przeprowadziliśmy remont generalny świątyni i odnowiliśmy barokowe ołtarze, a wkrótce rozpoczniemy ubogacenie prezbiterium polichromią – tłumaczy ks. Janusz Rakoczy, proboszcz parafii pw. św. Mikołaja.

Spuścizna księstwa

Dzieje Księstwa Siewierskiego wpisały się w historię regionu (to one stanowią przeszłość dzisiejszego Zagłębia Dąbrowskiego), ale nie tylko. Nie brak tu wydarzeń z historii Polski i Europy.

– Biskupi, którzy zarządzali księstwem, zostawili wiele śladów w historii regionu. M.in. na terenie dzisiejszej Dąbrowy Górniczej kościół pw. św. Antoniego w Gołonogu, powstały w latach 1675–1677, został ufundowany przez biskupa krakowskiego księcia siewierskiego Andrzeja Trzebieckiego. Na ścianie świątyni znajduje się do dziś tablica pamiątkowa przypominająca to wydarzenie. Zgodnie z tradycją biskup krakowski po śmierci jednego króla Polski, a przed wybraniem nowego władcy pełnił obowiązki regenta królestwa. Biskup krakowski Andrzej Trzebiecki był polskim interreksem po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a przed wyborem Jana III Sobieskiego. Powstanie świątyni w Gołonogu zbiegło się z tymi wielkimi wydarzeniami dla Polski – dodaje Arkadiusz Rybak.

Księstwo Siewierskie istniało do końca I Rzeczypospolitej, dopiero na Sejmie Czteroletnim Wielkim zostało zlikwidowane i wcielone do niej, a wcześniej zsekularyzowane. Ostatni książę siewierski biskup krakowski to Feliks Turski, żył na przełomie XVIII i XIX wieku. Funkcja miała już charakter wyłącznie tytularny.

– Od strony dzisiejszej Dąbrowy Górniczej granica księstwa była na rzece Trzebyczce, która płynie przez Tucznawę w stronę Żąbkowic. Tucznawa, czyli wioska Tuczna Baba, należała do Klucza Sławkowskiego biskupów, natomiast Księstwo Siewierskie rozciągało się już po drugiej stronie i należały do niego np. Trzebiesławice czy Ujejsce – obecne dzielnice Dąbrowy. Sama nazwa rzeki Trzebyczki też jest związana z biskupem Trzebieckim, księciem siewierskim. Z kolei nazwa jezior dąbrowskich Pogoria i rzeki noszącej to samo mianoteż ma wieloletnie tradycje, nawiązuje do herbu rodu Skotnickich Bogoria – tłumaczy Arkadiusz Rybak.

Kiedy powstało Księstwo Warszawskie, utworzone przez Napoleona, odtworzono Księstwo Siewierskie, które otrzymał jeden z francuskich generałów i przyjaciel cesarza Jean Lannes, Duc de Montebello. Lannes nigdy w Księstwie Siewierskim nie był, nawet nie wiadomo, czy do końca zdawał sobie sprawę, jak te ziemie wyglądają. Prowadzono tu m.in. gospodarkę rabunkową w okolicznych kopalniach. Księstwo Siewierskie było podzielone, włączono do niego obecne miejscowości Dąbrowy Górniczej oraz Będzin i okolice, aż do Siewierza. Taki podział został utrzymany przez kilka lat. Po przegranej Napoleona z Rosją w 1812 r. istnienie Księstwa Siewierskiego formalnie się zakończyło.

Krystian Zbigniew Żelazny



Księstwo Siewierskie

Prawo i ustroj a zakres suwerenności
względem Korony Królestwa Polskiego



Krystian Zbigniew Żelazny, *Księstwo Siewierskie. Prawo i ustroj a zakres suwerenności względem Korony Królestwa Polskiego*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2016

Czy na Górnym Śląsku potrzebne jest Centrum Kresowe? Polemika

ANTONI WILGUSIEWICZ

W numerze lipcowym Śląska ukazał się artykuł p. Karola Maklesa pod tym właśnie tytułem, do którego chciałbym się odnieść. Jako górnośląski kresowianin – co prawda w drugim pokoleniu – od wielu lat zaangażowany w sprawy dziedzictwa kresowego, mam dość dobre rozeznanie w problemach, które porusza autor. Nie będę odnosił się do przytoczonego przez niego materiału fakto-graficznego, choć byłoby warto – z wyjątkiem stwierdzenia, że lwowski Korpus Kadetów czynnie uczestniczył w walce powstańczej (chodzi o III powstanie śląskie). Korpus Kadetów nie mógł uczestniczyć w III powstaniu śląskim, gdyż byłaby to jawna ingerencja Polski w sprawy śląskie, czego ze względu na postanowienia wersalskie Polska czynić nie mogła – w powstaniu brali udział ci kadeci, którzy zbiegli z Korpusu i nie zostali wyłapani po drodze przez żandarmerię wojskową. Później oczywiście ich czyn został uczczony w Korpusie – mamy zresztą nadzieję, że podczas przyszłorocznych obchodów 100-lecia III powstania śląskiego zostanie on należycie przypomniany i uczczony także na ziemi śląskiej.

Ad rem jednak. Czy potrzebne jest na Górnym Śląsku Centrum Kresowe? Jako kresowianin z autentycznym rodowodem – ojciec ze Lwowa, matka z Podola – odpowiem, być może ku zdziwieniu niektórych – nie! Dlaczego? Po pierwsze – nie miałyby już co robić. Zbieranie relacji? Co mogło być zebrane, już zostało zebrane, a nawet wydane – choćby w książkach Stanisława S. Nicieji, Adama Włodka czy wielu innych. Najstarsze osoby, urodzone jeszcze na Kresach, a żyjące na Śląsku, które znam, jak syn profesora Romana Longchamps de Berier zamordowanego wraz z synami na Wzgórzach Wuleckich, Jan, pochodzą z rocznika 1928. Zupełnie niedawno zmarł znany zarzański kresowianin, także z tego rocznika (czyli liczący 92 lata), Andrzej Michniewski – zresztą swoje wspomnienia spisał on już dość dawno temu. Najmłodszy, jak – choć kobiecie wieku się nie wymawia! – powszechnie znana Danuta Skalska, są urodzeni w roku 1945 i przybyli na Śląsk jako półroczne dzieci (notabene dotyczy to także przybyłego wówczas z rodziną do Gliwic wybitnego poety

Adama Zagajewskiego), więc ich wiedza o Lwowie i Kresach – podobnie jak moja – pochodzi wyłącznie z opowieści rodzinnych lub innych źródeł wtórnych.

Zbieranie artefaktów? Jakich? Kresowianie przywozili ze sobą przedmioty, które możemy uznać dziś za absurdalne. Znakomicie ujął to w swoim wierszu Zasuwka wspomniany Adam Zagajewski (chodzi o zasuwkę do drzwi sali uniwersyteckiej we Lwowie, gdzie jego dziadek Karol prowadził zajęcia z języka niemieckiego – wymontował i przywiózł tę zasuwkę ze sobą do Gliwic!). Większość tych artefaktów już poginęła, część przekazano do muzeów, jak np. gliwickiego, gdzie zaopiekowała się nimi nieceniona p. Bożena Kubit (obok niego problematyką kresową na Górnym Śląsku zajmuje się szczególnie Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, gdzie od kilku lat organizowano Konferencje Kresowe). Duży zbiór tego rodzaju przedmiotów posiada Muzeum w Brzegu, gdzie są eksponowane na otwartej w ubiegłym roku wystawie „Kresy. Ocalone wspomnienia”. Nie sądzę, żeby wspomniane czy też inne muzea – niektóre wspomniane zresztą przez autora w tekście – skłonne były do przekazania swoich zbiorów do Centrum Kresowego. Tworzące się w Lublinie „Muzeum Kresów”, mające mieć charakter centralny (ogólnopolski) zapowiada zbiórkę wśród kresowian i ich potomków przedmiotów o charakterze pamiątkowym czy histo-

rycznym na terenie całej Polski. Z natury rzeczy zajmie się też ono koordynacją wszelkich badań i poczynań związanych z utrwaleniem dorobku dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Otrzyma też na to fundusze rządowe, bez których żadne Centrum istnieć nie może.

Co do środowisk kresowych – nie chciałbym dokonywać ich szczegółowej analizy, bo prowadziłyby ona do bardzo smutnych i pesymistycznych wniosków. Wspomniane w tekście „bezprecedensowe porozumienie kilkunastu organizacji kresowych w celu powołania Centrum Kresowego” pozostawię także bez komentarza. Tzw. środowiska kresowe, a raczej grupa działaczy w mniej czy bardziej uprawniony sposób je reprezentująca nie mają żadnej siły sprawczej, co wyraziło się choćby w umieszczeniu wspomnianego „Muzeum Kresów” wbrew ich opinii w Lublinie, a nie w Warszawie czy wspomnianym Brzegu. Wspomniana wystawa „grafik kresowych”, choć określenie to jest kompletnie niezrozumiałe, na pewno zasługuje na uznanie, podobnie jak inne inicjatywy pokazujące społeczeństwu polskiemu dzieje i dorobek dawnych Kresów Wschodnich, bez których historia naszego kraju byłaby równie kompletnie niezrozumiała. Zaś co Centrum Kresowego (jak rozumiem w Katowicach) mówię – tak, ale 30 lat temu. Dziś to pomysł anachroniczny, nie mówiąc o tym, że kompletnie nierealny. ■



Tak będzie wyglądało Muzeum Kresów w Lublinie



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„O nas zapomnieć nie wolno”

Od prawie trzech miesięcy przebywam – z krótkimi tylko przerwami – w jednej z dolnośląskich wsi; dziś już jak wiele innych trochę sennych, ale i urokliwych. Jednak i ta wieś powoli się „starzeje”. Jest zamieszкана przez przybyszów, z różnych obszarów Polski. Także tych dawnych, a więc Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Trzon tej grupy tworzą przymusowi przesiedleńcy, prawdziwi „wypędzeni”. To właśnie na Ziemiach Zachodnich skończyła się – jak powiadał jeden z bohaterów filmu *Sami swoi* – ich „wielka wędrówka ludów”. W tej mojej wakacyjnej wsi jednemu z sąsiadów pożyczyłem kilka ostatnich numerów miesięcznika „Śląsk”. Także ten, w którym jest tekst dr. Karola Maklesa pod tytułem: *Czy na Górnym Śląsku potrzebne jest Centrum Kresowe?*, opublikowany w ramach felietonu Instytutu Myśli Polskiej Wojciecha Korfantego. Autor wskazuje, iż realizacja tego zadania jest konieczna. Wyjaśnia, iż „Wymaga to rozpoczęcia szeroko zakrojonych i interdyscyplinarnych prac stanowiących palącą potrzebą środowisk kresowych oraz nauki polskiej”. Oczywiście zgoda. Dalej dodaje, że powinno też „nastąpić stworzenie przestrzeni poświęconej ukazaniu kultury materialnej i duchowej tego środowiska Kresowego, jak i historycznego dziedzictwa Rzeczypospolitej Polskiej, a zarazem znaczącego elementu kultury współczesnej Polski”. A dlaczego nie również kultury społecznej? Choćby w rozumieniu rudymentrym, jakie nadał temu terminowi Kazimierz Moszyński. Pytań jest wiele, ale to już pytania nie do Maklesa, ale przyszłego zespołu badawczego. A wspomniany sąsiad – kresowianin „z dziada pradziada” – był owym tekstem o potrzebie powołania Centrum Kresowego zachwycony. Lecz zaraz zwrócił mi uwagę, że poza wszystkim „ważnymi tematami” nowy ośrodek na wstępie powinien się zająć badaniem pierwszych osadników. I dodał: „O nas zapomnieć nie wolno”.

Zaraz też, spontanicznie wyłożył mi tematykę owych badań. Muszę przyznać, że ma rację, bo przecież coraz gwałtowniej odchodzą owi najstarsi nosiciele pamięci o dawnych polskich ziemiach obecnej Ukrainy, Białorusi, czy Litwy. To świadkowie minionych czasów, historii wielonarodowych i wieloetnicznych ziem, owych dawnych kresowych miast, wielokulturowych miasteczek, wreszcie i opuszczonych wsi. Oni zachowali też obrazy sielskich rodzimych stron rodzinnych, dramatycznego momentu wypędzania, pożegnania z ziemią ojczystą, z rodzinnym domem, parafialnym kościołem, cmentarzami, no i sąsiadami. Potem była już trudna podróż „za Bug, do nowej Polski”, a następnie finalne wkraczanie do nowej jeszcze „obcej” przestrzeni, przezwyciężanie „wrogości” wobec niemieckich śladów po poprzednich mieszkańcach, wreszcie stopniowe „oswajanie” nowych przestrzeni. Dla jednych, jak mojego sąsiada, była to wieś dolnośląska, a dla innych jego ziomeków miasta tego regionu. A w naszej przestrzeni to takie docelowe miejscowości jak Gliwice – ukazane jakże nostalgicznie przez Juliana Kornhausera w powieści *Dom, sen i gry dziecięce* – czy Bytom, lub Zabrze. Od wielu lat – zwłaszcza po licznych pobytach na „dawnych Kresach” i prowadzonych tam wśród Polaków badaniach antropologicznych – narasta u mnie dziwne przekonanie. Jakże? Że my współcześni coraz bardziej zapominamy, a może nawet zapomnieliśmy o tych ziemiach, także o ich dziedzictwie. A co wiemy o wkładzie tych terenów dla naszej polskiej kultury? Boję się, że nader mało. Nie myślimy nawet, że „tu i teraz” żyją wśród owi okrutnie doświadczeni przesiedleńcy. Nawet ich nie dostrzegamy, w tym naszym zglobalizowanym świecie. To pokolenie coraz gwałtowniej odchodzi. To oni wspominają życie codzienne i odświętne – tam „na południu”, we Lwowie, Stanisławowie, Drohobyczu, czy „na północy”

w Wilnie, czy Trokach. Ale wspominają też życie w dawnych wsiach. Także wspominają bajeczną Huculszczyznę czy „czarowne” Polesie. O tej dawnej rzeczywistości też z reguły nic nie wiemy. Nie wiemy też jaką pamięć o Kresach przekazali swoim potomkom, jaką tradycję. Czy dla potomków te ziemie cokolwiek znaczą? A co z tego dziedzictwa tkwi w ich tożsamości? To najstarsze pokolenie jest coraz bardziej zapomniane. Odchodzi jakby w samotności społecznej. A właśnie to pokolenie zachowuje nie tylko prawdziwy obraz swych stron rodzinnych, ale i dominującą nostalgiczny. Wreszcie zmitologizowany. Jest to obraz jakiejś utraconej, sielskiej Arkadii. Oczywiście do dramatu lat II wojny światowej. Drażnią zaś ci, którzy dowodzą – głównie w kategoriach nienawistnej propagandy, zwłaszcza sowieckiej – że byliśmy tam „przybyszami”, czy wręcz „okupantami”. W potocznym oglądzie Kresów nie mieszczą się też naukowe opinie dominujący obraz. Stąd negacją kresowej rzeczywistości, którą dokonał francuski historyk Daniel Beauvois w pracy *Trójkąt ukraiński: szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*. On to przecież w znanym wywiadzie dla jednego z tygodników powiedział, że „te wszystkie opowieści o idyllicznym współżyciu, o wielkiej wspólnocie narodów na Kresach to była legenda”.

Ps. Badania tego obszaru wymagają uczciwości, pokory, rzetelności, kompetencji. Także te dotyczące najstarszych przesiedleńców. Ale i ich potomków. To bardzo ważne, bo „Odchodzi ostatnie pokolenie ludzi, którzy mogą oświadczyć o świecie Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej; dla pozostałych to już składnik narodowego imaginarium”. Oby takie badania były najrychlej podjęte. Powodzenia, czyli „cudowności”, jak mówi moja sędziwa znajoma z iskrzącej się polskością Puszczy Rudnickiej. ■

Historie przeżyte są zazwyczaj pojemnym w znaczenia materiałem dla wszelkich opowieści. To, co w nich można przekazać, staje się możliwe dzięki pamięci, która przechowuje wspomnienia. Czasem bywa tak, że teraźniejszość spraw przeszłych jest o wiele ciekawsza niż ich czas dokonany, uzyskuje prawdziwe znaczenie, gdyż zostaje odczytana na nowo, przez kogoś innego, bardziej doświadczonego. Nieoczekiwanie okazuje się, że w pewnym momencie życia człowiek zaczyna mówić już nie o sobie, ale opowiada sobą, mieszając odległe zdarzenia, postaci, myśli, bo zaczyna ją go niepokoić. Powstają rzeczy nowe, czasem na poczekaniu, podczas rozmowy z tymi, którzy wypełniali dni dawno minione, a dziś stoją bezradnie naprzeciw, dowodząc własnej wersji wspólnych przeżyć. Czasem jedynym wyjściem staje się wspólna wędrówka w stronę uwierającej, niespokojnej przeszłości, która pozwoli wyjaśnić coś, czego kiedyś nie zdążyło się uczynić.

Takie właśnie wędrowanie przedstawił w najnowszej sztuce *W górę!* Peter Quilter. Jej premiera, bodaj jedna z pierwszych w kraju po zniesieniu części ograniczeń epidemicznych, odbyła się w Teatrze Polskim, w Bielsku-Białej. Reżyser spektaklu Witold Mazurkiewicz zmagania trójki przyjaciół z upływającym czasem, ścigającą ich przeszłością oraz wszelkimi tego konsekwencjami, umieścił w umownej przestrzeni górskiego pejzażu. W tych okolicznościach zgłębiamy losy bohaterów sztuki, która pod dość prostą i przewidywalną fabułą, skrywa wcale niebanalną opowieść o mijającej młodości. Quilter nie po raz pierwszy – podobny zabieg podjął już w znanej wszystkim *Boskiej!* o Florence Foster Jenkins, najgorszej śpiewaczce świata, czy *Na końcu tęczy*, muzycznym dramacie poświęconym Judy Garland – przekonuje odbiorców, że wszystko, co aktualnie opowiada, tkwi głęboko w pamięci i doświadczeniach stwarzanych przez siebie postaci. Można je w jednej chwili odkurzyć, przywołać na nowo, powtórzyć i rozwinąć, by w końcu zwyczajnie przeżyć niczym opowieść. To właśnie przypadek mężczyzn z najnowszej sztuki autora *Boybandu*.

Quilter, znany szerokiej publiczności głównie z wymienionych powyżej przebojów teatralnych, ma w swoim dorobku także inne dokonania. Urodził się w Anglii, którą po pierwszych sukcesach teatralnych porzucił dla Teneryfy. Zanim zaczął pisać dla teatru wykonywał zawód prezentera programów dla dzieci w stacji BBC. Jego debiut to kobieca komedia *Respecting Your Pierc* (1998), pokazywana z sukcesem w teatrach Wiel-



fol. arch.

Szczyt możliwości

WOJCIECH LIPOWSKI

kiej Brytanii. Później widzowie zobaczyli muzyczną adaptację noweli Oscara Wilde'a *Canterville Ghost* (1999), graną w Manchester Opera House i Bath Theatre Royal z Ronem Moodym w roli głównej. Wejście na West End z komedią muzyczną *Boyband* przyniosło Quilterowi dużą popularność i liczne spektakle podczas tournée w wielu krajach. Polska publiczność zobaczyła ten musical w roku 2008, w warszawskim Teatrze Komedia. Największą, międzynarodową popularność autor zdobył w 2005 roku, gdy wystawił w Sydney wspomniany już dramat muzyczny *End of the Rainbow*. Judy Garland zagrała wówczas Caroline O'Connor, spektakl zdobył nagrodę na Festiwalu w Edynburgu, później ruszył na sceny świata. Polska prapremiera odbyła się w krakowskim Teatrze STU, w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego, a wystąpiła Beata Rybotycka. Nominację do prestiżowej nagrody Laurence'a Olivera przyniosła dramaturgowi wspomniana już *Glorious!*, wystawiana w każdym zakątku świata, przetłumaczona na osiem języków, w Polsce znakomicie zagrana przez Krystynę Jandę (2007) w warszawskim Teatrze Polonia, reżyserował Andrzej Domalik. Dodajmy jeszcze z nowszych dokonań mniej znaną sztukę *Rodziny Show* (*The Coogan Act*), zrealizowaną w Teatrze Tele-

wizji przez Macieja Pieprzycę.

W górę! to na tle pozostałych utworów sztuka bardziej wyciszona, wręcz kameralna, mimo że tłem akcji najnowszej komedii są góry. Trójka przyjaciół, pragnąc uczcić zmarłego niedawno kompana Garetha, każdego roku wspinającego się na szczyt, rusza w to samo miejsce, by przy okazji pozatapiać kilka palących spraw, jakie każdy niesie w plecaku obok kamieni, które symbolicznie złożą na wierzchołku, chcąc w ten sposób uczcić pamięć kolegi. Łączy ich szorstka przyjaźń, co widoczne jest od pierwszej wymiany zdań, spaja niewidzialna nić dawnych wspomnień, doświadczeń, które wyjdą na światło dzienne, gdy panowie pokonają część trasy wspinaczkowej a wraz z nią spory dystans, jaki mimo wszystko ich dzieli.

Wspomnienia i troski w pierwszej fazie wędrówki nie zajmują zbyt wiele miejsca. Można powiedzieć, że towarzyszy im niechęć pamiętania niemiłych faktów wspólnej biografii, które wypierane są przez banalne sprawy codzienności. Sam, w tej roli dynamiczny i wiecznie pobudzony Rafał Sawicki, zasypuje wszystkich historyjkami o nieodległym ślubie, licznych miłosnych podbojach, czego ślady przechowuje zabrany na wycieczkę stary namiot, czując jednocześnie narastające przerażenie perspektywą

życia u boku jednej kobiety. To właśnie ta postać wyznacza rytm spektaklu, czuwa, aby w nawet najbardziej wyciszonych fragmentach nie zabrakło nuty humoru czy po prostu oddechu. Od Sama otrzymamy garść życiowych porad na różne tematy, z dominującym motywem relacji damsko-męskich. Także ten gość zasypie nas całą masą sentencji i złotych myśli typu: nie wiem, czy miłość przetrwa próbę rozmowy z ukochaną, kończy się teatr jednego aktora, miłość to mityczne zjawisko, dziś małżeństwo na całe życie to ekstrawagancja itd. Jednak im wyżej, w coraz bardziej rozrzedzonym powietrzu i ten człowiek zmieni spojrzenie na własną egzystencję, bo przecież idąc pod górę każdy ma także własne tempo dochodzenia do pojmowania różnych spraw. W opozycji do Sama został ustawiony Tony grany znakomicie, oszczędnie, z wycuciem temperatury sytuacji przez Tomasza Lorka. Niby otyły wesołek, łasuch zajadający się słodyczami, których niesie pełen plecak, z drugiej strony zanurzony w rozpacz, głęboko samotny, prowadzący intymny dziennik. To on zmrozi resztę zespołu wyznaniem, że idąc na szczyt planuje zupełnie inną uroczystość niż jego kompan, a mianowicie własny pogrzeb. Natura nie zaprogramowała nas, żeby rozmawiać o własnych emocjach, powie w końcu przyparty do muru przez pozostałych. Będzie zazdrościł zmarłemu przyjacielowi, że odszedł w najlepszym momencie i nie zdążył się zestarzeć. Nie chcą nas, wyzna zrezygnowany i chyba od tego momentu zrozumiemy, że panowie wspinając się na szczyt zaczynają powoli schodzić w głąb własnych wspomnień, rozpocznie się gra bez końca. Pozostał Daniel, czytany, erudyta, pedant, samotny gej, grany mistrzowsko przez Piotra Gajosa, bez przerysowań, a które łatwo w przypadku takiej postaci. To właśnie on dla pozostałych stanie się głosem rozsądku, przestroga, wydaje się także, iż nieco uporządkuje tok bełzadnych, rozkrojonych myśli oraz skieruje wędrowkę na właściwe tory. Ten miłośnik Johana Donne'a, zupełnie poważnie napisze na niesionym kamieniu hymn na cześć zmarłego kolegi, używając fraz poety angielskiego baroku i poezji metafizycznej, wprawiając w zdumienie, ale też wywołując salwy śmiechu towarzyszy nieczułych na piękno i znaczenie poezji. Cała trójka, zonglując tematami, nastrojami, kłócąc się, godząc, parodiując nawzajem, będzie mozolnie podążać, mimo trudności, w stronę szczytu, gdzie nastąpi symboliczna przemiana wszystkich uczestników tej nieprzewidywalnej wyprawy górskiej.

Na szczycie właśnie legnie w gru-

zach ten, zdawałoby się, niezniszczalny, niezmienny męski punkt postrzegania wszelkich spraw, bo chyba takie są konsekwencje, co udało się pokazać na scenie Witoldowi Mazurkiewiczowi, traktowania przeszłości bez świadomości, że jest ona splotem sytuacji i zdarzeń nie zaś prostym świadectwem wypisanym w formie sentencji na górkim kamieniu. Tony, Sam i Daniel do pewnego momentu zdają się nie rozumieć, że osobiste doświadczenie spraw przeszłych staje się wiarygodne tylko wówczas, gdy zderzy się z podobnym doświadczeniem, nie zaś prostym odniesieniem do bieżących, atrakcyjnych oczekiwań, jakie mamy wobec własnej przeszłości. I to dopiero pod osłoną nieba panowie staną się zgodni, stworzą wspólnotę, przestaną w końcu udawać kogoś innego, będą wreszcie sobą. Może stało się tak, gdyż, jak powie jeden z nich: od czasu do czasu warto pobyć ze sobą, odpocząć od zgiełku. Zdobyty szczyt, jak w końcu się przekonamy, raz śmiejąc się, innym razem milknąc w zadumie, będzie nie tylko miejscem wyrażenia tłumionej rozpacz, ale przede wszystkim odreagowania i nowego spojrzenia na morze spraw, które pozostały na dole. W jednej z ostatnich scen spektaklu, gdy wszyscy stoją na krawędzi skalnej, niby popisując się przed sobą, niby próbując sprawdzić, czy groźba ewentualnego skoku w przepaść wywrze na kimś wrażenie, jesteśmy świadkami nieoczekiwanego efektu: następuje szok przebudzenia i poczucie bliskości drugiego doświadczonego przez ten sam czas i życie człowieka. Nie chcą nas, jak mówił Tony, ale jakie ma to znaczenie wobec faktu, że obok rzeczy trywialnych znajdują się te ważniejsze, sprawdzone, wartościowe, niedostrzegane wcześniej, pozostające w zasięgu ręki.

Można się zastanowić, co właściwie przesądza o atrakcyjności prostego tekstu Petera Quiltera. Może niezwykle pociągająca interferencja znaczeń pomieszczonych w nim sytuacji, zdarzeń, dialogów. Połączenie komizmu z bardzo uniwersalnymi pojęciami egzystencji ludzkiej, odbiór sztuki balansującej niestannie na granicy, będącej pomiędzy, wpisanej w dwuznaczność, która fascynuje, skłania do stawiania podstawowych pytań o wartość miłości, przyjaźni, wspólnoty doświadczeń. Warto zaznaczyć, że pomiędzy *stricte* komediowymi fragmentami, zabawnymi gagami, snuje się cienka nić nostalgii. Obserwując bardzo dynamiczne i doskonale zagrane przez bielskich aktorów epizody, dostrzegamy również, gdy światła przygasają a w górach zapada noc, zupełnie inną przestrzeń, gdzie dochodzi do głosu ludzki lęk, przera-

żenie i rozpacz. Wędrowcy spędzają górką noc w namiocie Sama, śmiejąc się z lepszych i gorszych dowcipów, nieuchronnie zaglądają w czeluść niepewności co do własnych życiowych wyborów. W końcu, jak powie któryś, nasze wejście na górę to sposób radzenia sobie z upływem czasu. Próba jego ewokacji jest opowiadana podczas wycieczki wielogłosowa historia. Z pewnością warto zagłębić się w jej ukryte znaczenia, nie rezygnując jednocześnie z dobrej zabawy.

Nie byłoby tego spektaklu bez muzyki Wojciecha Myrczka. Już dawno nie widzieliśmy na scenie takiej symbiozy tekstu i dźwięku. Muzyczny podkład przygotowany i zaśpiewany przez artystę zawiera kompozycje własne, ale też niezwykle interesujące aranże znanych wszystkim utworów, z wybijającym się motywem *With a Little Help from My Friends* The Beatles, czy tematem *You've Got a Friend In Me* z filmu *Toy Story*. Dodajmy, że nie jest to prosta ilustracja muzyczna, ale komentarz, uzupełnienie rytmu spektaklu, całość puentująca poszczególne sceny, funkcjonująca na równych prawach z tekstem.

Podkreślić trzeba niebanalną scenografię Damiana Styrny, która intryguje i żyje wraz z rozwojem akcji scenicznej. Przestrzeń górką bardzo pomysłowo oddają podesty różnej wysokości zawalowane folią i sznurem. Dobre wrażenie robią multimedialne projekcje na pasach foli podwieszonych w różnych miejscach sceny. Sentencje, grafika, hasła, feeria barw, czego tam nie znajdziemy, niczym różnobarwna ściana na jednym z podwórek, gdzie ktoś napisał co tylko mu przyszło go głowy. Wszystko to jednak tworzy przestrzeń kameralną, asceetyczną i spójną, pobudzającą wyobraźnię, oddającą temperaturę narracji.

Ciekawe jak zabrzmiałaby, rzecz jasna nieobecna w bielskim spektaklu, znana dobrze *Piosenka o przyjacielu* Wysockiego? Jeśli nawet nie pasowałaby do adaptacji sztuki Quiltera, to chyba mogłaby, niezależnie od tego, przypomnieć wszystkim szukającym odpowiedzi na wątpliwości dotyczące płynącego czasu, istoty bycia, relacji z drugim człowiekiem, że można podjąć ryzyko i zabrać to wszystko w góry, aby pojąć wreszcie w czym rzecz, podobnie jak uczynili bohaterowie naszej teatralnej opowieści. ■

Peter Quilter
W górę!
reż. Witold Mazurkiewicz
Teatr Polski Bielsko-Biała
Premiera 13.06.2020

Życzenie

Niech zatrzyma cię w parku
każe przysiąść na ławce

Niech wywiezie cię
tramwajem w pole

za miasto abyś
niewiarygodnie

poblądził i postanowił
desperacko się poszukać

w strojeniu słów
z nieprzeczytanych wierszy

z kart wyludnionych
najczystszych

Ażebyś był w tym
ze sobą szczery umiał

się przyznać że nie rozumiesz
nie wiesz jak

Wyrosną z ciebie
będą się pięć strony pokryte

pochyłym pismem

Starożytna skarga

Robertowi Gawłowskiemu

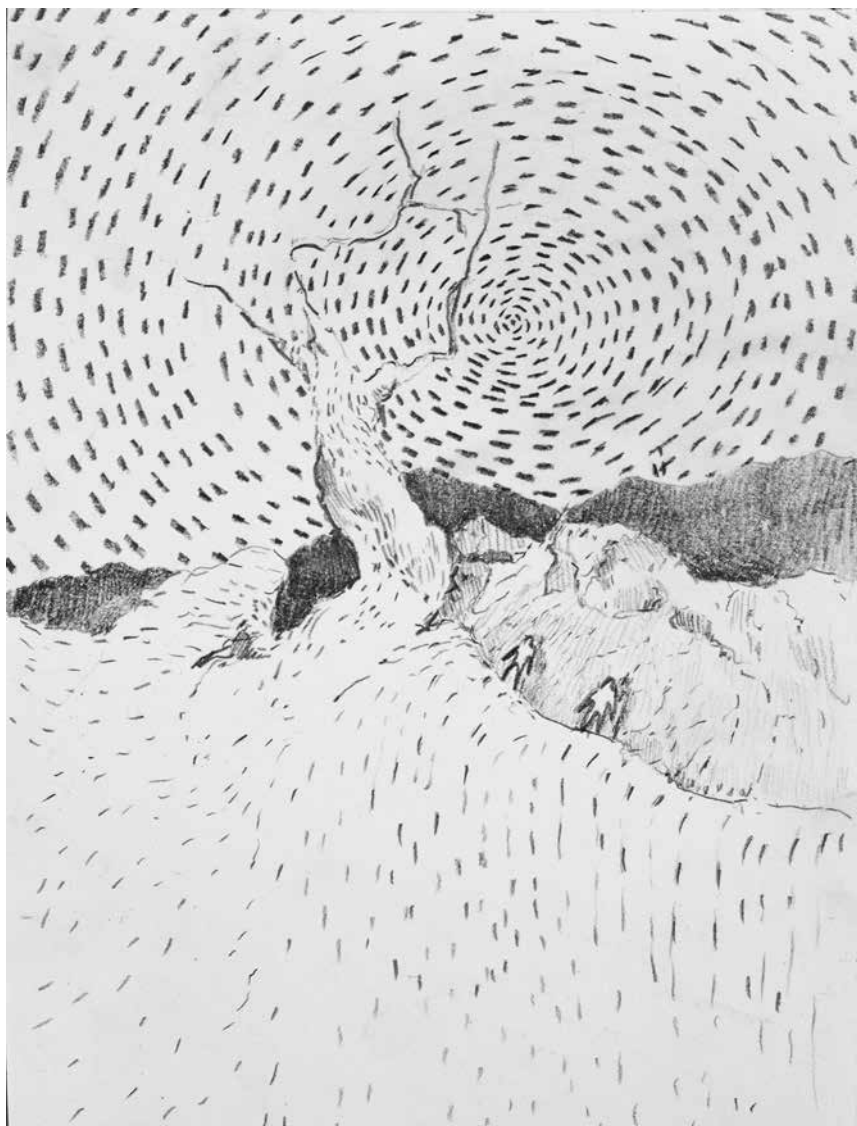
Jacy byliśmy?
Kto to wie? Wielu przestało o nas myśleć.
Czas utopił nas jak kotki uwięzione w worku.

W kolebce

Twórcze pisanie rozpoczyna się
W pewnej odległości od odkryć.
Zarzeka się, że stroni od zwycięskich
Okrzyków.

Jeśli już ma być burzą, wyprzedzają ją
Sporadyczne błyski.

Przeważnie jednak przechodzi obok,
Eksploduje bez świadków i bez widzów.



rys. Anna Pawluskiewicz

Pisząc

Robię to tak
jakbym się pakował
i miał wyjechać daleko

Ponaglają mnie
zostawione na biurku
notatki

Ponieważ wiem że mogę
nie wrócić

Ponieważ nie wolno
mi zabrać
cennych rzeczy
odkładam słowa i pióro

biorąc głęboki oddech

**Obecność**

Dopiero w całkowitej samotności dowiedział się,
Że nie jest sam.

Wspomnienie o świecie

Jakim go zapamiętałeś?
Chmury deszczowe ujrane w stawie

I ktoś, kto mówi: dęby wysokie
Do samego nieba. Jak odróżnisz je od chmur?

Pragnąć

Walerii

Wyjeżdżali z domu o świecie posłuchać lasu.
Błyski goniły się na ich twarzach,

Urządzały wyścigi wraz z rosnącą prędkością
Samochodu, który był cięciwą i strzałą.

Mknęli tak co najmniej raz w tygodniu,
Nakłaniani przez to samo poruszenie.

Jeździli się całować przy świergocie rzeki.
Wstawali jednocześnie, budzeni przez to samo.

Maciej Bieszczad – ur. 1978 w Wieluniu. Poeta i prozaik. Autor książek poetyckich: *Elipsa* (2010), *Okolice Gerazy* (2012), *Arnion* (2014), *Pogrzeby wr r. óbli* (2017), *Kołatanie* (2018), *Niteczka* (2020). Wiersze publikował m.in. w „Akcencie”, „Kresach”, „Toposie” i „Czasie Literatury”. Laureat Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego *Złoty Środek Poezji* oraz XI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego. Członek Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Wieluniu.

Jan Józef Szczepański, jego rodzice i siostry w latach 1932–1937 mieszkali w willowym bliźniaku przy ulicy generała Józefa Zajączka 9. Zaczynała się u zbiegu z Kościelną (obecnie: PCK), obok Kurii Biskupiej, nieopodal protokatedry Piotra i Pawła. Prowadziła do ogródków działkowych powyżej Poniatowskiego, a stamtąd na parkowe alejki wzgórza Kościuszki.

Dom, w którym mieszkali Szczepańscy był jedną z kilkudziesięciu urokliwych i przytulnych budowli dyskretnie fasonowanych na szlacheckie dworki, a wyposażonych na amerykańską modłę lat 20. XX wieku. Nad każdym wznosił się dwuspadowy dach z facjatkami, a szczyty murów nad bramami wejściowymi wieńczył fantazyjny substytut bezimiennej tarczy herbowej.

Wynajmowali apartament zajmujący połowę willi należącej do prokurenta Franciszka Rydza, Przewodniczącego Zarządu Kasy Chorych Huty „Pokój”. Był emerytowanym kapitanem Wojska Polskiego, eksdowódcą batalionu straży celnej, a od czasu do czasu poetą ogłaszającym wiersze na łamach *Gońca Śląskiego*.

Zaciszna uliczka uchodziła za sypialnię ekstraklasy śląskiego establishmentu. Za progiem pięknych rezydencji zadomowili się dyrektorzy największych śląskich koncernów i przedsiębiorstw, wyżsi oficerowie Wojska Polskiego, adwokaci i lekarze.

Sąsiad zza ściany willi Szczepańskich oznaczony numerem 11 – to emerytowany podpułkownik WP Antoni Nawratil, a mieszkańiec następnej to mecenas Kazimierz Zienkiewicz i jego syn Olgierd, kolega Janka Szczepańskiego z osiedlowego boiska.

Z drugiej strony, na posesji u zbiegu Zajączka i Jordana urządzili się Poklewscy i bracia Monsiorowie – właściciele tej posiadłości.

Ich lokatorem od kilku lat był hrabia Alfons Poklewski-Kozieł, generalny dyrektor śląskich Kopalni i Cynkowni SA. W lipcu 1937 roku w progach jego rezydencji gościł angielski książę George Windsor, diuk Kentu, brat Edwarda VIII – koronowanej głowy imperium brytyjskiego.

Spółka hr. Poklewskiego uchodziła za najstarszą i najbogatszą. Jej biura mieściły się w Katowicach przy ulicy Marszałka Piłsudskiego.

Gabinet dr Aleksandra Szczepańskiego, ojca Jana Józefa, „Generalnego Dyrektora Syndykatu Fabryk Blachy Cynkowej” znajdował się w centrum miasta, przy ulicy Mariackiej. Szyłd znad wejścia do firmy informował: „Zjednoczone Polskie Walcownie Blachy Cynkowej”. Tam też miał siedzibę i sekretariat wspomniany sąsiad Stanisław Monsior, dyrektor i prezes zarządu spółki „Biuro Sprzedaży Wytwórni Blachy Cynkowej”.

Wszyscy trzej, z wysokości wzgórza nad miastem, niczym biblijne cherubiny baczylili na królewski skarbiec śląsko-polskiego cynku. Konkurenci, z przekąsem mówili o mnich – trzy asy. W produkcji srebrzystego metalu reprezentowali trzecią potęgę świata po USA i Belgii.



Janek z kościuszkowskiego wzgórza

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Ojciec i syn

Dr Aleksander Szczepański, naukowiec wypromowany przez sławnego profesora Luho Brentano z Monachium, doświadczony ekonomista i politolog cieszący się autorytetem na forum międzynarodowym, ze znanstwem i powodzeniem operował ekonomicznymi instrumentami zapewniającymi równowagę pomiędzy popytem a podażą na krajowej i międzynarodowej arenie obrotu surowcami i produktami cynkowymi. Potencjał gospo-

darczy regionu górnej Wisły i górnej Odry stał się przedmiotem jego zainteresowań naukowych jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej: w 1919 roku – gdy ważyły się losy granic państwa polskiego – uchodził już za eksperta. „to on właśnie był autorem świetnie napisanej broszury o Górnym Śląsku i jego związkach z Polską. Broszura, wydana anonimowo przez Delegację po francusku, zręcznie grupowała argumenty naszych wrogów z Berg – und Hüttenmännische Vereinu, obracała je przeciw nim i wywołała

wśród uczestników Konferencji Pokojowej wielkie zainteresowanie naszą tezą o przynależności Śląska do Polski” – przypominają redaktorzy „Polski Zachodniej”.

Po kilku latach pracy w polskiej dyplomacji dr A. Szczepański zamieszkał w Katowicach. Od września 1932 roku wchodził w skład Rady Przybocznej Izby Handlowej funkcjonującej pod przewodnictwem Komisarza Rządowego Izby p. Jana Jakuba Kowalczyka. W Katowicach był znany jako dyrektor handlowy spółki akcyjnej Blach cynkowych, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Ekonomistów, wykładowca ekonomii Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych, współzałożyciel i skarbnik Instytutu Śląskiego a także lider wielu innych organizacji strategicznie ważnych dla przemysłu i handlu międzywojennej Polski.

Jego syn Janek, wtedy gimnazjalista, a po latach pisarz znany jako – Jan Józef Szczepański, uczył się, śnił i fantazjował tuż nad sypialnią rodziców, w mansardowym pokoiku przy ulicy generała Zajączka 9. Wiosną, latem i jesienią, gdy wracał ze szkoły, szeroko otwierał okno swojej kawalerki, a wtedy jego orle gniazdo wypełniały słońce. Tam projektował przyszłość, tam prężył skrzydła – wtedy jeszcze – do wysokich lotów głównie na artystycznym niebie malarstwa i grafiki.

Osiedle ulokowane na łagodnej pochyłości Wzgórza Kościuszki przetrwało w literackich tekstach Szczepańskiego. Jego scenariusz i urodę opisał w zbiorze esejów i opowiadań *Rafa*, wydanym w 1974 roku. Obok legendy miejsc, w których był pomiędzy 13. a 19. rokiem życia odnajdziemy tam, najbliższe sercu opisy ich pejzażu.

Przelotnie, na parę dni wpadł tutaj kilka lat po zakończeniu wojny i odzyskaniu nie-

podległości, gdy był już mieszkańcem Krakowa. Czuł, że to miejsce nie jest mu obojętne i wciąż jeszcze należy do niego.

„Wszystko wydaje się takie samo, jak było. I pusto tu w przedwieczornej godzinie jak owych dawnych jesieni, gdy wczesny zmierzch niósł zapowiedź upajających przygód. Już prawie wierzę, że udało mi się oszukać czas. Już nasłuchuję znajomego gwizdu (kilku strawestowanych żartobliwie taktów Moniuszkowskiego kuranta) – haśła, którym zwoływaliśmy się – przyjaciele z sąsiedztwa – na wieczorne wyprawy. Lecz oto moje schodki. Przystaję tylko na chwilę i odchodzę szybkim krokiem – uciekam właściwie, zatrząskując pamięć jak książkę, w której złośliwie zamieniono strony. Zanim się uśmiechnę, kwitując kpina własną naiwność, przeżywam moment dotkliwego oburzenia. Jak on śmiał! Jak śmiał ten jakiś obcy, nieczuły człowiek zastąpić moje zielone sztachety drucianą siatką?!”

Kilkanaście lat później znów przyjechał do Katowic i wybrał się na kościuszkowskie wzgórce.

„Samotny spacer. Oczywiście ul. Gen. Zajączka i park Kościuszki. Nie miałem zamiaru, ale poszedłem.

Do mojego okna dorobiono balkon. Dom starannie odnowiony – w piwnicy magiel. To pewnie źródło zamożności” – odnotował w *Dziennikach*. (Szczepański, *Dzienniki* 2013: 672).

Laura z ulicy Lompy

Pan Andrzej Wiesiołek, prokurent Rybnickiego Gwarectwa Węglowego, miał obszerne mieszkanie z pięcioma weneckimi oknami od strony ulicy Lompy. Jego pokoje i salony – podobnie jak u Szczepańskich – od popo-

łudnia aż do zmierzchu wypełniały promienie zachodzącego słońca.

Zajączka od Lompy dzieliło zaledwie kilkaset metrów, ale dla nastoletniego Janka bywały emocjonującą trasą, na końcu której w pokoiku na piętrze modernistycznej kamienicy mieszkało nastoletnie bóstwo – Laura z tajemniczym uśmiechem na ustach. Stanowiła magiczny obiekt jego miłosnych i artystycznych westchnień. Tak jak Petrarca, nie opisywał swych uczuć w strofach, ale zachwycającą urodę dziewczyny – kredką i ołówkiem – namiętnie szkicował, rysował i malował na dziesiątkach kartek z bloku rysunkowego i zeszytów szkolnych.

Marzył o niej a mocą całej swojej wyobraźni pieścił imię ukochanej:

„(...) było teraz magicznym hasłem, otwierającym nie tylko świat jej czarów, lecz także skarbiec nie znanych mu, własnych tajemnic. Ksenia, KSENIA, Xenia – bibuły w jego zeszytach zabazgrane były niezliczonymi próbkami kaligrafii tego słowa. Ukradkiem rył także inicjały na szkolnym pulpicie. Tych kilka liter zawierało w sobie zawiązki takiego wzruszenia, że kreślenie ich stało się czymś w rodzaju nałogu”.

Po latach Jan Józef Szczepański odkurzył okrucy wspomnień i chwycił za pióro. Ułożyły się w fascynującą opowieść o miłosnych udrękach i ekstazach młodego Michała z kościuszkowskiego wzgórza. O swoich przeżyciach pisze w trzeciej osobie występując w roli narratora. Ksenia to imię autentyczne, jednej z gimnazjalnych koleżanek jego siostry. Jej nazwiska – nie ujawnia – aby nie skrzywdzić, urazić albo zawstydić. To charakterystyczny rys jego męskiej i artystycznej wrażliwości. Nutkę podobnej subtelności czy też onieśmienia możemy odnaleźć również w osobistych wypowiedziach pisarza na temat innych kobiet jego życia.

„Zatrzymali się na chwilę na rogu ulicy św. Jana. Ot, niby przypadkiem. I nagle od strony wiaduktu pojawił się czerwony płaszcz z czarnym króliczym kołnierzem. Ksenia zbliżała się lekkim krokiem, wymachując teczką. Chłodne słońce jesiennego poranka czyniło z jej włosów puszystą jasną mgiełkę”. Poszli razem w kierunku ulicy 3 Maja, aż pod bramę Żeńskiego Gimnazjum i Liceum, w którym nauki pobierała ona i siostra Janka – Jadwiga. Jakies 200 metrów dalej, przy ulicy Mickiewicza znajdowało się Państwowe męskie gimnazjum – tam uczył się Janek Szczepański.

Oszołomiła jego myśli, a on zawrócił jej w głowie.

„Wymarzył sobie dalekie spacerzy z Ksenią, leśnymi piaszczystymi drogami, po których czasem tylko przekica zając, cichymi polanami, żółtymi od pierwiosnków, wśród chwiejących się na tle bladego nieba brzoź i sosen. Chciał prowadzić ją w miejsca, skąd nie widać fabrycznych kominów i gdzie nie dociera warkot motorów. Siadali by w trawie, trzymając się za ręce, i byłiby zupełnie sami na świecie”.

Swoim zwierzeniu nadał intrygujący tytuł: *Obca*. W książkowym wydaniu ukazało się w tomie *Motyl*, w 1962 roku, tak jakby z okazji 30 rocznicy zamieszkania Szczepańskiego w Katowicach.

foto. NAC



Dr Aleksander Szczepański w gabinecie konsulatu Chicago 1925

Stadionik gimnazjalistów

Dr Lucyna Smykowska-Karaś na łamach miesięcznika *Śląsk*, w marcu 2008 roku opublikowała wspomnienia starszych panów z czasów wczesnej młodości spędzonej w eleganckich willach i na alejkach kościuszkowskiego wzgórze. Ze wspomnień wyłoniło się osiedlowe boisko i gromadka młodzieńców, ćwiczących z zapalem nie mniejszym niż ich rówieśnicy w gimnazjonach starożytnej Grecji. Do drużyny i miejsca jej sportowych wyczynów przylgnęła nazwa „Sparta”.

Trenowali na (wtedy jeszcze) niezabudowanym, narożnym placu przy Zajązcka 6, po 1937 roku znanym jako posesja z willą inżyniera Włodzimierza Zagrodzkiego. Ich piaszczysta arena znajdowała się w centrum osiedla, u zbiegu Jordana i Zajązcka. Najlepiej była widoczna z okien Trzeciaków (Jordana7) oraz Korczyńskich (Zajązcka 4).

Nastoletni „spartanie” zauczeni historią antycznych Greków i pięknem herkulesowej muskulatury mieszkali w pobliskich domach. 13 wiosen liczący Jaś Szczepański był kapitanem. Wspólnie wymyślili nazwę a on napisał regulamin.

Mieszkający w sąsiednim domu pod numerem 4 pan Andrzej Korczyński, z Jankiem Szczepańskim zaprzyjaźniony od 1932 roku, nawet jako sędziwy oldboy, wciąż jeszcze miał w pamięci nazwiska Trzeciaka, Knoblocha, Barona i Olgierda Zienkiewicza. „Uprawiliśmy tam głównie takie sportowe dyscypliny jak skok w dal, skok wzwyż, rzut kulą” – wspominał. Większość z nich to późniejsi wybitni politechnicy – a niektórzy jak prof. Olgierd Zienkiewicz, sławy polskiej inżynierii.

Domowe pielesze

Na pokojach Szczepańskich od czasu do czasu rozbrzmiewały dźwięki fortepianu. To był ważny atrybut inteligentnego salonu tamtej epoki. Grała na nim pani domu Maria Szczepańska ze Znatowiczów i jej dwie córki – Anna urodzona w 1914 roku i Jadwiga o 6 lat młodsza. Jasio do pianistyki nie miał sentymentu. Lubił muzykę, ale zabrakło mu cierpliwości do zmagania się z tak wielką ilością białych i czarnych klawiszów. Bardziej niż klawiatura interesował go obrotowy stołek instrumentalisty, na którym mógł zawirować jak na karuzeli.

Kiedy był już starszym panem wypomniał mu to jego przyjaciel Stanisław Lem, a on wtedy uderzył się w piersi: „Do tej pory ogromnie żałuję, że się nie nauczyłem grać na fortepianie. Mimo że moja matka bardzo usilnie próbowała mnie nauczyć, ale nic z tego nie wyszło: kiedy tylko siadałem do fortepianu, zaczynały mnie swędzieć plecy i musiałem się drapać zamiast przebiegać palcami po klawiszach”. Tata zauważał, że pod tym względem jego syn był podobny do dziadka Józefa Szczepańskiego, po którym odziedziczył drugie imię. Dziadek, gimnazjalny profesor matematyki, dyrektor gimnazjów w Warszawie, Płocku, Włocławku i Grójcu był „człowiekiem nadzwyczajnej dobroci i wielkiego rozumu”, ale nie zawsze, tak jak jego żona dyplomowana skrzypaczka, był skłonny się wzruszać muzyką.

W opowiadaniu *Rafa* Jan Józef Szczepański wspomina warszawskie mieszkanie swojej babci Znatowiczowej. Mieściło się w kamienicy przy ulicy Zielnej 13. Przypominało czasy jego wczesnego dzieciństwa. Było niezwykłym sanktuarium rodzinnych pamiątek po dziadkach i pradziadkach. Najlepiej zapamiętał „starą fotografię, koloru wodnistej herbaty, stojącą na biurku w babcinej sypialni”. „Przedstawiała ona długi biały dom z neoklasyką kolumnadą na piętrze, ponad niskimi arkadami podjazdu, usadowiony wygodnie wśród bujnie rozrosniętych drzew. Jego szlachetnie prosta bryła skomplikowana była nieoczekiwanie osobnym pawilonem w kształcie ośmiokątnej baszty, połączonym z korpusem głównej budowli krytym przejściem. Dom ów był dworem w Jaszunach – majątku Śniadeckich. Tu właśnie upłynęło dzieciństwo babki i tutaj nasiąkało przekazanymi jej przez poprzednie pokolenia wspomnieniami, w których role gościnnie występujących gwiazd grali Tomasz Zań i Antoni Edward Odyniec, Wawrzyniec Puttkamer i ksiądz Jundziłł, Salomea Bécu i Juliusz Słowacki”.

W katowickim okresie wielką ciekawość Janka wzbudzały półki domowej biblioteki rodziców. Chętnie zaglądał do ojcowskich reportaży z Ameryki zatytułowanych *Drapacze i śmietniki*. Trafił tam na passus, z którego wynikało, że asystował tacie przy pracy nad książką a nadto, że mimo woli został wtedy twórcą pewnego neologizmu: „Merriam ze spokojem uczonego przyznaje – pisze dr A. Szczepański – w swojej książce, że bootlegerstwo wytworzyło nową, potężną, bogatą i wpływową arystokrację. Ci wielcy potentaci przemysłnictwa alkoholowego, wielcy butelkierzy (jak mimowolnie spolszczył nazwę amerykańską mój mały syn) ciągną ze swego procederu tak olbrzymie zyski, że stać ich zarówno na przekupywanie policji miejskiej, jak na utrzymywanie własnej”.

Po latach, pośród cymeliów księgozbioru Szczepańskich Janek odnalazł sympatyczną książeczkę *Wakacje w Jaszunach* wydaną w 1937 roku. Jej autorką była Maria Znatowicz Szczepańska – prawnuczka sławnego profesora Jana Śniadeckiego, astronoma, rektora Uniwersytetu Wileńskiego, opromienionego patriotyczną legendą Adama Mickiewicza, romantycznych Filaretów i Filomatów.

Ważnym rodzinnym wydarzeniem Szczepańskich towarzyszyła poezja. Gdy w 1920 na świat przysła Jadwiżka – najmłodsza córka Marii i Aleksandra, na łamach „Gazety Warszawskiej” Maria Znatowicz Szczepańska ogłosiła wiersz

DO SERCA SZCZEŚLIWEGO.

*Zaufaj szczęścia ptakowi, serce człowiecze
Nie więź go płonną zazdrością, nie męcz
obawą!*

*Wolny on: zechce – przyleci, zechce uciecze...
Pana on nie ma nad sobą: własne zna
prawo!*

Minęło kilkanaście wiosen, a Jadzia przekroczyła progi gimnazjum. Jej przywódcze talenty, koleżanki odkryły już w klasie 3B. Wybrały ją na Wójta Gminy swojego oddziału. Taki oficjalny tytuł przysługiwał osobie stojącej na czele samorządu uczniowskiego. 1937 roku rezolut-

na Jadwiga została liderem XV drużyny harcerskiej im. Promienistych żeńskiego gimnazjum w Katowicach. Rok później zdała maturę. Z tej okazji napisała wierszyk. Wygłosiła go na komersie absolwentek. Przetrwał w szkolnych kronikach.

*Rozpogodzone zebrało się Grono,
I szkolne śmieją się mury
A w mojej głowie zielono, zielono!
Czyżby to skutki matury?
(...)*

Po inwazji hitlerowskich Niemiec na Polskę i po bohaterskiej służbie w Powstaniu Warszawskim losy zagnały Jadwigę do Afryki Południowej. Po zamążpójściu nazywała się Miszewska. Jej mąż Maciej to sławny architekt; projektował gmach opery w Kapsztadzie.

Wróćmy jeszcze do jej mamy. „Na łamach międzywojennej *Fantany* ukazywały się wiersze poetów jugosłowiańskich w kulturalnych i dźwięcznych przekładach Marii Znatowicz-Szczepańskiej” – w monografii literatury międzywojennego Śląska odnotował Zdzisław Hierowski.

Prócz kilku tomików poetyckich wydała drukiem – wspomnieniowo-reporterskie publikacje poświęcone swojej przyjaciółce Józji Oberfeldówniej oraz ojcu Bronisławowi Znatowiczowi. Wertując dzieła jej syna – Jana Józefa Szczepańskiego trudno oprzeć się wrażeniu, że i on – obraz swego literackiego świata – zwykł opisywać z podobnej perspektywy. Może to pokrewieństwo dusz, a może młodzieńcze zaurczenie intymną lekturą domowej biblioteki?

O tych wszystkich wydarzeniach i wspomnieniach mówiło się w salonie podczas posiłków, a czasem także przy popołudniowej herbatce lub na spacerach alejkami Kościuszkowskiego Wzgórze.

W 1931 roku na łamach warszawskiego *Bluszczu* M. Znatowicz-Szczepańska opublikowała tekst ukazujący Katowice i magiczne widoki okolicznych wzgórze – *W majową noc* – świętujących rocznicę Powstania Górnos Śląskiego. Jej reporterskie paneau przypomina słowiańskie obrzędy antycznego Śląska.

„Na zboczach lub wierzchołkach hałd, na rozstajach dróg pod Krzyżami, na skraju lasu roznieca je ludność dla tem większego uczczenia Święta. Bo noc z 2-go na 3-ci maja – to ważna i uroczysta rocznica wybuchu trzeciego powstania śląskiego. A jednocześnie – dzień następny – to rocznica Wiekopomnego Dzieła Konstytucji 3-go maja. Dwa Święta: jedno własne, niejako domowe, najbliższe sercu ludu, drugie – ogólne, narodowe i państwowe. Dwa święta całej Zjednoczonej Macierzy. Punktem centralnym uroczystości są Katowice”.

Mama Janka była dyplomowaną nauczycielką języka francuskiego, a od czasu pobytu w Zagrzebiu (1921/1922) przekładała na język polski także dzieła serbskich i chorwackich pisarzy. Jednym z nich był Ivo Andrić. Dzięki niej jego książka w polskich księgarniach znalazła się już w roku 1937 (Ivo Andrić *Nowele*. Wstęp N. Mirković. Tłum. M. Znatowicz-Szczepańska. Warszawa 1937).

Była prelegentką Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem. W Domu Oświa-

towym przy Francuskiej 12 wygłaszała odczyty i dzieliła się wrażeniami z pobytu w kilku krajach świata. Jeden z wieczorów poświęciła: *Współczesnej Jugosławii*. W żeńskim gimnazjum przy 3 Maja wśród rodziców gimnazjalistek zaaranżowała dyskusję na temat: *Pomoc domu w lekturze dzieci*.

Występowała przed mikrofonem katowickiej rozgłośni Polskiego radia. Wygłaszała pogadanki. Na przykład, w marcu 1935 roku pt. *Nabożeństwo Śląskie*, a w maju pt. *Kolos z Katowic*. Gdy była w eterze rodzina Szczepańskich z detektorami na uszach zasiadała na fotelach w salonie.

Audycji radiowych na Śląsku można było słuchać od 1927 roku. Dzięki nadajnikom dużej mocy miały fanów i odbiorców w całej Europie Środkowej. Marię Szczepańską wyróżniał miły, aksamienny tembr głosu. Znajdowała upodobanie w czytaniu tekstów literackich dla gromadki zasłuchanych domowników lub gości. To były uroczne chwile w latach dzieciństwa jej córek i Janka, a także jego dzieci. Po wojnie, będąc już babcią, mieszkala z nimi w krakowskim mieszkaniu przy ulicy Helców.

Najważniejszą osobą katowickiego domostwa przy ulicy Zajączka 9 był dr Aleksander Roman Szczepański – przystojny mężczyzna o wielkich brązowych oczach. Jego życzliwe, mądre i wyrozumiałe spojrzenie w pamięci syna przetrwało do końca życia. Dla żony Marii i krewnych był po prostu Romkiem lub Olkiem.

Gdy oglądali albumy ze starymi fotografiami wspominał swoje dzieciństwo spędzone w Saratowie nad Wołgą, swego ojca Dionizego, profesora tamtejszego gimnazjum, mamę Adelę pięknie grającą na skrzypcach, swoją młodszą siostrę Marię piszącą wiersze i wzruszające listy.

„Ojciec miał brązowe, głęboko osadzone oczy, w których zawsze czał się bystry uśmiezek — czasem pobłażliwy, czasem przejmująco chłodny. Znaczył on, że każda najdrobniejsza rzecz jest dostrzeżona i oceniona według swojej wagi” — zapisał jego syn.

Janek szanował tatę i czuł przed nim respekt. Dr A. Szczepański, członek zarządu Koła Przyjaciół Harcerstwa II drużyny męskiej im. Tadeusza Kościuszki w Katowicach, troszczył się o wyekwipowanie drużyny w sprzęt obozowy, podniesienie karności i sprawności skautów Państwowego Gimnazjum przy ulicy Mickiewicza. To zobowiązywało również i syna!

Zachętom ojca zawdzięczał nie tylko zaangażowanie w sprawę skautingu, ale także pogłębione zaciekawienie egzotyką orientu, a w konsekwencji studia iranistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, a potem na Jagiellońskim. „Z bibliotecznej szafy ojca wyciągał grube tomy *Prophyläen Kunstgeschichte* i wertował je w skupieniu na swoim poddaszu. Szukał potwierdzenia, wiedząc zresztą, że je znajdzie, bo za nic nie byłby odstąpił od swego pomysłu.

Paseczkami papieru pozakładał niektóre plansze i nieustannie do nich wracał (...).

I jeszcze ciemne twarze kobiet z fresków Adzantów, rozświetlone błyskami wydłużonych oczu, pochylone w tajemniczej zadumie (...). Wszystko to było wzruszającym dowodem niezniszczalności i odwiecznego trwania czaru życia, nieustającego tryumfu najsuteln-

niejszych uczuć. I wszystko prowadziło prosto do Kseni” — zwierzał swoje sekrety w *Obcej*.

Gimnazjum przy Mickiewicza

Jego elewem Janek został w 1932 roku. Miał za sobą pierwszą klasę warszawskiego gimnazjum Stefana Batorego. Katowickie, w którym uczył się już do matury, sportretował w jednym ze swoich opowiadań. Tutaj, tak jak w innych utworach, sam siebie wykreował na Michała. Opis szkolnego podwórka, a szczególnie dachu sali gimnastycznej usytuowanej od strony ulicy ks. Piotra Skargi, to pamiętka estetycznego katharsis, jakie przeżył po prywatnych lekcjach odbytych pod okiem mistrzów palety nauczających pod szyldem „Wolna Szkoła Malarstwa im. A. Gierymskiego”.

„Przez wiele lat oglądał Michał z okien rozmaitych klas dziedziniec swojego gimnazjum. Ten widok nie wywoływał już w nim nawet uczucia nudy. Zamknąwszy powieki mógł odtworzyć każdy szczegół murów z poczerwiałej cegły, wysokich okien, zakończonych płytkim łukiem, o parapetach z zielonych glazurowanych płytek, żelaznych sztachet i pokrytego papą dachu niższej o dwa piętra dobudówki, w której mieściła się sala gimnastyczna. [...] Nagle pewnego dnia, zobaczył to wszystko na nowo”.

W archiwalnych sprawozdaniach gimnazjum Mickiewicza przetrwała notatka o prelekcji Janka Szczepańskiego, który o blaskach i cieniach życia artystów malarzy dyskutował z kolegami na godzinie wychowawczej: „Z pomiędzy zagadnień wysuniętych przez uczniów należy wymienić referat ucznia kl. VIII b J. Szczepańskiego: Sztuka plastyczna w Polsce; nadto odczytanie i żywą dyskusję w związku z artykułem I. K. C. z 7 X 1936: *Magistrzy garnki lepią*”.

Dodajmy, że na 3 kwadransy godziny wychowawczej byli zapraszani rodzice abiturientów. Znana z anteny radiowej Maria Znatowicz Szczepańska gościła tutaj z pogadanką: *W poszukiwaniu autorytetu* Janek Szczepański wchodził w skład komitetu redakcyjnego szkolnego czasopisma *Nasze Piśemko*. Było kolportowane we wszystkich katowickich gimnazjach. Redakcyjnymi kolegami Szczepańskiego byli: H. Majnusz, J. Ostaszewski, J. Sojka, J. Wicherkiewicz, St. Wysocki, W. Silberstein.

Po lekcjach

Gdy tylko wybrzmiał ostatni dzwonek wyterkotany ręką woźnego pana Klose, wprost z gimnazjum, Janek szedł na ulicę Gliwicką 13, gdzie czekał na niego starszy o 7 lat, świeżo upieczony absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego mgr August Grodzicki. Kilka kwadransów poświęcał łańcic. Redaktor Grodzicki, po latach naczelny „Kuriera codziennego”, przypomniał to w swoich wspomnieniach „W teatrze życia” (PIW 1984).

Pozostałe godziny Janek dzielił pomiędzy naukę własną a lekcje tańca i związane z nimi tak zwane „tańcówki” od czasu do czasu organizowane w mieszczańskich salonach koleżanek z żeńskiego gimnazjum. Najważniejsze było taneczne rendez-vous w domu jego ubóstwianej Laury przy ulicy Lompy: „Właśnie w czasie owej pierwszej zabawy u Kseni zapoczątkowano zwyczaj, który potem stał się obo-

wiązkowym rytuałem, że do ostatniego tańca „panie” proszą „panów”. Niedyskretna intencja tego pomysłu — chęć wypróbowania wzajemnych sympatii — miała w sobie przedsmak owego wyjawienia, którego perspektywa tak bardzo wzruszała Michałowe serce. Toteż siedząc na skórzanej kanapie, odstapionej na tę okazję chłopcom przez dziewczęta, z trudem oparowywał drzenie.

(...) Całować umiem tak, jak Tangolita...

— śpiewał namiętny kobiecy głos z drzwiczek patefonu. W melodii było jakieś omdlałe przeciąganie się, od którego ścisłało w krtani. I oto kiedy płyta dobiegała już połowy, Ksenia odwróciła się nagle, przeszła ukosem przez pokój i stanąwszy przed Michałem, zaróżowiona i uśmiechnięta, dygnęła wdzięcznie, ujmując w końcu palców skraj spódniczki.

Na lekcjach u panny Wieczorek prowadzącej szkółkę tańca towarzyskiego ulokowaną vis a vis katowickiego kina „Słońce” bardzo się zniesmaczał aurą pretensjonalnego „instytutu Terpsychory”. Było jak było, ale mógł się nacieszyć bliskością Kseni.

Na finiszu

„Z pewnością był chłopcem spokojnym, opanowanym, typem humanisty rozmiłowanym w książkach, zwłaszcza tych o podróżach — tak o Janku Szczepańskim mówił Jędrzej Korczyński, młodszy kolega ze szkoły i z podwórka. — Przyjaciele wiedzieli też, że ma artystyczne zainteresowania. Koledzy ze sportowego klubu po cichu zazdrościli mu sportowych umiejętności.

Ze szkolnych archiwaliów dowiadujemy się, że ojciec Janka i Jadwigi dr Aleksander Szczepański był prominentnym społecznikiem wspierającym działalność katowickiego Koła Przyjaciół Harcerstwa. W ten sposób kontynuował tradycję zapoczątkowaną przez swego ojca Józefa Dionizego, założyciela pierwszych drużyn polskiego skautingu na Kujawach — we Włocławku i w Płocku. Pierwsze miesiące 1937 roku, w pamięci Janka i całej jego rodziny pozostały porą smutku i żaloby. 21 stycznia 1937 roku, w Instytucie Radowym Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie — po długotrwałej chorobie — zmarł Aleksander Szczepański. Przeżył lat 54. W pamięci syna i w jego opowiadaniach przechował się bolesny wizerunek cierpiącego ojca: „Wyostrzony i pobielający na grzbiecie nos, zapadnięte skronie, kurczowo zacisnięte sine wargi. Taką twarz miał mój ojciec w ostatnich dniach swej śmiertelnej choroby”.

Pogrzeb odbył się dnia 23 stycznia. Po nabożeństwie w warszawskim kościele Karola Boromeusza, kondukt żałobny — rodzina, przyjaciele i znajomi, towarzyszyli zmarłemu do grobowca Szczepańskich na Powązkach.

To półrocze było dla Janka czasem życiowej próby. Musiał się pogodzić z utratą ojca — jego ciepła i dobroci. W maju zdał maturę. Gimnazjum ukończył jako prymus z wynikiem bardzo dobrym.

Kroniki gimnazjalne wymieniają 14 młodych mężczyzn z pokolenia „Kolumbów”, którzy w 1937 roku przystąpili do egzaminu i otrzymali świadectwa dojrzałości. Jednym z nich był Janek Szczepański. ■

Za czterema zamkami

„Ten facet wiercił dziury w drzwiach z takim zapamiętaniem, że nie mogłem mu przeskodzić. Brakowało mi odwagi. Spojrzałem tylko udając obojętność i starałem się zachować spokój. Ten facet wiercił dziury w moich drzwiach i montował dodatkowe zamki. Przez chwilę pomyślałem, że teraz te drzwi będą wyglądać jak dobrze strzeżona brama banku. Nie miałem tutaj czego szukać.”

Właśnie tak – w progach mieszkania – poznajemy Andrzeja Szyposza, autora i poniekąd głównego bohatera autobiograficznego opowiadania „Babie lato”. Niemal słyszymy przeraźliwy warkot wiertarki, czujemy napięcie, które wytworzyło się pomiędzy beziemiennym i wkrótce bezdomnym mężczyzną, a jego żoną Krystyną. To ona zawołała ślusarza. Od teraz będą cztery spusty – cztery klucze. On nie dostanie ani jednego. Dlaczego? Krystyna miała już dość. Dość, że ciągle pije, a pił na potęgę. Wszystko. Od francuskiego wina ze szczerpu *cabernet franc* po denaturat. A teraz stoi w tym przedpokoju jak zbity pies i zastanawia się jak to mogło się stać... Za chwilę ślusarz skończy pracę, za chwilę Krystyna każe mu wyjść, zatrzaśnie drzwi, przekręci zamek.

W pierwszej chwili wcale nie jest nam go żal. Najchętniej stanęliśmy murem za Krystyną, która po latach udreki wyrwała się z toksycznej relacji i wyznaczyła zdecydowaną granicę – zakaz wstępu. Jednak autor nienachalnie wprowadza nas w meandry myślenia człowieka uzależnionego, człowieka na skraju przepaści. I tak – chcąc nie chcąc – podążamy za straceńcem. Godzina za godziną. Krok za krokiem. Ulica. Kobiety w kusych bluzeczkach, obcisłych spodniach. Plik banknotów w kieszeni spodni – sowita zapłata za ostatnie opowiadanie. Starczy na jakiś czas. I jeszcze ten samotny klucz. Najważniejszy. Do piwnicy.

Zawory, grzejniki, złom

„Jakieś rury, rurki, rureczki, jak w bim-browni, albo w gorzelnii. Bez okna. Drzwi obite blachą. Kłódka. Cztery schody w dół. Pomieszczenie. Ławka, którą ktoś kiedyś zaiwaniał z parku, albo podwórka. Stary płaszcz śmierdzący stęchlizną, dwie marynarki – brudne – z pajakami w kieszeniach. Zawory, panele grzejników, złom, szare odrapane ściany z wystającymi gwoździakami, dziura w podłodze. (...) Choć tyle, że można się przykryć tym śmierdzącym płaszczem. Choć tyle, że można położyć pod głowę temarynarki. Choć tyle, że można się położyć na tej ławce. I co?”

I nic. Można już tylko wpatrywać się w ścianę i liczyć na cud. A nuż Krystyna



Wernisaż wystawy Michała Litkiwa w tyskiej „Tęczy”. Na zdjęciu Andrzej Szyposz (pierwszy z lewej) – a właściwie Andrzej John – bowiem po ślubie z Małgorzatą John (druga z lewej) przyjął nazwisko żony. Od prawej Jan Paweł Krasnodębski z żoną Danutą.

for arch. pr. w. Romualda Kikusa.

Cieniutka nić „Babiego lata”. Wspomnienie Andrzeja Szyposza

AGNIESZKA KIJAS

Brązowa koperta. Zapach starego papieru. W środku złożone na pół pliki pożółkłych kartek. Maszynopis. Czcionka wyblakła, nieostra, lekko rozmyty tusz. Żle się czyta, bo niewyraźne, bo strach, że półprzezroczyste, ledwo żywe arkusiki rozsypią się w drobny mak przy najdelikatniejszym dotyku. Ręka drży, a tu trzeba zachować stoicki spokój, nabożne namaszczenie z jakim przegląda się unikatowe, historyczne dokumenty. Ech... Ani poślinić palca przy odwracaniu strony, ani zgiąć w rulon, by było wygodniej trzymać. Na szczęście, nie jest tego wiele. łącznie 30 stron. Toż to igraszka – ledwie godzina czytania. A jednak po tej przekłętej godzinie nic już nie jest takie, jakim było wcześniej. Natarczywe, nie-nasycone echo z tyłu głowy wciąż będzie odbijać się rykoszetem od dwóch machinalnie wyrytych w pamięci słów: babie lato...

znajdzie go tu, zejdzie do piwnicy, ulituje się nad cierpiącym i powie to jedno słowo, o które zabiegał tak długo, a którego nigdy nie słyszał. „Chodź”.

Krystyna nie nadchodzi. Czas dłuży się niemiłosiernie. Coś trzeba zrobić. Trzeba stąd wyjść, uciec od natłoku myśli, podzielić się z kimś, porozmawiać z przychylnym człowiekiem. Z Romkiem. Ciekawe czy jeszcze jest w pracy? Ale najpierw bar... „Piwo. Może ze dwa? Nerwy uspokoić. Cemu nie. (...) Dwa kufelki pienistego. Następny papieros. Jeden kufel natychmiast, do spodu. Dobrze. Chwila

przerwy. Co za gęby w tym przybytku. Co ja tu robisz? To nie jest odpowiednie miejsce. Ale niech tam. Niech będzie”. Już i tak wszystko jedno. Krystyna pewnie, widząc go tutaj, powiedziała, że jest bydle nie człowiek i miałaby rację, ale kogo to może obchodzić. Czas. Już czas odwiedzić Romka.

Mój przyjaciel Romek

„Pod arkadami cień. Chłodniej. Zastukać w okno. Jest. Kiwa dłonią. To dobrze. Chwila spokoju. Zapomnę. – Co? Mam wejść? – pytam. – No jasne – odpowiada. (...) Idzie do drzwi. Przekrę-

ca gałkę zamka. – Jeszcze jeden zamek – myślę. Przechodzimy przez pierwszą pracownię. Wszędzie zęby. Nic dziwnego. Protezownia. Ludzie potrzebują bardzo dużo sztucznych zębów, mostków, szczęk. Psują się zęby naszemu narodowi”.

Tak oto na scenę wkracza Romek, a właściwie Romuald Kłakus, wieloletni przyjaciel Andrzeja Szyposza. Z wykształcenia technik dentystryczny, z zamiłowania aktor i reżyser. Publiczności znany głównie z występów w Teatrze Alternatywnym BELFEgoR, z którym przez dwie dekady tworzył niezapomniane spektakle w tym *Jądro szaleństwa* wg Fernanda Arrabala. I to właśnie w tym Teatrze Małym, gdzie swego czasu pracował Andrzej, zaczęła się ich znajomość.

Świat jest mały, bo to właśnie dzięki Romkowi miałam okazję zapoznać się z oryginalnym maszynopisem *Babiego lata* – opowiadania na wskroś autobiograficznego. Aż trudno dać wiarę, że znakomita większość historii opisanej przez Szyposza, wydarzyła się naprawdę i była jego prywatnym doświadczeniem. Żona naprawdę zmieniła zamki w drzwiach ich wspólnego mieszkania, po czym wyjechała na pewien czas na drugi koniec Polski. Bezradny Szyposz udał się na milicję, gdzie usłyszał, że jeżeli jest zameldowany pod tym adresem – a był – to może utworzyć sobie wejście za pomocą siekiery. Szyposzowi takie rozwiązanie wydało się dość radykalne i postanowił z niego nie skorzystać. Przeniósł się do piwnicy. Prawdą jest też to, że powodem tego osobliwego wydalenia z domu był fakt, że pisarz zbyt często zaglądał do kieliszka...

– I owszem, Andrzej miał problem z alkoholem – przyznaje Romuald Kłakus, – aczkolwiek był tego świadomy. Co więcej, walczył z nałogiem

i raz nawet po kilkumiesięcznej abstinencji wstąpił w telewizji, gdzie przestrzegał innych, by nie sięgali po alkohol zwłaszcza wówczas, gdy są śpiący. Tłumaczył, że kiedy zmęczony człowiek wypije choćby lampkę wina, łątwo zapada w sen. A gdyby tak jeszcze na dokładkę nieszczęśnik ten położył się z papierosem do łóżka...

Jak się okazuje to dziwne ostrzeżenie – nie pij, gdy chce ci się spać – było również z życia wzięte. Zdarzyło się bowiem, że Szyposz puścił z dymem mieszkanie przy placu Wolności w Katowicach. Miał tam piękną pracownię fotograficzną, bowiem – choć był bardzo sprawnym pisarzem i poetą – to właśnie fotografia stała się dziedziną sztuki, w której odnosił wybitne sukcesy. Jego zdjęcia zdobyły wiele pocztówek i albumów, które ukazywały zarówno Tychy (miasto, w którym mieszkał przez długi czas), jak i Katowice. W pracowni tej stała wygodna leżanka, na niej to pewnego dnia Szyposz – po wypiciu kilku głębszych – przysnął. Nie zgasił papierosa. Od żaru zapaliła się leżanka, od leżanki całe mieszkanie i potem straż pożarna rozbiła pół dachu, żeby go stamtąd wyciągnąć. Przeżył. A później ostrzegął w telewizji.

Kłakus wspomina też jak podczas jednego spotkania w legendarnej już protezowni przy ul. Edukacji w Tychach Andrzej Szyposz ni z tego ni z owego zaczął krzyczeć w niebogłosy.

– „Uciekajmy! Uciekajmy stąd, bo za chwilę będzie bombardowanie!” Popatrzyliśmy po sobie z Felą, koleżanką protezyczką, ale że mieliśmy robotę nieskończoną to ani nam w głowie było uciekanie. Andrzej wziął więc swoją maszynę do pisania, z którą się nie rozstawał i uciekł sam. Potem okazało się, że na drugi dzień znalazła go pani

Greczyńska, która mieszkała w sąsiednim bloku. Spał skulony pod drzewem na placu z tą maszyną do pisania pod głową. Takie miał wizje – mówi Kłakus.

Innym razem Szyposz opuścił pracownię protetyczną wraz z tyle co poznaną tam dziewczyną. Zamienili raptem kilka słów. Nic więcej. Jednak nie przeszkodziło mu to, by już po chwili w tym samym trolejbusie paść przed zaskoczoną niewiastą na kolana i płomiennie wyznawać jej miłość ku wzruszeniu i uciesze pozostałych pasażerów. A gdy wysiadał na swoim przystanku, to biegł jeszcze za autobusem machając i śląc jej buziaki. Przedstawienie musiało trwać dalej.

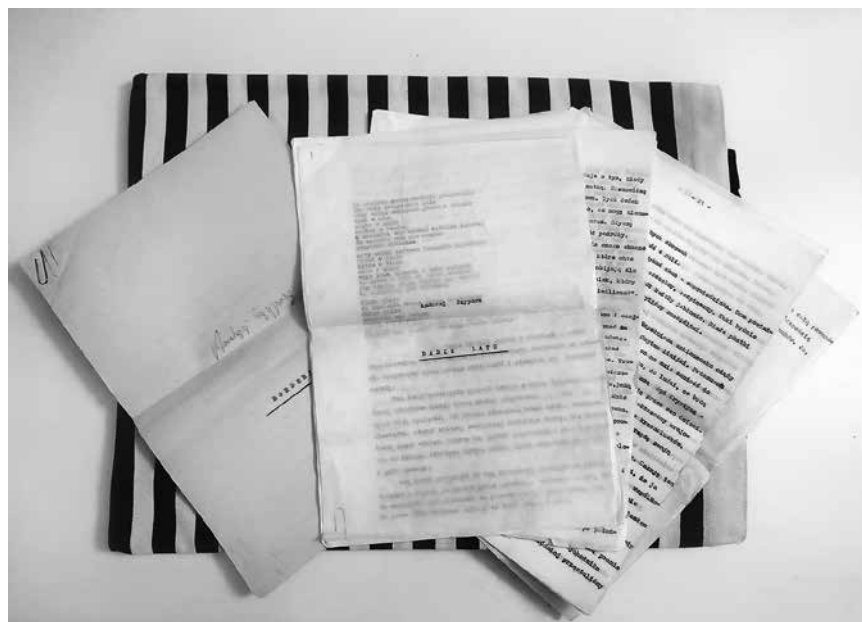
Podobnie rzecz miała się z białym peugeotem cabrio. Samochód ten Szyposz sprawił sobie po tym jak otrzymał zaliczkę z wydawnictwa, które przyjęło do druku jego opowiadania. Redaktor Radia Katowice, Maciej Szczawiński, wspominał, jak to pewnego dnia na jednym ze skrzyżowań natknął się na Szyposza, który przemierzał ulice w tymże samochodzie. Dodać należy, że przemierzał je w tempie żółwia, by każdy mógł się napatrzeć na jego luksus. Uśmiechnięty, opalony, w ciemnych okularach à la Zbyszek Cybulski. Ot, cały Szyposz! Kiedy był na dnie, to był na dnie, a kiedy był na szczycie, to był na szczycie – i to jak!

A potem... A potem nastąpił koniec...

Na cieniutkiej niteczce

Pierwsza noc w piwnicy. „Cztery ściany, sufit, okno. To nie czyni domu. Dom, to coś całkiem innego, to współistnienie, współżycie, wspólnota odczuwania, zrozumienie. (...) Stół. Maszyna. Kartka zapisana do połowy. Trzeba pisać dalej. To pozwala przetrwać. Jeżeli nie można oddać się bez reszty drugiemu człowiekowi, to trzeba oddać się bez reszty czemuś innemu. Czemu? Najlepiej zdaniom. Słowu. To pozwala uporządkować świat (...). Tu, w tej piwnicy nie ma wanny i nie ma prysznicza. Tu, w tej piwnicy nie ma wody, ale jest maszyna i jestem ja. Więc pisze dalej to opowiadanie. Ciągnę to babie lato linijek, jak wędrowny i bezdomny pajaczek.” Jest jeszcze rum we flaszcze. Dużo rumu. Są wizje. Rozmowy z brudnym szczerem i z pajakiem, który nieubłagalnie, krok po kroku, zbliża się do twarzy bohaterka. Szklanka zbliża się do ust i właśnie wtedy poznajemy gorzką prawdę – drugą stronę medalu.

„Ona mówi, że ja piję. Że dlatego nie chce mieć ze mną do czynienia. Nic wspólnego – mówi. A cóż mi pozostało, gdy zrozumiałem, że mnie nie kocha, że moja rola w jej życiu już się spełniła, gdy znalazłem w jej torebce plik listów od różnych mężczyzn. Zupełnie zaniedbała dom. I siebie, i mnie. Nie wiem o czym wtedy myślała, czego pragnęła.



Maszynopisy opowiadań Andrzeja Szyposza

JA:

- Tuż za miastem, w pięknej okolicy, niedaleko linii lasu, stał niewielki, drewniany domek. Dookoła domu rozciągało się wielkie pole, porośnięte czerwonymi makami i błękitnymi chabrami. Maki były tak czerwone, jak czerwone są twoje usta, a chabry były tak niebieskie, jak niebieskie są twoje oczy. Kiedy powiał wiatr, w powietrze unosiły się całe roje kolorowych motyli. Machały skrzydełkami i przestrzeń mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Słońce świeciło jasno. Przesyłało swoje promyki ziemi, jak ciepłe całusy, a ziemia dziękowała słońcu, rodząc coraz piękniejsze kwiaty. Ziemia chciała, aby słońeczko się cieszyło. Ziemia chciała, żeby mieszkańcy drewnianego domku byli zawsze uśmiechnięci, aby mówili do siebie spokojnie, miłe słowa. I tak było.

W drewnianym domku mieszkali Król i królowa - i mieli dwoje dzieci; królową Monikę i królewicza Karola. Życie biegło spokojnie i szczęśliwie w tym drewnianym domku, który tak naprawdę był zamkiem.

Pewnego dnia, na ścieżce prowadzącej do tego domku, pojawiła się staruszka. Miała krzywą twarz, mętne oczy i krzywe nogi. Ubrana była w zachmany i podpierała się sękatym kijem. Zastukała w drzwi i poprosiła o gościnę.

Królowa wypuściła staruszkę za próg. Posadziła ją przy stole i postawiła przed nią miskę zupy. Staruszka jadła zachłannie. Widać była bardzo głodna. Potem powiedziała, że jest bardzo zmęczona i poprosiła gospodarzy, aby pozwolili jej wypocząć przez kilka dni. Król i królowa zgodzili się. Nie mogli przecież wypędzić staruszki na dwór, tym bardziej, że zbliżała się noc. I tak w szczęśliwym gospodarstwie rozgościła się Niezгода, bo takie było imię staruszki.

Niezгода budziła się pierwsza. Zaraz, z samego rana,

Strona z maszynopisu „Babiego lata”

Wracalem z pracy głodny i zły. Zaraz po powrocie brałem się za gotowanie obiadu, mycie naczyń, pranie pieluch, sprzątanie. Ona nie miała czasu. Spała, wychodziła z dziećmi na spacer - wracała - czytała. Później przestaliśmy spać ze sobą. Wszystko było tak paskudne, tak ohydne. Słowa, którymi odpychała mnie od siebie wbiły się głęboko. Bolały. Uciekałem z naszego domu, aby nie słuchać tych słów. Ciążyły mi. Przecież chciałem jak najlepiej. - Znów tylko to ci w głowie. Seks - słyszałem w odpowiedzi. - Dla mnie stosunek jest ukoronowaniem porozumienia, a nie drogą do jego osiągnięcia - powtarzała mentorskim tonem. (...) Coraz później wracałem do domu. Kochałem ją, ale nie chciałem wysłuchiwać bolesnych słów - tym bardziej, że wypowiadała je ona - ta, która przychodziła do mnie co noc, we śnie - Krystyna.”

Od tego momentu rodzi się w nas współczucie dla tego intelektualisty-

degenerata, dla tego zwiniętego na piwnicznej kozetce nędzarza, który błaga o miłość, o jej najdrobniejszy przejaw, o ciche: chodź... Nie ma już nic do stracenia, bo właśnie stracił wszystko. Dom, żonę, dzieci. Jego życie wisi na cieniutkiej niteczce babiego lata...

Borderline

Dziś tak w Tychach, jak i w Katowicach nazwisko - Andrzej Szyposz - niewiele mówi. A to wstyd. Był postacią barwną, twórczą, charyzmatyczną, a nade wszystko posiadał wiele talentów. Pisał świetne opowiadania, celne wier-

sze, robił fantastyczne zdjęcia. Przez wiele lat mieszkał w Tychach i to właśnie przez tyskie uliczki, place, parki, bramy i knajpy prowadzi nas na kartach „Babiego lata”. Jest legendą, o której nikt już nie pamięta...

Zmarł tragicznie.

- To dziwne, ale nie potrafię przypomnieć sobie daty jego śmierci. Wiem za to, że urodził się 1 listopada, podobnie jak Michał Litkiw, malarz. Niejeden raz wspólnie świętowaliśmy w dzień Wszystkich Świętych rocznice ich przyjęcia na świat - wspomina Romuald Kłakus. - Kochałem go jak przyjaciela. Nie wierzę, że to było samobójstwo.

Zgodnie z przyjętą wersją Andrzej Szyposz odebrał sobie życie. Wypił kwas, który służył mu jako odczynnik w jego fotograficznej pracowni.

- Przez trzy dni męczył się w szpitalu. Umierał w strasznych bólach, bo mu wypaliło wnętrze - Kłakus ścisza głos. - Nie odratowali go. Przypuszczam, że on wcale nie chciał się zabić, tylko się pomylił. Wlewał różne chemikalia do butelek po alkoholu i pewnie przypadkowo sięgnął po jedną z nich, bo chciał się napić. Wypił myśląc, że to alkohol. Pomylił flaszki. To musiał być wypadek.

Niemniej widmo śmierci towarzyszyło Szyposzowi.

- Jest takie opowiadanie napisane przez Andrzeja o tytule *Borderline*. Bohater opowiada się, że zabił swoją miłość. Z premedytacją. Ale to jest ta wersja literacka. Chodziło o to, że on siebie chciał zabić, czyli były takie momenty, że ta granica życia i śmierci przesuwała się niebezpiecznie w stronę śmierci - wyjaśnia Kłakus. - Ale nie tak. Nie pijąc kwasu. Nie wierzę, że świadomie skazałby się na takie cierpienie, zwłaszcza, że miał w domu broń. Pistolet, który sam zrobił, sam skonstruował. Taki był zdolny! Nawiasem mówiąc z powodu tego pistoletu pół roku odsiedział w więzieniu. Ktoś doniósł, że Szyposz robi broń, a to był stan wojenny. Ale swój pistolet miał i myślę, że jakby miał sobie odebrać życie, strzeliłby sobie w łeb. Kwas? To nie ma sensu.

„Skończyłem swoją robotę. Moja nić jest wystarczająco mocna, abym mógł zarzucić ją sobie na szyję. Utrzymam mnie z całą pewnością, i z całym zdecydowaniem, i z całą czułą ostatecznością pętli. Odchodzę. Ja, król czterech nowych zamków. Ja, król bez klu...” ■

3 sierpnia 2020 r. pięć minut przed północą, w szpitalu powiatowym w Pszczynie zmarł Romuald Kłakus - aktor i weteran tyskiego Teatru BELFegoR oraz reżyser Kobiórskiego Teatru Kulturalnego. Rozmowa o jego przyjacieliu - Andrzeju Szyposzu - jest ostatnim wywiadem, jakiego Kłakus udzielił mediom. Jego marzeniem było zrealizowanie krótkometrażowego filmu na motywach *Babiego lata*. Nie zdążył.

To nie jest plagiat z Nałkowskiej. To opowieść o zupełnie innej granicy: śląsko-śląskiej; przecinającej podwórka i ulice, pola i zakłady pracy, linie tramwajowe i kolejowe. Ba, nawet kopalnie chodniki.

Kiedy w 1921 roku po górnośląskim plebiscycie i III powstaniu śląskim przedstawiciele Ligi Narodów pochylili się nad mapami spornego obszaru plebiscytowego na Górnym Śląsku, by dokonać podziału między Polskę i Niemcy, ich oczom ukazała się płatanina dróg, linii tramwajowych, kolei normalno- i wąskotorowych, linii energetycznych. A między tym wszystkim – osiedla mieszkalne, gospodarstwa rolne, szkoły, kościoły i cmentarze. Podział okazał się niezwykle skomplikowany. Wytyczenie granicy, która po prostu odpowiadałaby wynikom plebiscytu, było niemożliwe. Skupiska gmin na wschodzie obszaru plebiscytowego, głosujących za Niemcami, były odcięte obszarem gmin, głosujących za Polską, a skupiska polskie na zachodzie – terenami gmin, głosujących za Niemcami. Trzeba było szukać kompromisu i w październiku 1921 r. Komisja Czterech (Wellington Koo z Chin, Paul Hymans z Belgii, Quinones de Leon z Hiszpanii i Da Cunha z Brazylii) zaproponowała podział Górnego Śląska w proporcji 29% dla Polski, 71% dla Niemiec (przy czym Polska zyskiwała prawie 70% potencjału przemysłowego) oraz wyznaczała z grubsza przebieg granicy polsko-niemieckiej na Górnym Śląsku. Piszę „z grubsza”, ponieważ nie-



Niemiecki dom celny w Ptakowicach

fol. Edward Wiczorek

Granica

EDWARD WICZOREK

które rozstrzygnięcia, jak w przypadku kopalni „Delbrück” (Makoszowy), miały miejsce dopiero w 1923 r.

Po podziale Górnego Śląska Polsce i Niemcom nie zależało na stworzeniu „żelaznej kurtyny”, wprowadzono więc niezwykle liberalne przepisy do-

tyczące transferu ludzi i surowców. Regulowała je, podpisana na lata 1922–1937, konwencja genewska (tzw. Konwencja Górnośląska). Konwencja do 1924 r. pozwalała na wybór (opcję) kraju zamieszkania. Niezadowoleni z przebiegu nowej granicy mogli wybrać stronę zamieszkania. Tak więc wielu polskich aktywistów i powstańców śląskich z terenów pozostałych w Niemczech przeprowadziło się na stronę polską. Podobnie było z Niemcami z polskiej strony. Z tej „wędrowki ludów” skorzystało prawie 200 tysięcy Górnoślązaków, dla których trzeba było znaleźć nowe miejsca zamieszkania. Po prowizorycznym bytowaniu w różnego rodzaju barakach, pod koniec lat 20. XX w. zbudowano dla nich po stronie niemieckiej specjalne osiedla.

Tramwajem do cioci za granicę

Bieżący ruch ludności na dawnym obszarze plebiscytowym odbywał się na podstawie kart cyrkulacyjnych (Verkehrskarte), a transfer surowców, półproduktów i produktów nie podlegał cłeniu. Konwencja regulowała też uprzywilejowany tranzyt kolejowy przez terytorium Niemiec (np. linia Tarnowskie Góry – Chorzów) lub Polski (np. linia Bytom – Kluczbork). Podobnie odbywał się tranzyt tramwajowy. Linia z niemieckiego Zabrze do niemieckiego Bytomia przejeżdżała przez polską Rudzką Kuźnicę, linia z polskiego Chorzowa do polskich Piekar – przez niemiecki Bytom. Starsi mieszkańcy w formie anegdot wspominają, jak jadący przez niemieckie terytorium Bytomia – przy zamkniętych drzwiach, pilnowani przez straż celną – żartownisie wołali: „– *Atwórzcie tam łokno, nadychómy się niemieckiego luftu, bo jest łożym razy lepszy!*” Pod koniec lat dwudziestych zbudowano specjalne linie kolejowe omijające tranzyt, np. niemiecką z Zabrze Mikulczyc do Brynka, z pominięciem polskich Tarnowskich Gór, i polską – z Chorzowa Starego przez Brzeziny i Szarlej, z pominięciem niemieckiego Bytomia. Niemcy zmienili też przebieg linii tramwajowej z Zabrze do Bytomia, omijając nową drogą i nowym torowiskiem Rudzką Kuźnicę.

Bezlówowy ruch graniczny odbywał się na podstawie kart cyrkulacyjnych, a później przepustek granicznych i był drobiazgowo regulowany przepisami Konwencji, np.: „*Mieszkańcy specjalnego pasa pogranicznego będą mogli za-*

fol. ze zbiorów Romualda Cholewy

Karta Cyrkulacyjna Nr. 38987
Verkehrskarte
dla ...
Imię i nazwisko *Cholewa*
(U kobiet zamężnych nazwisko rodowe)
Vor- u. Zunamen der Ehefrau – geborene)
Józef
Stan lub zawód *inwalida*
Stand oder Beruf
Miejsce urodzenia *Mjest*
Geburtsort
Dzień urodzenia *19. 11. 1857*
Geburtstag
Miejsce zamieszkania *Kuźnice*
Wohnort
ul. Piastowska 1.
(Ulica, nr. domu) – (Strasse u. Hausnummer)
Przynależność państwowa *Polska*
Staatsangehörigkeit
Ważna dla przekroczenia granicy na wszystkich urzędowo dozwolonych przejściach.
Gültig zum Grenzübertritt über alle amtlich zugelassenen Grenzübergangsstellen.

Karta cyrkulacyjna Józefa Cholewy



Zollgebäude Beuthen, O.-S.



Przejście graniczne i domy celne na granicy niemiecko-polskiej Bytom-Łagiewniki

bierać z sobą, bez opłaty cła, przedmioty, potrzebne do wykonywania obrzędów religijnych, do mszy świętej do komunji, bierzmowania, pierwszej komunji i ostatniego namaszczenia, jako to: kielichy, cyborja, książki, chorągwie, świece itd. Podobne ułatwienia będą udzielane przy pogrzebach, dla przewożenia ciała, dla przewozu przedmiotów, używanych przy tych obrzędach oraz dla utrzymywania i zdobienia grobów." [...] albo: „Właścicielom widowisk wędrownych i innych temu podobnych przedsiębiorstw (cyrki, karuzele itd.) będzie wolno w obrębie specjalnego pasa pogranicznego zabierać z sobą przedmioty, niezbędne dla wykonywania ich zajęcia lub zawodu”.

Wyznaczenie granicy

Już w lipcu 1922 r. zaczęto w terenie umieszczać kamienie graniczne. Powsta-

wały też pierwsze, prowizoryczne jeszcze przejścia graniczne. Autonomiczne województwo śląskie miało z Niemcami łącznie 52 przejścia graniczne, z tego 13 przypadało na wbijający się klinem w terytorium polskie niemiecki Bytom i jego dzisiejsze dzielnice. Z czasem prowizoryczne budki i baraki zostały zastąpione solidnymi budynkami celnymi, nazywanymi na Górnym Śląsku „*colhojzami*”. Oprócz miejsc odpraw i biur mieściły one często mieszkania funkcjonariuszy celnych.

Przebieg granicy polsko-niemieckiej w niektórych miejscach był wręcz kuriozalny: w Kuźni Nieborowskiej granica biegła przez gospodarstwo rolne, w którym budynek mieszkalny stał w Niemczech, a wychodek – w Polsce, zaś w Hanusku granica dzieliła na pół stojącą w polu studnię. Wspomnianą wcześniej kopal-

nię „*Delbrück*” w Makoszowach otaczała z dwóch stron polska granica, a jej brama główna stanowiła zarazem przejście graniczne dla górników, zamieszkujących polską stronę. Granica dzieliła też obszary pod ziemią. Na niemieckiej kopalni „*Heinitz*” (Rozbark) odcinała ona część chodników i przodków, które znalazły się na terenie Polski. Zamknięto je kratami na kłódki, umieszczając napisy o granicy państwowej. Podobnie było z zagranicznymi polami górniczymi kopalni „*Radzionków*” i „*Delbrück*”, z których utworzono samodzielne kopalnie „*Beuthen*” (Bytom) i „*Bielszowice*”.

Niemiecy świadkowie

Po dojściu Hitlera do władzy strona polska zaczęła granicę na Górnym Śląsku fortyfikować. Wokół bytomskiego klina powstał system fortyfikacji stałych, nazywanych Obszarem Warownym „*Śląsk*”. Rozbudowany w l. 1934–1939 od Tąpkowic po Pszczynę, tworzył linię obronną długości ponad 60 km z ponad 170 betonowymi schronami bojowymi, zasiekami kolczastymi, zaporami przeciwczołgowymi i transzejami. Część schronów bojowych umieszczono w bezpośrednim sąsiedztwie dróg i linii tramwajowych, linii kolejowych itd. Stanowią one dziś świadectwo dawnego podziału Górnego Śląska, podobnie jak zachowane jeszcze polskie i niemieckie budynki celne.

To właśnie one są niemyimi świadkami międzywojennego podziału Górnego Śląska. Schron bojowy na granicy Chorzowa i Bytomia, który codziennie mijają tysiące pasażerów tramwajów, autobusów, tysiące kierowców czy podobna budowla na Goduli, stanowią trwałą „pamiątkę” po granicy. Świadectwem jej przebiegu są też granice miast: Bytomia z Rudą Śląską, Zabrze z Rudą Śląską czy diecezji Kościoła katolickiego. Granica archidiecezji katowickiej od Bytomia po Zabełków pokrywa się z granicą polsko-niemiecką okresu międzywojennego. Owymi niemyimi świadkami są też zachowane jeszcze w wielu miejscach domy celne polskie i niemieckie: w Kuźni Nieborowskiej, Ptakowicach, Łagiewnikach, Rudzie Śląskiej, Zabrze...

Swoistym kuriozum jest zbiór kamieni granicznych zgromadzonych w sąsiedztwie „*Źródła Młodości*” w Reptach Śląskich. Część z nich stanowi obudowę otoczenia źródła, część... podstawy ławczek. O podziale Górnego Śląska w 1922 r. przypomina też obelisk w Reptach Śląskich z napisem „*Versailles 28.6.1919*”.

Międzywojenny podział Górnego Śląska jest jednym z boleńszych etapów jego historii, pamiętajmy więc, mijając przydrożny bunkier czy charakterystyczny dom celny, że kiedyś do cioci na urodziny do Bytomia z Chorzowa trzeba było jechać za granicę, z przepustką graniczną lub kartą cyrkulacyjną. ■



Polski schron bojowy w Chorzowie na dawnej granicy polsko-niemieckiej



Miejsce dawnego przejścia granicznego między Polską a Niemcami – dziś granica Rudy Śląskiej i Zabrze



Śląskie tajemnice cz. 30

Pałac w Maniowie Małym

JULIA MONTEWSKA

Pałac w Maniowie Małym to jeden z tych pałaców, o których nikt nie chce pamiętać, a od zakończenia wojny nie uczyniono nic, by obiekt ratować. Jedynym, i to w zasadzie tylko formalnym gestem na papierze było wpisanie go 20.08.1966 roku pod numerem 1795 w Rejestrze Zabytków. Na tym wachlarz możliwości i pomysłów na wykorzystanie tego pięknego obiektu się skończył. Trudno w tej chwili dociekać, co o tym zdecydowało, być może uszkodzenia pałacu, który w połowie lutego 1945 był świadkiem bardzo zacieklej i krwawych walk. To właśnie w tym rejonie wojska niemieckie skierowały dwie dywizje pancerne, by przerwać pierścień oblężenia wokół Festung Breslau. Na elewacjach pałacu oraz wieży do dziś widać ślady kul, po wojnie uszkodzenia obiektu oszacowano na 40 procent i nigdy nie podjęto remontu.

Budowę barokowego założenia pałacowego parkowego w Maniowie Małym rozpoczęto w połowie XVIII wieku za sprawą Jerzego von Poser. Położony na niewielkim wzniesieniu obiekt w dziewiętnastym stuleciu został przebudowany przez rodzinę von Schweinitz, zyskując piętro i górującą nad otoczeniem wieżę, zmieniono też podziały elewacji i nadano im cechy klasycystyczne. Do dziś, pomimo że czas obszedł się z obiektem bardzo okrutnie, główne wejście do budynku, ozdobione późnobarokowym portalem, niesamowicie kontrastuje z odartym z tynku szkieletem pałacu.



fol. Julia Montewska

Spoglądając na umęczoną przez wojnę i ludzką głupotę budowlę, nie sposób sobie nie zadać pytania, które przesładuje mnie od lat: Dlaczego? Dlaczego to, co piękne, wartościowe i warte zachowania dla przyszłych pokoleń, kona porzucone na pastwę losu w krzakach? Czy aby wszystko można zrzucić na lata PRL-u, wszędobylskich PGR-ów, które przejęły większość pałaców w znacjonalizowanym kraju? W przypadku Maniowa Małego, po wojnie obiekt przez całe dekady PRL przekazywały sobie nawzajem różne instytucje, a następnie w roku 1991 oddano go Urzędowi Gminy w Mietkowie. Nigdy nie znalazł się oferent, który chciałby pałac kupić, jak miało to miejsce z innymi obiektami, prawdopodobnie też nigdy nie był nawet oferowany na sprzedaż.

Spoglądając na ruiny pałaców skrywające się w dolnośląskiej dżungli, bo to chyba najtrafniejsze określenie dla chaszczki, w których kryją się ze wstydu te obiekty, sama nie wiem, co gorsze – czy nowobogacki właściciel, który kupował sobie pałac, by ten był kurą znoszącą złote jaja, bo można pod hipotekę brać kredyty, a jego samego nie remontować – czy nieudolność gminy zasłaniającej się brakiem środków na remont. Zapewne w obu

przypadkach istnieje jakaś logika, ponieważ zrujnowany obiekt jest mniej wart niż ziemia, na której stoi, zawsze można zdjąć go z ewidencji zabytków i podzielić teren na działki budowlane. Cóż, z nadęciem podkreślamy, że jesteśmy częścią Europy, że dbamy o zabytki, jednak poza granicami kraju, u naszych sąsiadów trudno o takie widoki.

Powojenną funkcją pałacu w Maniowie Małym było dawać dach nad głową lokatorom, którzy zamieszkiwali w jego nielicznych ocalałych pomieszczeniach jeszcze w latach 80. Obiekt już w tamtych latach był ruiną, jednak dopiero widmo katastrofy budowlanej poskutkowało wyprowadzką. Pałac został pozostawiony na pastwę losu, za schronienie i dach nad głową odpłacono mu dewastacją, okradany ze wszystkiego, co mogło się przydać, trwa w obecnej postaci do dziś, nawet miłośnicy eksploracji i dawnej architektury rzadko zapuszczają się w jego ruiny.

Julia Montewska – inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywcą”. ■

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywcą”.



fol. Julia Montewska

Śląski przekład chińskiego arcypoety

JAN MALICKI

Takiego zaskoczenia, zachwytu, radości, dumy i szacunku dla śląskich dokonań literackich na twarzach moich chińskich słuchaczy się nie spodziewałem. Koniec całorocznego cyklu wykładów, ostatnie egzaminy – już doktorskie – i pożegnanie. Na pamiętkę naszych trzyletnich spotkań każdej z nich wręczyłem wydany niedawno reprint zadziwiającego manuskryptu, oprawionego według reguł imitujących klasyczną, chińską sztukę introligatorską.

Był nim zbiór wierszy zatytułowany *Pieśni o winie* Li Taj Po, jednego z najwybitniejszych poetów chińskich „z okresu złotego wieku chińskiej poezji. Obok swojego przyjaciela Du Fu często wymieniany jako jeden z dwóch największych poetów w dziejach literatury chińskiej”.

Teraz dopiero zrozumiałem przyczynę owego zaskoczenia, zachwytu i szacunku. I retoryczność pytania: tutaj na Śląsku? Jeszcze mocniej zabrzmiało ono wtedy, gdy sięgając do opracowań naukowych, można było się dowiedzieć, że droga poznania tej twórczości w Europie była niezwykle krótka, bo licząca zaledwie 65 lat, od momentu pojawienia się pierwszych tłumaczeń w 1862 roku, po śląskie przekłady z lat trzydziestych XX stulecia. Pierwsze tłumacze-

nie bowiem Europa zawdzięcza markizowi d’Hervey de Saint-Denys i jego pracy o *Poezji epoki Tang*. Ale była i druga droga poznania dokonań literackich Li Taj Po, poety doskonale znanego i cenionego w Japonii. Jego twórczością zainteresowany był Ezra Pound, najwybitniejszy przedstawiciel modernistycznej poezji amerykańskiej, imitując poprzez przekłady japońskie teksty właśnie Li Taj Po. A tak na marginesie, przypomnijmy z kolei, iż wybitnym tłumaczem poezji Ezry Pounda jest Andrzej Szuba. Powtórzmy zatem pytanie: – tutaj na Śląsku? I cofnijmy się do lat trzydziestych XX wieku.

Jesteśmy w Katowicach na ulicy Sienkiewicza. W jednej z kamienic mieszka Jan Wypler, człowiek niepospolity o niezwyklej biografii. Wówczas – profesor myślowickiego gimnazjum; wcześniej katowickiego gimnazjum państwowego (obecnie Liceum im. Adama Mickiewicza); w przeszłości – wielka postać śląskiego dziennikarstwa kojarzona z pismami dwujęzycznymi: „Oberschlesische Grenzzeitung – Górnośląska Gazeta Graniczna”, „Der Weisse Adler – Orzeł Biały”, wreszcie „Most – Die Brücke”, gdzie publikował wiersze Słowackiego, Tetmajera, Orkana i Kasprowicza, którego zresztą poznał osobiście. Ale w latach trzy-

dziestych był już tylko ekscentrycznym starszym panem, zawsze z nieodłącznym parasolem, legendą szkolnej społeczności, niesłychanie spokojnym, nigdy niedającym się wyprowadzić z równowagi.

No, może tylko raz, jak odnotowały ten historyczny fakt kroniki szkolne. „Uczniowie – pisze Bolesław Lubosz – nazywali go Parasolem, i często gęsto próbowali zadrwić z niego i to z sukcesem. Przychodziło im to z łatwością, ponieważ profesor był człowiekiem łatwowiernym. Powiadali wówczas, że zrobili z niego „parasola”. Mógł więc stanowić prawzór profesora z *Szatana z VII klasy* Kornela Makuszyńskiego. Ponoć parasola wykorzystywał też przy swojej domowej pracy. Siadając przy oknie, zasłaniać miał je właśnie nim przed promieniami słońca. Pracował zaś dużo i intensywnie. Wtedy też pod wpływem Domana Wielucha, kolejnej wielkiej legendy śląskiej sinologii i jego niezwykłego słownika, zainteresował się językiem chińskim. Już sam tytuł prowokował: *Słownik chińsko – polski do czytania tekstów chińskich bez przygotowania* (Katowice 1936). Wypler nie tylko uczył się tegoż języka. Co więcej, napisał i wydał broszurkę *Jak można łatwo nauczyć się po chińsku*.

Zachowały się zresztą wspomnienia Jana

Literacka transkrypcja
Szeiowczyk Wilhelm



Copyright
by Jan Wypler
Katowice

Li Taj Po

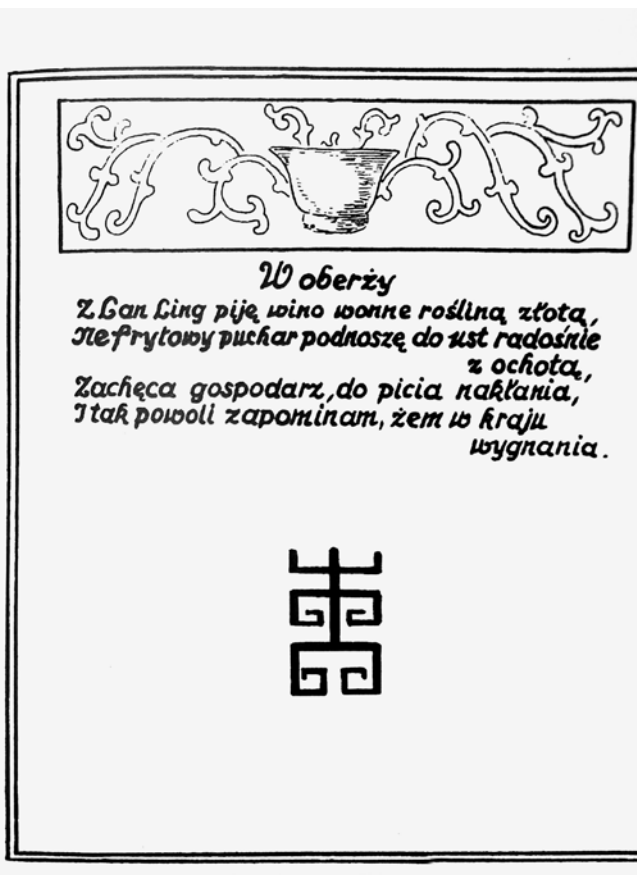
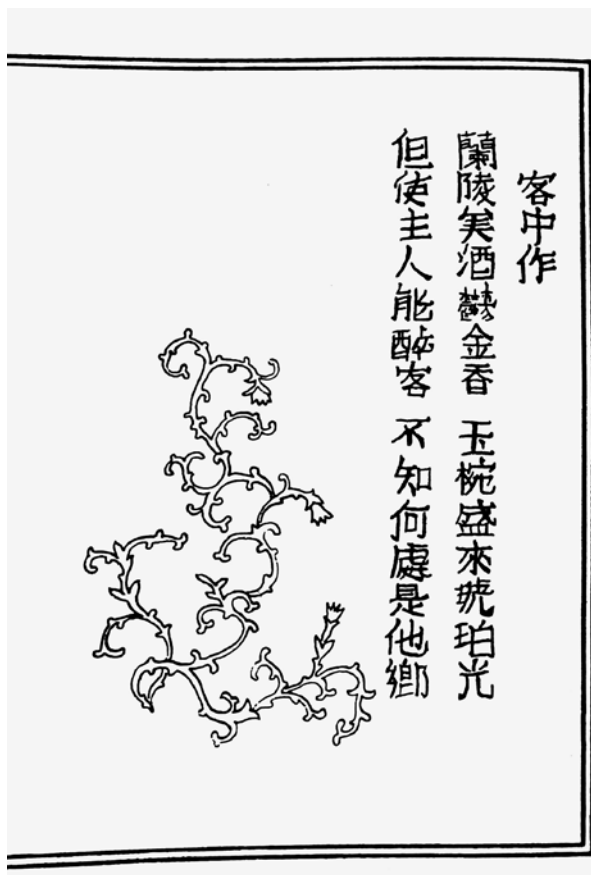
PIEŚNI O WINIE

Tłumaczył z oryginału
Jan Wypler
Ilustracje i tekst wykonał
Zgraja Franciszek



Przyjaciółom wina





Wyplera, zanotowane przez Aleksandra Widerę, kiedy ten wspomina pierwszy moment owej zaskakującej fascynacji. Mówił: „Jeszcze nigdy nie czułem się bardziej odmłodzony, jak w towarzystwie tego słownika, który mnie wprowadził w tajemnice, subtelne piękno liryki chińskiej i w prastarą mądrość wielkich chińskich myślicieli z ich jakże głębokim spokojem duchowym i rytmem duszy, bijącym równym taktem wszechświata”.

Zapewne wtedy też, przekraczając granice leksykografii, sięgnął nie tylko po współczesne opracowania polskie i niemieckie, ale też te, które wydawane były w Chinach. Stąd zapewne na biurko uczonego trafił *Całkowity zbiór dzieł poety – taoisty Li Tai Po* opublikowany w Szanghaju w 1936 roku. Wiedział już, że wybrał wiersze najwybitniejszego z poetów chińskich. Wybór ten świadczy o głębokiej erudycji badacza, który z niezliczonego grona twórców wybrał właśnie tego najwybitniejszego, który żył w latach 699–762, na dwa stulecia przed pierwszymi datami wiążącymi się z powstaniem naszego

państwa. Żył w epoce Tang (618–906), uchodzącej za okres najświetniejszy w chińskiej literaturze, słynący z rozkwitu poezji lirycznej i powstania nowej prozy. Był człowiekiem nie-

zwykłym, pochodzącym z bocznej linii dynastii cesarskiej, wykształconym, lecz mówiąc prawdę, nie miał szans na karierę dworską. Był wygnańcem, wędrownikiem – tułaczem, „wielkim piewcą wina, urody kobiecej i piękna krajobrazu”. Już za życia czczony był za swoją twórczość; a miał być autorem około 1000 wierszy. Za swoje pasje enologiczne zapłacił cenę najwyższą. Jak głosi legenda, ów „kochanek wina i księżycą”, płynąc łódką po Jangcy, smakując wino i wzdychając do księżycy, najzwyczajniej w świecie się utopił. To legenda.

Aleksander Widera twierdzi, że Jan Wypler przetłumaczył i wydał wszystkie dostępne utwory ze zbioru szanghajskiego. Ale mnie zainteresował mały, bo liczący zaledwie kilka bibułkowych kartek i specyficznie zszyty manuskrypt zatytułowany *Pieśni o winie. Tłumaczył z oryginału Jan Wypler. Ilustracje i tekst wykonał Zgraja Franciszek*. I dedykacja: „Przyjaciołom wina”. Na odwrocie zaś notka: „Literacka transkrypcja Szewczyk Wilhelm”. Te informacje odkrywają inną jeszcze cechę owych przekładów; z jednej strony troskliwość o filologiczną ścisłość i poprawność najbliższą, jak to możliwe oryginałowi, z drugiej zaś – dopełnienie jej o walor trudny do przełożenia; o poetyczność, bez której każdy wiersz zatracza to, co jest jego niezbywalnym jestwem. Tę drugą warstwę jego translacji dopełniali ślasy poeci.

Właśnie Wilhelm Szewczyk, Aleksander Baumgarten, Emanuel Imiela, Aleksander Widera. Wierność oryginałowi wraz z poetyckim poletem współtworzyły nową jakość estetyczną bliską orygina-

łowi, wzmacnianą na dodatek regułą 20, 28, 40 lub 56 wyrazów mających „wypowiedzieć treść przyciągającą uwagę czytelnika”. Jak w wierszu *W oberży*.

Z Lan Ling piję wino wonne rośliną złotą,
Nefrytowy puchar podnoszę do ust
radośnie, z ochotą,
Zachęca gospodarz, do picia nakłania,
I tak powoli zapominam, że
w kraju wygnania.

Smakując wino, przypomnijmy czasem nie tylko poetę z dalekich Chin, ale i śląskiego tłumacza, który przyszedł na świat równo sto trzydzieści lat temu. ■





Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfanteo

„...jak mi Polska zapłaciła” – aresztowanie Wojciecha Korfanteo – głosy z prasy śląskiej

KAROL MAKLES

„No i widzi pan, panie Juliuszu, jak mi Polska zapłaciła” – słowa te wypowiedzieć miał w ostatnich dniach życia na łożu szpitalnym Wojciech Korfanteo, w trakcie rozmowy z dziennikarzem „Polonii”, późniejszym pisarzem i tłumaczem – Juliuszem Żuławskim.

Przy okazji celebracji stulecia powstań śląskich wspominamy Wojciecha Korfanteo, którego traktuje się/ uważa się za symbol dążenia i powrotu Górnego Śląska do Polski. Przypominając życie i zasługi jednego z ojców niepodległości marginalizujemy, a może wypieramy wydarzenia, które wiążą się z niełatwym czasem w życiu Korfanteo, czyli z latami trzydziestymi XX wieku. Należy więc – w 90 rocznicę aresztowania dyktatora III powstania śląskiego – pochylić się nad relacjami z przebiegu tych wydarzeń oraz spróbować przyjrzeć się ich wpływowi na późniejsze kształtowanie się oceny działań władz centralnych na Górnym Śląsku.

Po nowojorskim „czarnym czwartku” 1929 roku, rozpoczynającym kolejny wielki światowy kryzys ekonomiczny, i serii destabilizujących władzę rządową działań (w tym zmieniających się błyskawicznie składach gabinetów rządowych: Kazimierza Bartla, Walerego Ślawka, po rząd na czele z Józefem Piłsudskim), sytuacja w Polsce stała się wyjątkowo napięta. Następstwem poprzednich zdarzeń były wystąpienia społeczne – demonstracja Centrolewu w 1930 roku – spostrzegane przez rządzących piłsudczyków, jako próba przygotowywania zamachu stanu. Chcąc ukrócić „działania wywrotowe”, na polecenia Józefa Piłsudskiego, po wcześniejszym rozwiązaniu 30 sierpnia Sejmu, dokonano 9 i 10 września 1930 roku aresztowania 18 byłych już posłów związanych z obozem antysanacyjnym, między innymi: Norberta Barlickiego, Stanisława Duboisa, Hermana Libermana, Adama Pragiera – PPS, a także Władysława Kiernika, Józefa Putka, Wincenego Witosa – PSL.

Zapewne taki sam los spotkałby wtedy – krytykującego obóz piłsudczyków – Korfanteo, gdyby ten nie piastował mandatu Posła Sejmu Śląskiego. Zresztą zaogniony konflikt między Wojewodą Śląskim – Michałem Grażyńskim i tak nastęrczał wiele problemów, które mogły zwiastować nadchodzące wydarzenia. Systematyczne szkalowanie dobrego imienia przywódcy powstańczego na łamach prorządowej gazety – „Polski Zachodni” jesienią 1930 roku przybrało na sile. W tym okresie, w każ-

dym prawie numerze, pojawiają się oskarżenia o: kłamstwa, defraudacje i malwersacje finansowe oraz kolaborację z Niemcami, czy zarty skierowane pod adresem Korfanteo. Kulminacją negatywnej akcji propagandowej była – opublikowana 16 września, w „Polsce Zachodniej” – rezolucja 10. walnego zjazdu delegatów zarządu Związku Powstańców Śląskich, wzywających rząd do aresztowania „największego szkodnika sprawy polskiej”. Mowa tu Korfantym, dla którego uchwała byłych powstańców, nawet pod wodzą Grażyńskiego, była trudnym do zniesienia policzkiem. Według niektórych źródeł, Korfanteo wielokrotnie ostrzegano przed zbliżającym się aresztowaniem.

Jak donosi 27 września gazeta „Polonia” – redagowana przez Korfanteo – o 8:45 do willi posła wkroczyła policja mundurowa, kryminalna i żandarmeria wojskowa, by doręczyć zatrzymanemu nakaz aresztowania (prewencyjnego). Po spakowaniu swych rzeczy Korfanteo wszedł do czekającego przed budynkiem Asto-Daimlera o nr. 139, który odjechał w stronę Warszawy. Wiadomo jednak, że celem była twierdza w Brześciu Litewskim. Przy tym interesujący jest fakt, że zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego, rozwiązujące Sejm Śląski – głównie na potrzeby aresztowania – doręczone zostało do kancelarii Sejmu Śląskiego o godzinie 10:20. Zatem aresztowanie Korfanteo przeprowadzone było z naruszeniem prawa, gdyż jako poseł Sejmu Śląskiego chroniony był immunitetem. Działania nie dotyczyły tylko osoby przywódcy powstańczego, ale także mieszkania, które zostało przeszukane, a większość dokumentacji zarekwirowana. Rewizji poddano także budynki Śląskich Zakładów Graficznych i Wydawniczych „Polonia” (redakcji czasopisma). Około 30 przedstawicieli policji śledczej zajęło się gromadzeniem oraz rekwirowaniem dokumentacji wydawnictwa, a także przeszukiwano pracowników. Przez cały czas rewizji do gmachów i biur można było wejść, nie wypuszczano jednak nikogo. Jak zwykle dalece odmienną narrację prezentowała związana z Grażyńskim „Polska Zachodnia”. W numerze z 27 września artykuł na pierwszej stronie triumfalnie ogłaszał sukces: „P. Wojciech Korfanteo nareszcie pod kluczem! Sejm Śląski rozwiązany! Największego szkodnika i warchoła w Odrodzonej Polsce dosięgła wreszcie ręka sprawiedliwości”. Ponadto opis aresztowania prezentował Korfanteo, którego zastano przy porannej toalecie, bled-

nącego i wykrzykującego. Według tychże doniesień powodem aresztowania „byłego dyktatora powstańczego” są zbrodnie kryminalne i polityczne.

Korfanteo osadzono w Brześciu. Tak jak inni więźniowie brzescy był bity, szykanowany psychicznie, głodzony. Po 3 miesiącach aresztu więzień podpadł na zdrowiu i schudł 25 kg, także kiedy był zwalniany, nie utrzymywał się samodzielnie na nogach. Finalnie, z powodu niedorzeczności oskarżeń, nie postawiono Korfantemu zarzutów i wyłączono go z procesu (został przesłuchany jako świadek). Zakończenie procesu brzeskiego nie zbliżyło relacji dyktatora powstańczego z piłsudczykami, co zmusiło Korfanteo do emigracji, ale nie zaprzestania działalności politycznej. Według części historyków zmuszenie przeciwników politycznych do wyjazdu z kraju, stanowiło główny cel procesu brzeskiego.

Aresztowanie „Wodza ludu śląskiego” słusznie wzbudziło na Górnym Śląsku wielkie poruszenie. Poza ostrą reakcją kolegów z Polskiego Stronnictwa Chrześcijańsko-Demokratycznego, na Górnym Śląsku odbyły się liczne protesty przeciwko uwięzieniu Korfanteo. Głosy za uwolnieniem płynęły z wielu stron, w tym od Ignacego Paderewskiego, który wystosował telegram do ministra sprawiedliwości z protestem przeciwko uwięzieniu byłego Komisarza Plebiscytowego.

Swym życiem, niezłomną postawą Korfanteo rysuje się jako postać jednolita, która miała jasno wyznaczony cel i sukcesywnie go realizowała. Bohaterstwa i zasług jego dla Górnego Śląska i Polski nie wymazałby zapewne nawet wyrok skazujący. Niemniej opisane wyżej zdarzenia wpisują się w utrwalony mocno na Górnym Śląsku obraz własny, swoistą tożsamość lokalną Górnoślązaków. Często obecna jest w niej kategoria osobliwa „śląskiej krzywdy”. Czy więc wypowiedając słowa zawarte w tytule („...jak mi Polska zapłaciła”) poseł ludu śląskiego świadomie wpisuje się w nią? Sądzę, że mogąc mieć jej świadomość, był ponad to, o czym świadczy symboliczny, wydrukowany 17 sierpnia w „Polonii” testament Wojciecha Korfanteo:

„Wypowiadam gorącą prośbę do ludu śląskiego, by pozostał wierny zasadom chrześcijańskim i swemu przywiązaniu do Polski, by nie ustawał w pracy i poświęceniu, aby z Polski zrobić taką Polskę, jaka jest godna naszych marzeń, Polskę wielką, mocarstwową, Polskę katolicką, praworządną, zawsze sprawiedliwą.”

Wszyscy wiemy, jak trudno zorganizować w warunkach epidemicznych jakikolwiek koncert czy spektakl. Ogromnym wyzwaniem stało się przygotowywanie premier i nader skomplikowane jest realizowanie festiwali muzycznych, a jednak niektóre z nich udało się uratować.

Po wielu latach udałem się do Ciechocinka, który bardzo wypiękniał. Są tu zadbane parki z dywanami kwiatowymi i fontannami, które robią ogromne wrażenie. Przyjechałem na zaproszenie sławnego tenora Dariusza Stachury, od roku dyrektora Teatru Wielkiego w Łodzi, a od 16 lat dyrektora Wielkiej Gali Tenorów. Zwykle festiwal ten odbywa się w lipcu, a tym razem został przeniesiony na drugą połowę sierpnia. Udało się to w dużej mierze dzięki pomocy burmistrza Ciechocinka Leszka Dzierżewicza, który jest prawdziwym melomanem, miłośnikiem muzyki poważnej. Znalazło się tu miejsce na promocję wybitnie uzdolnionych młodych artystów: Macieja Falkiewicza, Jakuba Szmidta, Łukasza Jakubczaka, Davida Roja, Bartosza Nowaka oraz Maksymiliana Skiby. Gwiazdami wieczoru byli Olga Maroszek oraz Mateusz Stachura (syn Dariusza), który jest barytonem, występującym na scenach teatrów muzycznych i operowych. Artystom towarzyszyła Orkiestra Salonowa im. Jana Kiepury z Łodzi.

Drugiego dnia festiwalu uczestniczyłem w koncercie „Wszystko o miłości”. Przez cały dzień padał deszcz i nagle ustał 10 minut przed rozpoczęciem gali o 20.00. Z panią impresario Barbarą Kaczmarkiewicz, która organizowała występy Bogusława Kaczyńskiego w Warszawie i Łodzi, zajęliśmy honorowe miejsca przed Muszlą Koncercową, a dyrektor Dariusz Stachura zapowiedział ze sceny, że za rok zrobimy razem z Fundacją ORFEO specjalną galę pamięci Bogusława Kaczyńskiego, który był jednym z największych popularyzatorów opery w Polsce. Soliści, którzy wystąpili podczas gali, są związani z Teatrem Wielkim w Łodzi: Krzysztof Marciniak, Dominik Sutowicz, Paweł Skaluba i oczywiście Dariusz Stachura, o którym Luciano Pavarotti powiedział: „Grande tenore polacco”. Świetnie zaprezentował się także Łukasz Ratajczak, syn znakomitego śpiewaka Janusza, który był gwiazdą Opery Nova w Bydgoszczy i Gliwickiego Teatru Muzycznego i jest profesorem w Akademii Muzycznej w Łodzi. Łukasz uczył się śpiewu u ojca, ma piękny tenorowy głos, urodę sceniczną, delikatność i urok. Występuje w operach i operetkach, między innymi na scenach Krakowa i Poznania. Wszyscy tenorzy zaprezentowali swój profesjonalizm i temperament sceniczny. Wielkie wrażenie zrobiły również występy młodych sopranistek z Teatru Wielkiego w Łodzi – Hanny Okońskiej i Aleksandry Wiwały, które oprócz pięknego głosu czarowały swoim wdziękiem i wyjątkową urodą. Wyjechałem z Ciechocinka przekonany, że przynajmniej raz w roku muszę tu powracać.

Byłem również zaproszony na Ostrołęckie Operalia przez dyrektora artystycznego Jakuba Milewskiego, który jest barytonem opero-



Dariusz Stachura w Salonie Bogusława Kaczyńskiego

fol. Krzysztof Korwin-Piotrowski

Odmrażanie festiwali muzycznych

KRYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

wym, a na co dzień pracuje jako kierownik artystyczny Mazowieckiego Teatru Muzycznego im. Jana Kiepury w Warszawie. W Ostrołęce, położonej na malowniczych Kurpiach, prezydent Łukasz Kulik również rozumie potrzebę prezentowania wysokiej kultury. Jakub Milewski realizuje tę misję już od pięciu lat, a nawet wcześniej, ponieważ już jako kilkunastoletni chłopak stworzył tu Młodzieżową Orkiestrę Kameralną. Dyryguje i komponuje kantaty, a ma zaledwie 27 lat! Podczas tegorocznego festiwalu wystąpili tak wspaniali artyści, jak: kompozytor i dyrygent Krzesimir Dębski, śpiewaczka operetkowa i musicalowa Anna Lasota, śpiewający aktor Kacper Kuszewski, aktorka Teresa Lipowska, tenorzy Bogusław Morka i Jakub Oczkowski oraz gwiazda Opery Krakowskiej Iwona Socha, absolwentka Szkoły Muzycznej w Gliwicach i Akademii Muzycznej w Katowicach. Zabrzmiała muzyka filmowa, były arie operetkowe, hity musicalowe i lubiane piosenki. Na finał zaprezentowano bardzo urozmaicony program „Zakochani w operetce” – widowisko jubileuszowe Mazowieckiego Teatru Muzycznego im. Jana Kiepury w reżyserii Łukasza Lecha. Publiczność tłumnie przybywała na wszystkie koncerty. Kiedy przyjechałem na jeden z nich, byłem świadkiem próby staranowania drzwi, aby więcej osób dostało się do środka, co w warunkach pandemii jest oczywiście niemożliwe.

Koncert „Nie kochać w taką noc...” został przeniesiony ze sceny plenerowej do sali Centrum Kultury z powodu nawałnicy, jaka przetoczyła się wieczorem nad wieloma miastami Mazowsza. Wspaniale zagrał zespół Strauss Ensemble pod dyrekcją bardzo dobrego pianisty Artura Jaronia. Dobraną parę stworzyli sopranistka i aktorka z Wrocławia Justyna Sławiec-Korzeń oraz Jakub Milewski, a Kacper Kuszewski wzbogacił program operetkowy o lubiane piosenki. Myślę, że w obecnych czasach już nikogo nie dziwi łączenie podczas jednego wieczoru muzyki z różnych gatunków. Najważniejsze, że program był atrakcyjny i pojawił się czas także na popisy instrumentalne. Zachwyliła mnie szczególnie Ludmiła Worobec-Witek, znakomita skrzypaczka pochodząca z Ukrainy, związana z Filharmonią Świętokrzyską.

Za miesiąc napiszę m.in. o XXVI Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym im. Krystyny Jamroz w Busku-Zdroju oraz o Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej, który odbywa się w ostatni weekend września.



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego

Przekład *Don Juana* Byrona. Poeta – tłumacz – komentator

JERZY PASZEK

Lord George Gordon Byron miał lat 36, gdy – nie ukończywszy swego najśłynniejszego dzieła – zmarł w Grecji w 1824 roku. Jego polski tłumacz, Edward Porębowicz, w wieku 23 lat opublikował przekład 16 pieśni *Don Juana* (1885); dodam, iż już 3 lata wcześniej ukazały się próbki tej translacji („Przegląd Literacki i Artystyczny” 1882, nr 4–7), które dostrzegł hrabia Stanisław Tarnowski, oceniając je w dzienniku „Czas” (1883, nr 180, 183, 184). W roku śmierci Stalina – 1953–43-letni Juliusz Żuławski napisał komentarze do tekstu tego satyrycznego poematu, przedrukowane w wydaniach z lat późniejszych (1954, 1955, 1959, 1986). Dywagacje polskiego marksistowskiego krytyka (bo nie była to praca tekstologa, komparatysty ani historyka literatury!) tak mocno były podlane socrealistycznym sosem, iż lord-bojownik o prawa proletariatu oraz o wyzwolenie ludów spod obcej okupacji mógł być nagradzany wznowieniami w PRL-owskiej rzeczywistości. Zamiast autentycznej dedykacji (drukowanych później 17 oktaw, skierowanych do Roberta Southeya) polska edycja ma motto wyrwane z „Pieśni ósmej” *Don Juana* ([G.G.] Byron, *Don Juan*, przeł. E. Porębowicz, Warszawa 1959, s. 17; cytując tę edycję, używam skrótu DJ):

...ja nauczę głązy,
Jak mają walczyć przeciwko tyranom.
Niech świat wie, czyśmy nie mieli odrazy
Do tronów; tę pieśń przyszlęm ziemi panom
Przekażę; niech się dowiedzą, co przebył
Ten nasz glob, kiedy jeszcze wolny nie był.
(DJ 319)

Głośny poemat Byrona był oczywiście czytany przez polskich romantyków. Myślę, że najlepszym uczniem Anglika okazał się Juliusz Słowacki: niewątpliwy jest bowiem wpływ oktaw *Don Juana* na tak samo dygresyjny tok, a także na tak samo ostry język (walka ze złośliwą emigracyjną krytyką literacką) oktaw *Beniowskiego* – utwór polskiego wieszczka ma co najmniej 14 pieśni i tak samo, jak 16-częściowy tekst poprzednika, nie został zakończony. Stefan Treugutt w książce „*Beniowski*”. *Kryzys indywidualizmu romantycznego* (Warszawa 1964, s. 12) trafnie zauważył, iż „subiektywna oryginalność w *Beniowskim* nawiązuje do stroficznej budowy *Don Juana* [...] Premedytacja w nawiązaniu do wzoru skacze w oczy”. Sam narrator polskiego romansu przygód wyznaje: „jestem dzisiaj – niech cię [Melancholio] porwie trzysta! – / Nie Polak – ale istny bajronista...” (J. Słowacki, *Beniowski. Poemat z roku 1841 i dalsze pieśni*, nowe wydanie krytyczne, oprac. J. Brzozowski i Z. Przychodniak, Poznań 2014, s. 10; cytując tę edycję, używam skrótu JS).

Słowacki, posługując się mistrzowsko strofą 8-wersową, przewyższa Byrona w sztuce rymowania! U Anglika za dużo mamy „rymów dla oka” i perseweraacji tych samych lub podobnych współdźwięczności. Przykładowo: zakończenia linijek w pierwszej oktawie zawierają słowa „new one, true one, Don Juan” (cytuję edycję z 1837 roku: The Project Gutenberg EBook of Don Juan, by Lord Byron), które powtórzono już w szóstej

strofie („new one, Don Juan”) i pod koniec I canta: „little Juan, true one, new one” oraz „Juan, true one, new one”! Ta kombinacja rymów „Pieśni pierwszej” jest kontynuowana w innych segmentach utworu: m.in. w „Canto the second” („Juan, drew one, new one”). Byron błyszczy odwagą w zbliżaniu słów rodzimych z obcymi nazwami czy nazwiskami: „Guadalquivir + river” (co się powtórzy w „Pieśni drugiej”), „fine as + Donna Inez”, „surpass her + Macassar” [nazwa olejku do pielęgnowania włosów], „Cupid + stupid”, „ladies + from Cadiz” (wszystkie przykłady z „Pieśni pierwszej”). W innych cantach można podziwiać takie słowne zderzenia, jak: „volley + Venetian Fazzioli”, „Salamanca + Sancho Panca”, „Bacchus + attack us”, „the rest avail us + Sardanapalus” (p. II); „Ulysses + kisses + young misses”, „Sultan and the Pacha + Crashaw”, „a loss to + Ariosto” (p. III); „hill, is + Achilles + still, is” (p. IV) itd.

Słowacki, ośmielony przez poprzednika, także folguje sobie w zestrzajaniu i powiązaniu polskiej warstwy brzmieniowej z obcymi wyrazami i akcentami: „addio! + zabiją + szyją” (JS 6), „na świecie źle tym + jak Werter w Götym” (JS 25), „Per Bacco! + tabaką + odę taką” (JS 35), „Romeo + Kasyjopeą + J.B.O.” [J.B. Ostrowski] (JS 52), „Andromed + komet + Mahomet” (JS 70), „szafę + auto-da-fe + żyrafę” (JS 96), „Apokalipsie + syp się!” (JS 252), „rendez-vous + drzewu + gniewu” (JS 294). Bodaj raz tylko w całym *Beniowskim* brakuje w rymie jednej sylaby, ale słowo nie zostało przeniesione do następnego wersu: „Krym rzucił + zasmucał + daje, niechaj ucał...” (JS 323), choć zapowiadana czynność opisana jest w dalszym ciągu tekstu: „Zamiast sylaby... ustami go w usta / Cmoknął, że jętko tak jak becicka pusta” (JS 324). Piszę o tym dlatego, że Porębowicz będzie tu odważniejszy, gdyż kilkakrotnie podzieli słowa, by uzyskać oryginalny i zgodny ze stylistyką satyry nieoczekiwany rym. Oto cała oktawa z „Pieśni szesnastej” (DJ 493; podkr. J.P.):

Obok strojenia się jest rozbieranie
Największą w świecie męką; wtedy **na nas**
Szlafrok koszulą Nessusa [Nessosa] się stanie,
A myśli żółkną – lecz nie jak **ananas**.
Tytus powtarzał: „Dzień straciłem.” **A nie-**
Małom ciekawy, ja, com pił jak z **dzbana z**
Pucharu, co mi dniem i nocą tryskał.
Ileś dni ty sam w ciągu życia zyskał?

W oryginale wcale nie ma żółtego ananasa, lecz „amber”, czyli bursztyń, co wszystkim wiadomo z okazji afery spółki „Amber Gold”. Tekst w dawnej pisowni angielskiej brzmi:

But next to dressing for a rout or ball,
Undressing is a woe: our robe de chambre
May sit like that of Nessus, and recall
Thoughts quite as yellow, but less clear than amber.
Titus exclaim'd, „I've lost a day!” Of all
The nights and days most people can remember
(I have had of both, some not to be disdain'd),
I wish they'd state how many they have gain'd.

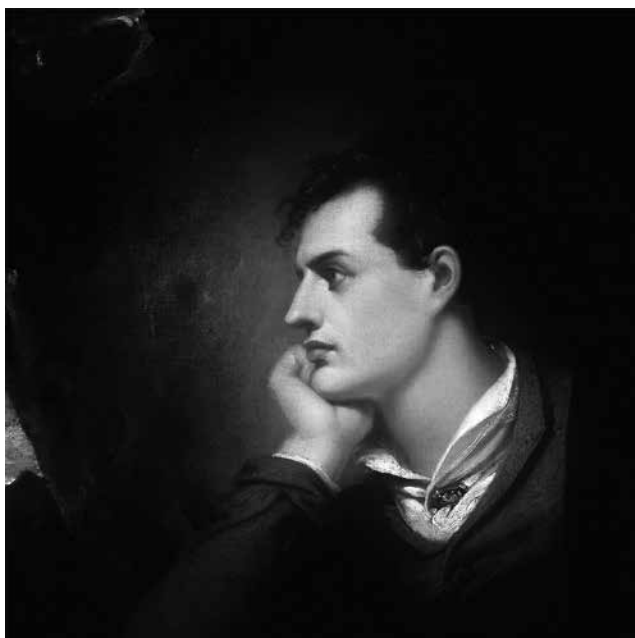
Takich tricków i sztuczek trzeba się imać, by przetłumaczyć na język polski oktawy skonstruowane po angielsku; nie muszę chyba dodawać, iż każda próba dosłownego przeniesienia struktury poetyckiej Byrona do obcych uwarunkowań kulturalnych skazana jest na niepowodzenie: przyczyna leży w kłopotliwej materii utworu (realia epoki i Europy w czasach pisania tego dzieła), jak i w wersyfikacji (Słowacki przecież skarżył się na brak rymów i nawet uciekał się do pomocy „niegramatycznościów”, JS 52). Stąd Porębowicz, zbrojny w zapal młodoci (i lekturę poezji drugiego wieszacza!), odważnie – przypomina, iż podjął się roboty przekładowej w wieku 20 lat, a ukończył ją w 23 roku życia, czyli w dzisiejszych czasach: w okresie pisania magisterium! – poczynał sobie z rymami angielskiego arcydzieła (nb. bardziej cenionego u nas niż u nich!). Co prawda w inicjalnej oktawie nie umieścił Juana w pozycji rymowej (jak to robi Byron), ale już w trzeciej pokazuje swój lwi pazur:

Mirabeau, Barnave, Condorcet i **Brissot**,
Lafayette, Petion, Klotz, Danton i **Marat**,
A po nich Joubert, Hoche, Marceau – patrz, **ci są**
Bohaterami; śród wojennych **narad**
Lannes, Moreau, Dessaix za działań **kulisą**
Regulowali zwycięski **aparət**.
Každy z nich w porze swojej był olbrzymem,
Ale nie krzeczy tu ich sławić rymem.
(DJ 19)

Porębowicz zadziwia nas odważnymi, oryginalnymi i nieoczekiwanymi skojarzeniami fantazji i wyrazów. Wyliczam kilka fragmentów, bo warto o nich pamiętać: „Móglbym urobić poemat **nie brzydszy**; / Miała [Julia] wdzięk, męża, lat dwadzieścia i **trzy**” (DJ 34); „Jeszcze [Julia] wzdragała się, jeszcze siliła / I **nie pozwolę** szepać – **pozwoliła**” (DJ 49; Berent cytuje tę pointę w powieści pt. *Próchno*); „**Lubię** przy ogniu sieść, gdy pracy zbęde, / **Lubię** ostrzygi, szampan i gawędę” (DJ 53; anafora „lubię” podjął w erotykach Tetmajer, a może i Mickiewicz w balladzie *To lubię*); rymy „posse comitatus [doradca prawny] + na kształt gratu z [Izby wypchnęła] + hiatus [rozdźwięk]” (DJ 61); piękna aliteracja w dwuwiersie „Słów Rogersowi nie kradnij spod pióra / I nie romansuj z Muzą IMci Moora” (DJ 71); „Tak tedy, siadłszy na okręt, **zaczynasz** / Wierzyć, że robi się z ciebie – **marynarz**” (DJ 79); „Możnaż leż nie łać, gdy się swoich **zegna**?... / – Chyba je z oczu srozsza boleść **zegna**” (DJ 79); rymy „artykuł + wykuł + wehikuł” (DJ 105); „Jedz, pij, miłości jasne ognie **zapal!** / Tak mawiał mędrzec a król: **Sardanapal**” (DJ 127); czyż to nie lepszy rym niż „the rest avail us + Sardanapalus”?

W dalszych pieśniach (od III do XVI) też nie brak oryginalnych rymów i aforystycznych powiedzonek. Niechaj będzie mi wolno a z wolna delektować się następującymi z nich: triada „suknie + spłuknie + nóg nie” (DJ 216); „Jego Wielkość miał już w dniu zaślubin / Lat coś sześćdziesiąt i tysiąc konkubin” (DJ 235; o sułtanie); „Najlepsza rada więc dla serc – nie **chybi** – z / Wiersza: **Medio tu tutissimus ibis**” (DJ 237; najpewniej przejdiesz środkiem, Owidiusza *Metamorfozy*, ks. II); rymy „spiz + śpiz + spis” (DJ 247); „Tu [w Londynie] krzyżeć może lud ani go zgłusza / Zgrzyt torturowanych kół świętej **Hermanad**, / Tu bunt wywołać zdoła lada **mandat**” (DJ 368); neologizmy w ujęciach „Nie ma podatku – mówisz – z **głodomarcia?** / Większa zasługa więc **samozaparcia**” (DJ 390) i „Bo mię też na nic taka złość nie bierze, / Jak na trociny z plotkarskiego **tracza**, / Co są ludzkiego karmią **odżuwacza**” (DJ 399); „Choć ży wy-ciska, rzekł ktoś – śmierć **matula!** / Pół życia prześpi człowiek – nie **przehula**” (DJ 440; cytaty z ks. Baki).

Najważniejszą pracą translatorską Porębowicza była oczywiście ta, poświęcona *Boskiej Komedi*, nad którą trudził się od 1894 do 1909, a nawet do 1922 roku (cytuję edycję z serii „Biblioteka Poezji i Prozy”: Dante Alighieri, *Boska Komedia*, przeł. E. Porębowicz, Warszawa 1959, s. 21). Myślę, że był wtedy już zahartowany w wyszukiwaniu triad rymowych, charakterystycznych dla rytmiki tercyn Dantego (ababcdbc), bo wszak



George Gordon Byron

w oktawach Byrona mamy po dwie triady i jeden dystych. Oto słynny incipit arcydzieła włoskiego wieszacza:

W życia wędrowce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemyłej **drogi**,
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Jak ciężko słowem opisać ten **srogi**
Bór, owe stromych puszczy pustynne d z i c z e,
Co mię dziś jeszcze nabawiają **trwogi**.

Gorzko – śmierć chyba większe zna g o r y c z e;
Lecz dla korzyści, dobytch z przeprawy,
Opowiem lasu rzeczy t a j e m n i c z e.

Lektura tłumaczenia *Don Juana* przyniosła mi jeszcze jedną nieoczekiwaną niespodziankę. Oto w „Pieśni trzynastej” mamy alegoryczny obraz życia ludzkiego:

Towarzystwo jest szachownicą; **damy**
Są tam, królowie, szlachta, chłopki, wieże,
A świat gra; **lalki** owe skaczą samy
„Punch” często żartem na fundusz je bierze
(DJ 434)

„Lalki” są tłumaczeniem „puppets”, ale w innym miejscu widzimy „lalki” jako „lątki”, choć u Byrona ich brak: w opisie dwu przyjaciółek użył tłumacz słów staroświeckich „Skaczą jak **lątki** na nitkach wiszące” (DJ 454, koniec p. XIV). Przypuszczam, iż Prusowi, piszącemu podówczas swą powieść (wyszła w 3 tomach w roku 1890), mogło zapaść w pamięci to zrównanie damy i lalki ze staropolską **lątką**! A wtedy miałbym potwierdzenie tezy z eseju *Blask „Lalki”* (zob. moją książkę pt. *Blask arcydzieł*, Katowice 2020, s. 127) o tym, iż u genezy nazwiska bohaterki Izabeli Łękiej stoi hiszpański Don Juan (po polsku kalambur: Juan donn!), opisywany przez Lorda Byrona po angielsku, a przetransponowany do polszczyzny przez studenta filozofii oraz neofilologii – Edwarda Porębowicza. A co zrobić z nadgorliwym komentatorem z epoki socrealizmu? Trzeba wyłuskać z jego objaśnień (na prawie 100 stronicach) to, co rzetelne i zgodne z wiedzą na Zachodzie Europy, a pomijając szerokim łukiem wszystko to, co skażone zostało marnym czasem i serwilizmem. A w ogóle, to przydałby się tu tom „Biblioteki Narodowej” z nowymi komentarzami, bo wiedza o Byronie rozrasta się ogromnie (czasopiśma, internetowe seminaria).

Krew z krwi

KSIAŻKI

JUSTYNA SZLACHTA-IGNATOWICZ

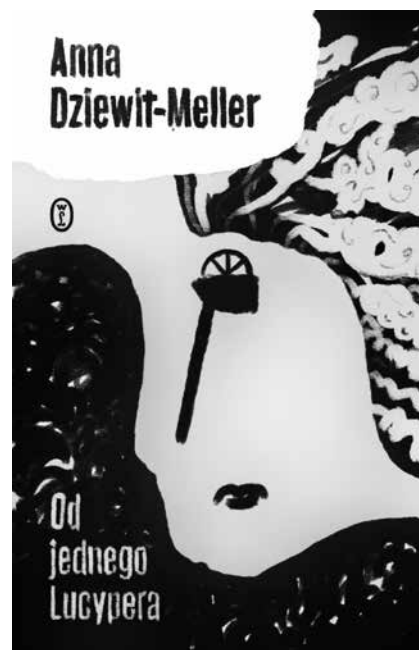
Najnowsza książka Anny Dziewit-Meller *Od jednego Lucypera* dotyka zagadnienia znanego, często poruszanego, ale tutaj opowiedzianego z zupełnie innej perspektywy. To opowieść o dwóch kobietach, z dwóch różnych epok. Katarzyna, introwertyczna młoda naukowiec, pracująca nad habilitacją, mieszkająca w Hądze, mająca typowe współczesne problemy zdrowotne. Oraz Marijka, postawna Ślązaczka, pracująca na Śląsku „przy taśmociągu w zakładach azotowych” w czasach PRL. Dwie różne historie, połączone ze sobą nicią przekazywanej krwi. Łączy je nie tylko owa krew, ale przede wszystkim miejsce pochodzenia – Górny Śląsk. Cała opowieść krąży wokół Śląska, czy to realnie, gdy wspomina się konkretne miejsca zamieszkania, czy też mentalnie, poprzez wspomnienia, nawiązania do przeszłości. Zresztą tytuł a przed wszystkim okładka utwierdzają w przekonaniu, że czytelnik ma do czynienia z książką śląską czy też, jak stwierdzą to inni, o Śląsku.

Katarzyna zobaczyła Marijkę pierwszy raz na fotografii, którą znalazła, myszkując (sznupując) w rzeczach Babci Miejskowej. Ta skrywana tajemnica stała się jej obsesją, chciała się dowiedzieć, kim jest owa młoda kobieta z komunijnego zdjęcia babci. Książka staje się wspomnieniową podróżą w przeszłość rodziny, namysłem nad niedopowiedzeniami owianymi skrętnie skrywaną tajemnicą.

Młoda naukowiec poszukuje informacji na temat tajemniczej kobiety, która wizerunkowo przypomina jej matkę, jednocześnie rozmyślając o swych (górnos Śląskich) korzeniach. Prezentowana rodzina nie jest stereotypową tradycyjną wielopokoleniową śląską rodziną. To przeciętna rodzina, której członków łączy mocniej pamięć o osobach już zmarłych, niż pielęgnowanie relacji z żyjącymi. To rodzina z problemami, z tajemnicami, o których lepiej nie wspominać, aby nie wskrzesić uspiętego demona. Katarzyna odsunęła się od swych śląskich krewnych, nie mogąc znaleźć z nimi wspólnego języka. Wymowną sceną stają się wydarzenia rozgrywane się na cmentarzu, gdy ciotka Agata zarzuca bohaterce zaniedbywanie porządkowania rodzinnego grobowca. Katarzyna odpiera atak: „Weźcie go sobie, ten grób, zajmijcie się nim po swojemu (...)” (27). Dla młodej naukowiec zmarli stali się tylko wspomnieniem, które owszem, warto pielęgnować, ale w pamięci, nie popadając przy tym w przesadne, często jałowe, akcentowanie tego na zewnątrz, czym może być coroczne historyczne sprzątanie grobów przed Świętami Zmarłych. Dla wielu osób czysty pomnik, zadbane groby jest ważniejszy niż zachowanie o przodku wspomnień, podtrzymywa-

nie jego obecności w pamięci. A przecież osoby zmarłe żyją tak długo, jak długo się o nich pamięta. Kurhan może przetrwać, ale może też ulec pod wpływem czasu i zapomnienia unicestwieniu, a wspomnienia, przekazywane dalszym pokoleniom, pozostaną. Jako anegdoty czy ciekawe opowieści przy corocznych spotkaniach rodzinnych. Po śmierci Babci Miejskowej, Haliny Solik, w Katarzynie coś pęka, młoda kobieta podejmuje walkę o przywrócenie pamięci swej ciotki Marijki. „By osiągnąć ten cel, rozpętała prawdziwe piekło, domagając się pomocy od nad wyraz patriotycznie nastawionych antykomunistycznych władz kraju. Była jak cholerna Antygona” (296). Dopięła swego celu, zorganizowała Marijce symboliczny pogrzeb, młoda kobieta odnalazła miejsce wiecznego spoczynku. Specyficznym dodatkiem są cytaty z dokumentów zgromadzonych w IPN, które mają nie tylko charakter poznawczy, ale przede wszystkim zmuszają do zastanowienia, zadumy (niektórym mogą raczej wzbudzać wspomnienia) nad sytuacją robotników w czasach PRL. Informatorzy, donosy, wiara w Polskę Ludową, przodownicy pracy – tak wyglądała rzeczywistość tamtych czasów.

Jest to książka na wskroś feministyczna. Omawia przede wszystkim tematy stricte kobiece, spóźniające się menstruacje, choroby związane z układem rozrodczym kobiet, upokarzające porody, niekonieczne chciane ciężce. Tematy uważane często za tabu, nie dyskutowane w większym gronie, przekazywane szeptem pomiędzy kobietami, aby nie dostały się przypadkiem do ucha ignorantów mężczyzn. Głównym wątkiem staje się menstruacja, spóźniająca się krew menstruacyjna, która może wpłynąć do zwolnienia kobiety w fabryce. Młoda Marijka nie obawia się reakcji swego lubego, lecz bardziej boi się o swą posadę. Gdy poprzez splot wielu wydarzeń zostaje zatrzymana a potem pobita podczas przesłuchania, jej pierwszą myślą jest pytanie, skąd ktoś wiedział, że ona zaczęła krwawić. Pytanie, dlaczego ją zatrzymano pojawia się dopiero później. Pierwszą myślą staje się wstydliva „babska przypadłość”, tak silnie skrywana przed innymi. A to przecież zwykła kobieca natura, która umożliwia podtrzymanie trwania gatunku ludzkiego. Gorzka staje się refleksja dotycząca kobiecego krwawienia: „Mężczyzna krwawi wyłącznie, gdy swoją krew za coś przelewa, krwawi więc dynamicznie, aktywnie, trzeba mu przedziurawić powłokę, by jej nieco utoczyć. Za ojczyznę, za matkę, za ojcowiznę, za wódkę może rozdziera swe ciało, rozrywa żyły i dopiero wtedy jest krew. Krew czysta i szlachetna. Krew z aktu, zu-



pełnie inna niż ta, która przez pięć dni wpływa z kobiety, bo ta jest bierna, skażona, śmierdząca, brudna, pełna skrzepów czarnych jak diobelski pomiot, co się nie może narodzić. To krew zmarnowanych szans na nowe życie. Obumarłe komórki, endometrium, co się złuszcza – jesień, koniec, schyłek, szlus” (43–44). Owej krwi, tematu menstruacji brakuje przy postaci Katarzyny. Odnosi się wrażenie, że menstruacja dotyczy tylko Marijki, a młoda naukowiec stoi poza jej obszarem, jakby następne lata (po PRL) wyeliminowały menstruację z życia kobiet. A przecież dotyczy każdej zdrowej kobiety, zarówno wczoraj, dziś, dotychczas też będzie i jutro.

Tematem typowo kobiecym, niezwykle trudnym, jest poród, a szczególnie ten z czasów PRL. Przymusowe całkowite oddanie się kobiet w ręce medyków, którzy najczęściej traktowali je jako towar, stanowiło niezwykle traumę dla świeżo upieczonych matek. Błędy lekarskie, upokorzenia przy wykonywaniu badań, brak empatii ze strony personelu – to wszystko wpływało na to, że poród, już sam w sobie stresujący stawał się traumatycznym przeżyciem. Jest to temat niezwykle ważny, można rzec, uniwersalny, podejmowany również we współczesnych czasach, gdy co jakiś czas w Polsce rozgrzewa dyskusja o opiece okołoporodowej.

Najnowsza książka Anny Dziewit-Meller, książka o Śląsku, w wielu miejscach po śląsku, to utwór o więzach krwi, o relacjach rodzinnych, które szczególnie w czasach współczesnych są wystawione na próbę, to tekst przede wszystkim o uniwersalnych problemach dotyczących kobiet. Książka o kobietach nie tylko dla kobiet. ■

Anny Dziewit-Meller, *Od jednego Lucypera*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, 304 s.

Opowiadane trenami

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

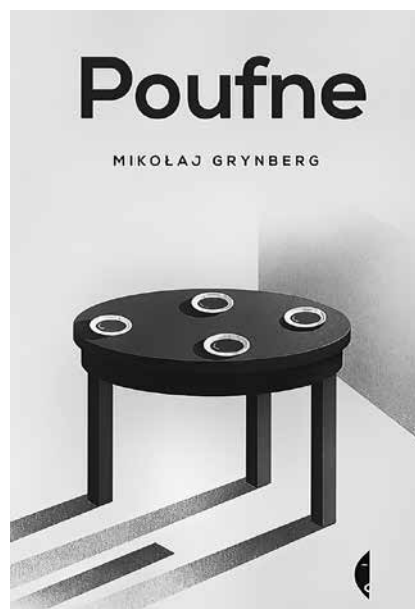
Trudno oprzeć się wrażeniu, że idiom Mikołaja Grynberga, zaprezentowany w najnowszej książce, wiele zawdzięcza piarstwu Magdaleny Tulli i Hanny Krall. Zarówno autorka *Włoskich szpilek* i *Szumu*, jak i mistrzyni reportażu, mająca na koncie wiele sukcesów literackich i niekwestionowanych arcydzieł (m.in. *Hipnozę*, *Wyjątkowo długą linię*, *Różowe strusie pióra* i *Białą Marię*), przyzwyczyły publiczność literacką do chłodnego, krystalicznego stylu, który w konfrontacji z tematem Zagłady, przypominał idiom świadectw, wypowiedzianych w sposób uporządkowany, klarowny. Oczywiście to nie cała prawda o piarstwie Krall i Tulli. Bezsądne byłoby twierdzenie o całkowitym chłodzie ich prozy, skoro krytycy i badacze chętnie lokują twórczość autorki *Skazy* w polu studiów afektywnych, a nazwisko Krall stało się zarówno synonimem wirtuozerii formalnej, jak i gier autobiograficznych, jakie autorka prowadzi niemal od samego początku, czyli wydania *Zdążyć przed Panem Bogiem*.

Język stanowi w ich piarstwie rodzaj kamuflażu, zasłony dla opisywanych doświadczeń. Zarówno Tulli, jak i Krall, uwikłane biograficznie w Zagładę (pierwsza jest przedstawicielką drugiego pokolenia po Holokauście, druga ocalałym dzieckiem), ustanowiły nowy sposób pisania o niej: pierwsza sięgnęła po metonimię, druga natomiast rekonstruowała biografie bohaterów na podstawie szczątkowych informacji, domysłów. Krall, śledząca losy pojedynczych przedmiotów, miejsc i osób, szczególnie często podejmuje kwestie związane z koniecznością uproszczenia stylu i wypracowania rzeczowego i klarownego języka do opisu tego, co wymyka się słowom. Jeśli więc uznać Grynberga za kontynuatora wyznaczonej poetyki, to bez wątplenia należy mu się uznanie za powściągliwość i wybór dobrze osłuchanego i przetestowanego języka, który wydaje się przezroczysty, skrojony na miarę komunikacyjnych potrzeb bohaterów zbioru.

Być może zasadne byłoby wytknięcie autorowi *Rejwachu* bluzkowatości, jednak nie zawsze wartość książek o Zagładzie zdeponowana jest w awangardowym idiomie i innowacyjnych rozwiązaniach formalnych. Repetycja nie umniejsza talentu Grynberga do snucia kameralnych opowieści, w których tle zawsze pozostaje Zagłada. Sam tytuł akcentuje to, co ukrywane, jednak nie ze względu na niechlebność zatajanych faktów. Taka strategia wiązała się z koniecznością konsolidacji członków rodziny w obliczu wstydu za coś nagannego. Jednak w przypadku *Poufnego* tym, co spaja rodzinę i poszczególne

historie, jest żydowskość. Wyswabianie się z tego, co dotąd ciążyło (niczym zmienione podczas okupacji nazwisko równoznaczne z ukrywanym pochodzeniem) odbywa się w formie przeblysków, nagłych olśnień, które w pierwszej chwili mogą jawić się jako uroczyste anegdoty. Ze względu na pojawiające się w *Poufnym* wątki wojenne wszelkie frazy dekonspirujące żydowskość lub aluzyjnie odnoszące się do sytuacji pogromowych działają na zasadzie metonimii, która pozwala komunikować to, co poufne, w zakamuflowanej formie. Frazy „wyjście Żydów z Egiptu” (s. 38), „obiło mi się o uszy kilka historii o sąsiadach” (s. 69), „Urodził się w kwietniu, a w listopadzie byli już w getcie” (s. 51), „Kulturysta z Dachau podniósł cegłę i się zmachał” (s. 12) wypowiedziane w specyficznych momentach naprowadzają na właściwy tor opowieści Grynberga. Bohaterowie żyją Zagładą, jednak nie manifestują swoich przeżyć, częściej stają się zakładnikami objawów związanych ze stresem pourazowym (nieuzasadnione wybuchy nerwowości na myśl o spóźnieniu jednego z członków rodziny na spotkanie, co miałyby świadczyć o wypadku, awersja do podróży do Niemiec). Wszystko to sprawia, że wojna nie jest czasem jednoznacznie zamkniętym i rozliczonym. Liczą się drgnięcia, drobne gesty i nieredukowalna obcość między członkami żydowskiej rodziny a innymi ludźmi, której ci ostatni nie mogą zrozumieć.

W *Poufnym* obok tematu Zagłady pojawiają się także inne, dlatego próba redukcji zbioru do jednej prawdy na temat wojny i jej następstw nie mogłaby się powieść, nawet mając na uwadze przynależność zbioru do grupy tekstów autorstwa pisarzy drugiego i trzeciego pokolenia po Zagładzie (m.in. Tulli, Ewy Kuryluk i Agaty Tuszyńskiej). Częściej Zagłada towarzyszy innym tematom: powolnemu umieraniu najbliższych, chorobom, utracie, które powodują, że konieczne są zmiany: „Gdy w rodzinie ktoś umiera, trzeba się przetasować, a tak naprawdę trzeba być przygotowanym na zmiany. Stratę trzeba czymś wypełnić. Najpierw żałobą, później próbą powrotu do życia” (s. 81). Można zaryzykować twierdzenie, że w *Poufnym* opowiadanie o życiu odbywa się na przekór śmierci, dlatego zbiór połączony został klamrą, która akcentuje nie tylko miłość, lecz również permanentny strach o kolejnego członka rodziny. Najważniejsze sprawy w *Poufnym* załatwiane są mimochodem, lecz to nie znaczy, że zajmują marginalne miejsce, przeciwnie: często to puenty stanowią *clou* opowieści: „Żeby zajmować się dzieckiem, trzeba mieć



choć drobinę odpowiedzialności – powiedział syn, patrząc mu prosto w oczy” (s. 144). Tak kończy się historia zatytułowana *Ojciec nasz*, która uświadamia nieprzystawalność oczekiwań ojca wobec możliwości syna. Dopiero narodziny wnuka niwelują pewną przepaść między nimi.

Uzasadnieniem wyboru języka, jakim opowiadane są historie z *Poufnego*, jest autobiografizm. Grynberg pisze nie tylko o sobie na przestrzeni lat, lecz również o najbliższych, dlatego w zbiorze nie padają żadne imiona, jedynie daty i profesja ojca. Pisanie o tym, co stało się przed narodzeniem pisarza, wymagało przyjęcia strategii metonimizacji: „W rodzinie, w której dla wszystkich było jasne, że żeby być równym, trzeba być lepszym, wyrastał nieuk” (s. 139). Wtajemniczeni wiedzą kim są ci, którzy aspirują do stanu równości i jaki багаż przeszłości ciąży na ich barkach. Zagłada rozciąga się na całe późniejsze życie bohaterów i formuje ich myślenie o związkach, a także postawach wobec innych. *Poufne*, podobnie jak *Włoskie szpilki*, boli. To oczywiście trawestacja werdyktu Ingi Iwasów z okazji przyznania Tulli Nagrody Literackiej Gryfia, jednak licuje on również z tym, co przekazuje czytelnikom Grynberg. Co innego można jednak powiedzieć o prozie, której domeną jest rejestracja życia w cieniu Zagłady? W całym tomie wyczuwalne jest trzymanie gardy w konfrontacji z doświadczeniami granicznymi (chorobami i zgonami kolejnych członków rodziny), jednak prawdziwa rozpacz kryje się w szczelinach tekstu. Na styku tego, co przemilczane i dopuszczone do głosu. To wielka sztuka powiedzieć o człowieku tak wiele, używając tak niewiele słów. Można w tej sztuce dostrzec przeciwwagę dla tekstów rozgadanych i zbyt manierystycznych, a także próbę pochwylenia esencji, czegoś, co umyka i nie chce dać się przyszpilić. ■

Mikołaj Grynberg, *Poufne*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, 160 s.

Zasuwka i inne wiersze

KSIAŻKI

ANTONI WILGUSIEWICZ

Adam Zagajewski to prawdopodobnie najwybitniejszy żyjący poeta polski, o jedno pokolenie młodszy od Zbigniewa Herberta, a jednak z nim porównywalny, nie tylko jako kandydat do literackiej Nagrody Nobla, której jak Herbert już prawdopodobnie – wobec sukcesu Polki Olgi Tokarczuk – nie dostanie. Obaj poeci to twórcy o znaczeniu światowym, spadkobiercy najlepszych tradycji kultury europejskiej, co nadaje ich twórczości wymiar uniwersalny. Obaj też wywodzą się ze Lwowa, choć Adam Zagajewski tylko miejscem urodzenia (jego rok urodzenia – 1945 – to jednocześnie rok exodusu pojałtańskiego także jego rodziny). Lwów zajmuje w ich twórczości miejsce objętościowo skromne, ale niezwykle ważne. O ile w twórczości Herberta lwowskie reminiscencje z racji przeżytego tam dzieciństwa i wczesnej młodości są zrozumiałe, o tyle u Zagajewskiego wynikają li tylko z tradycji rodzinnej, w której wzrastał mieszkając w Gliwicach. Opisał ten proces w swojej książce *Dwa miasta*: „Spędziłem dzieciństwo w brzydkim, przemysłowym mieście, przywieziono mnie tam, gdy miałem zaledwie cztery miesiące i potem przez wiele lat opowiadano mi o niezwykle pięknym mieście, które moja rodzina musiała opuścić...”

Stosunek poety do Lwowa, bynajmniej nie prosty i jednoznaczny w ciągu jego życia, podsumowuje legendarny już wiersz *Jechać do Lwowa*, opublikowany po raz pierwszy w londyńskim wydawnictwie Aneks w 1985 roku z ilustracjami Józefa Czapskiego. Zagajewski, obecnie mieszkający w Krakowie, nadal tworzy i wydaje ważne dla polskiej i światowej kultury utwory. W 2019 roku ukazał się jego kolejny tom wierszy *Prawdziwe życie*, w którym kilka utworów jest związanych z tematyką lwowsko-kresową. Im właśnie chcę poświęcić poniższe uwagi.

Zacznę od utworu *Zasuwka*, który ma dla mnie znaczenie szczególne. W czerwcu 2018 roku, podczas spotkania autorskiego z poetą w Katowicach, zadałem mu pytanie o jego aktualny stosunek do Lwowa i miejsce Lwowa w jego twórczości. Poeta ofiarował mi wówczas maszynopis wiersza *Zasuwka* z dedykacją (jest to tym cenniejsza wersja tekstu, że wiersz nosi tytuł pierwotny *Lektorat*, który autor zmienił w wersji do druku). Tytułowa „zasuwka” to przedmiot, bę-

dący pamiątką przywiezioną ze Lwowa przez dziadka poety, Karola Zagajewskiego, prowadzącego przed wojną lektorat z języka niemieckiego dla słuchaczy lwowskiego Uniwersytetu. Dla kresowian i ich potomków osiadłych na Śląsku, tak jak rodzina Zagajewskich, to bardzo prawdziwy symbol ich losu, a podobnie absurdalnych – z pozoru – pamiątek przywieźli oni, a nawet przechodzą do dziś, wiele. Można je zobaczyć na wystawach kresowych, jak choćby otwarta w ub. roku wystawa w Zamku Książąt Śląskich w Brzegu.

Do osobistego pobytu autora we Lwowie odwołuje się wiersz *Deszcz we Lwowie*, ze smutną konstatacją, nie wymagającą komentarza:

I to miasto, które jak Rzym
siedziało na siedmiu pagórkach
z berłem i jabłkiem
stało się płaskie i małe.

Zgrzytały koła tramwajów
w zbyt wąskich szynach.
I płakaliśmy wszyscy
przechodnie i goście
zwycięzcy i przegrani.

Pozornie błahy, a jednak w swej wymowie wstrząsający jest wiersz *Bezdomny*, w którym nie pada nawet nazwa Lwów, a – jak u Herberta – jedynie miasto:

Moi przyjaciele radzą mi
Żebym już przestał lamentować
Nie jesteś aż tak bardzo bezdomny
Mówią

Wiemy straciłeś
Tamto miasto ale przecież teraz
Mieszkasz całkiem wygodnie
I nie powodzi ci się najgorzej
Zgadzam się z nimi jak mógłbym
odmówić im racji

Te trzy utwory, niewielkie objętościowo i nieodgrywające dominującej roli w tomie *Prawdziwe życie*, pokazują jednak stosunek poety do Miasta, tak bardzo podobny do wspomnień innych wypędzonych ze Lwowa, na czele z Herbertem, Hemarem i całą rzeszą innych, bardziej lub mniej znanych twórców. Miasto, a właściwie jego wspomnienie, tkwi w nich i tkwić będzie, a jego legenda otacza ich – i wielu innych Polaków – jak owo kredowe koło z wiersza Herberta, które pozornie tak łatwo przekro-



czyć, a jednak okazuje się to niemożliwe.

Wierszem pokazującym jakby mimochodem rolę ówczesnego Lwowa w kulturze międzywojennej Europy jest *Andre Frenaud*, wiersz poświęcony wybitnemu poecie francuskiemu, który w roku 1930 podjął pracę na Uniwersytecie Lwowskim jako lektor języka francuskiego. O tym pozornie mało znaczącym epizodzie z życia Andre Frenaud Zagajewski nie zapomina jednak wspomnieć.

Mamy w tomie wreszcie dwa wiersze będące migawką z podróży po dawnych Kresach: Sambor, który w pamięci autora kojarzy się z matką, Ludwiką, która zdawała tu maturę, a także w Drohobyczu. Tutaj autor prawdopodobnie – bo nie dosłownie – nawiązuje do pamięci Brunona Schulza, tu żyjącego, tworzącego i tu zamordowanego przez hitlerowca.

Ale zdarzają się małe miasta
w których cienie
są prawdziwsze
niż rzeczy

Dla miłośników Lwowa, nie tylko oczywiście jego byłych mieszkańców i ich potomków, wiersze lwowskie Adama Zagajewskiego, na wskroś Europejskiego, człowieka dalekiego od zaścianowości i wszelakiego ideowego sekcjarstwa, dowodzą trwałości legendy Lwowa w naszej społecznej świadomości. Nie uwierzyłbym, gdybym nie usłyszał odpowiedzi poety na pytanie, jakie jest jego zdaniem najwspanialsze miasto na świecie: Kraków, bo tam mieszkam, no i oczywiście Lwów. A Paryż? No, tam też mieszkalem dość długo, ale nie... na pewno Lwów!

Adam Zagajewski, *Prawdziwe życie*, Wydawnictwo a5, Kraków 2019, 80 s.

Saga o rodzie znad niepokornej rzeki

KSIĄŻKI

TADEUSZ SIERNY

Pierwsza część tytułu kolejnej książki Andrzeja Niedoby *Rzeka niepokorna* jest nieco myląca. To nie jest monografia rzeki Olzy, owej zaledwie 87-kilometrowej strugi płynącej od źródeł spod Gańczorki i Karolówki w gminie Istebna do swego ujścia do Odry we wsi Olza. Rzeki granicznej (24 km) i rozgraniczającej, rzeki czeskiej (46 km) i polskiej (16 km), najpierw zdążającej na zachód, by zebrawszy nieco sił i wód z górskich potoków popłynąć na północ do swego kresu w Odrze. Już tylko to zróżnicowanie funkcji administracyjnych i topograficznych tej mało znanej w Polsce rzeki świadczy o jej odmiennych od innych rzek funkcjach i roli kulturowej. Andrzej Niedoba przywołuje tę rzekę symbolizującą swym nurtem losy mieszkańców ziem, którą nazywano Księstwem Cieszyńskim, podzielonej dziś wzdłuż nurtu tejże rzeki na część znajdującą się w województwie śląskim w Polsce i część należącą do Kraju Morawsko Śląskiego w Republice Czeskiej, zwaną po polskiej stronie – Zaolziem.

Granice, podziały administracyjne są efektem „wichrów historii”, jakie nawiedzały tę „krajnie zrodzoną z uśmiechu Boga”. Rzeka i góry Beskidu Śląskiego wraz z mieszkającymi tam rodami trwają niezmiennie wbrew historii, wojnom, kolejnym władcom i administratorom tego skrawka Europy.

Saga cieszyńska to opowieść o zasiedziałym w Nawsiu (wsi na trasie kolei Koszycko Bogumińskiej) rodzie Niedobów. Rozpoczyna się w radosnej chwili przyjazdu do Cieszyna w lipcu 1906 roku cesarza Franciszka Józefa I i dniu urodzin Adama, piątego dziecka Pawła i Ewy Niedobów. Ta rodzina liczyła szczęśliwie aż dziesięcioro potomków, 6 chłopców i 4 dziewczynki. Adam Niedoba był ojcem autora sagi – Andrzeja Niedoby. Kończy się ta opowieść po śmierci stryja autora, powszechnie znanego Władysława Niedoby, hetmana gorolskiego, animatora Gorolskiego Święta w Jabłonkowie; już po otwarciu granic w ramach Strefy Schengen; ostatnim przywołanym w tekście książki motywem jest wspomnienie premiery w 2016 roku na Scenie Polskiej w Teatrze w Czeskim Cieszynie dramatu *Rajska Jablonka* – bo też autor w *Rzeczce niepokornej* jest – wydawać by się mogło – przede wszystkim dramaturgiem. Debiutował w 1978 roku dramatem *Skoczek*, wystawionym w Teatrze Polskim w Bielsku Białej, napisał kolejne sztuki: *Pakamera*, *Górlandia*, jednak największy sukces przyniosła mu realizacja sztuki pt.: *Kim pani jest*, zrealizowana w znakomitej obsadzie aktorskiej (m.in. Krystyna Janda) i wielokrotnie wznawiana w Teatrze Telewizji. *Rajska Jablonka*, napisana gwarą, miała być dramatycznym dokumentem przemijającej kultury pokoleń górali beskidzkich, ale jak wspomina sam autor po śmierci jednego w swoich „ujków”, pastor Waldemar Szajthauer zaproponował mu spisanie dziejów rodu Niedobów.

Andrzej Niedoba jest znanym dziennikarzem, publicystą, znakomitym gawędziarzem, opublikował zbiory reportaży pt.: *Siedemdziesiąt dziewięć godzin nocy* (1981), *Piekłoniebo* (1989), a także *Matka Ziemia* (2017). Doświadczenia wyniesione z twórczości dramatopisarskiej zawoocowały bardzo dobrym opanowaniem metod konstrukcji dzieła epickiego, warsztat dziennikarski pozwala mu znakomicie panować nad relacją i fabułą opowiadaną ze swoistym dystansem przez narratora-autora, bez nachalnej autokreacji i ekspozycji swojej osoby. Narrator, unikając drastycznych opisów martyrologicznych losów społeczności górali beskidzkich, spowiada się z historii swojej rodziny przez opis codziennych trosk i zwyczajów, religii, nawyków i form świętowania oraz groźnych efektów dziania się „wielkiej historii” w Nawsiu. Mężczyźni powoływani są do różnych armii, co chwila zmienia się prawo, jakiemu podlegają, zmieniają się granice, wojny wypędzają ze wsi najbliższych, zmiana granic dzieła rodziny, zmiany polityczne rodzą konfrontacje wewnątrz rodu. Nie dość, że różnili się wyznaniem, podzieliła ich czechosłowacko-polska granica, spierali się o politykę – tę nową powojenną i tę starą – przedwojenną, a i wojna nie chciała ich opuścić. W latach tuż po roku 1945 w Beskidach wcale nie było spokojnie, padały strzały, ginęli ludzie. To pokolenie straciło swe najlepsze lata na tułaczce wojennej, katorgach okupantów, powojennym ubóstwie i dramatycznych sporach politycznych. Mimo groźnej rzeczywistości starali się przeżyć dany im czas godnie i... pracowicie. Byli ludźmi – jak ona, ich rodzina, stara, z zapadającym się coraz niżej dnem, groźna rzeka Olza – pokoleniem niepokornym. Trwali w swej rodzinnej kulturze, chroniąc na przekór czasom i kolejnym administracjom swą gorolską tożsamość. Jura spod Gronia, hetman gorolski do końca lat 90 XX wieku najpierw Czechosłowacji, później w Republice Czeskiej, od 1951 r. doprowadził do powstania w Czeskim Cieszynie Sceny Polskiej Těšínského divadla – jedyne go poza granicami kraju stałego polskiego teatru zawodowego, założył w 1947 r. zespół „Gorol” w Jabłonkowie, przez 50 lat był animatorem corocznej polskiej imprezy folklorystycznej w Czechosłowacji, a następnie w Republice Czeskiej – „Gorolskiego Święta” w Jabłonkowie. Adam Niedoba, przedwojenny oficer, więzień



obozu w Dachau, nauczyciel, współtworzył wielką imprezę folklorystyczną Tydzień Kultury Beskidzkiej, zorganizowany po raz pierwszy w 1964 roku.

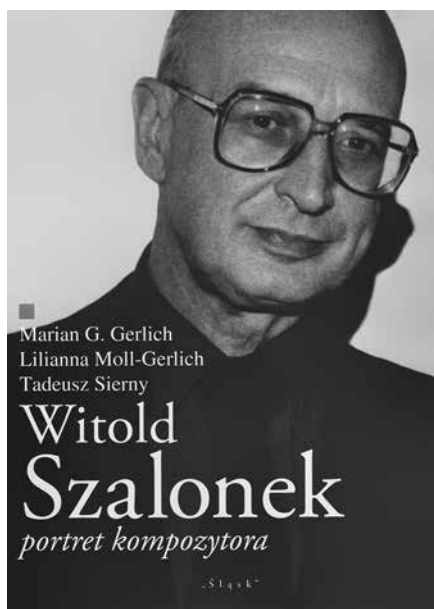
O każdym z Niedobów można by wiele opowiedzieć, czyni to narrator w subtelny, lekko zdystansowany sposób, pokazując jak kultura i obyczaje, mimo różnic politycznych, państwowych, religijnych, mogą łączyć rozproszony przez historię i... politykę ród.

Najbardziej dobitnym dowodem więzi łączącej tę społeczność jest efekt wspólnej pracy ojca i syna Adama (muzyka) i Andrzeja (słowa) Niedobów – swoisty hymn beskidzki, powszechnie znany i śpiewany, rozpoczynający się od słów: „Szumi jawor, szumi/ i szumi osika. Nigdy nie zaginie/ góralsko muzyka”.

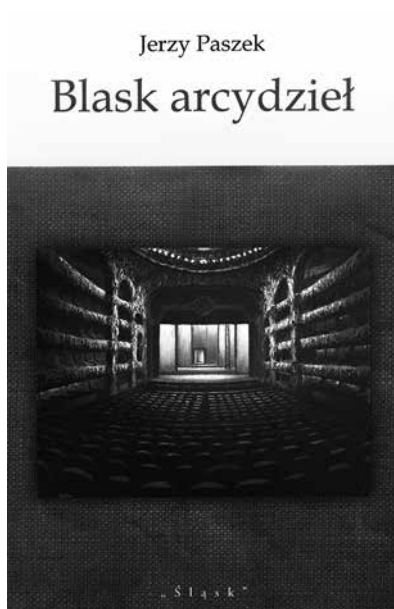
A Olza, niepokorna rzeka, która kiedyś łączyła w radosnej kąpeli najmłodszych i nieco starszych, groziła niebezpiecznymi wylewami i powodzią, dzieliła i rozdzielała pilnie strzeżoną granicę, dziś znów jednoczy nad swoimi brzegami prastare rody góralskie. Historia zatoczyła koło...

Pięknie wydana książka przez katowickiego edytora, wysmakowana estetycznie, opatrzona wieloma starannie dobranymi zdjęciami, jest dokumentem nie tylko jednego rodu beskidzkich górali, ale mądrą opowieścią – napisaną rzadko dziś spotykaną poprawną, kulturalną polszczyzną, chociaż okraszona różnymi gwarowymi wyrażeniami, nierażącymi i kłopotliwymi czytelnika (znaczenie przywołanych wyrazów znajdzie czytelnik w wyjaśniających przypisach) – o losie, historii domowej i tej wielkiej międzynarodowej naszych południowych rodaków, sąsiadów, przyjaciół, o których ciągle jeszcze tak niewiele nam wiadomo. ■

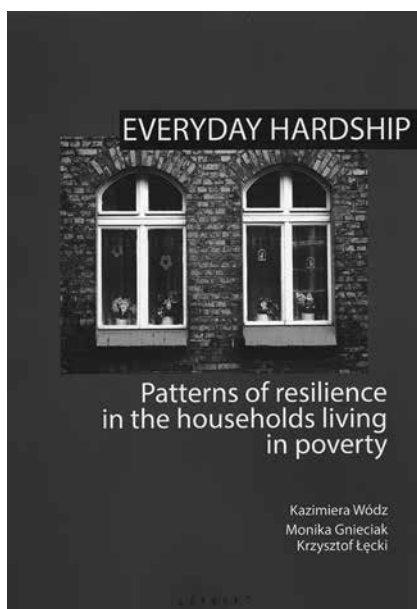
Andrzej Niedoba, *Rzeka niepokorna. Saga cieszyńska*, Katowice 2018, RIK w Katowicach, s. 197.



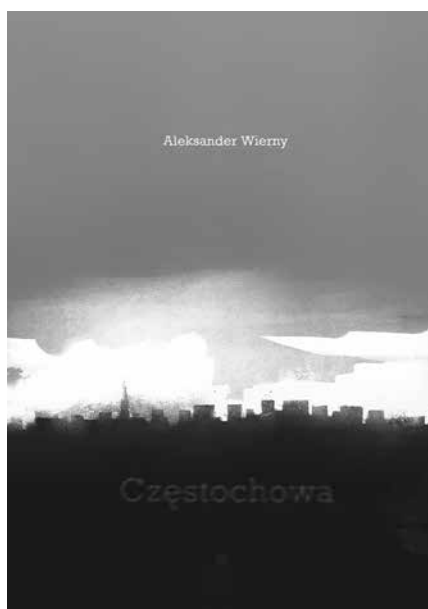
Marian G. Gerlich, Lilianna Moll-Gerlich, Tadeusz Sierny, *Witold Szalonek - portret kompozytora*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Jerzy Paszek. *Blask Arcydzieł*. Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Współwydawca: Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” Sp. z o. o. Katowice 2020.



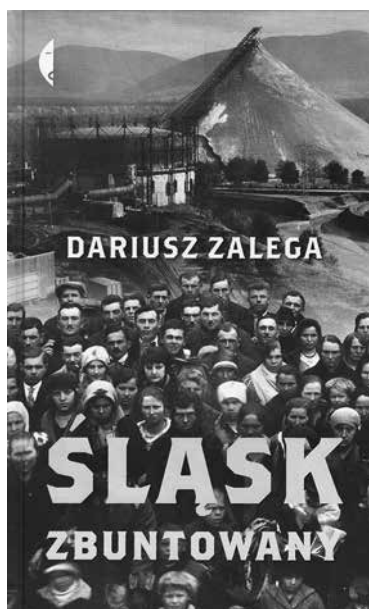
Kazimiera Wódz, Monika Gnieciak, Krzysztof Łęcki, *Everyday hardship. Patterns of resilience in the households living in poverty*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Aleksander Wierny, *Częstochowa*. Wydawca: Fundacja Duży Format, Warszawa 2020.



6. Sebastian Markiewicz, *Było. Dwanaście miniatur nostalgicznych*. Wydawca: Podlaski Instytut Kultury w Białymstoku, Białystok 2020.



Dariusz Zalega, *Śląsk Zbuntowany*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019.

Śląska herstoria?

Z dr MAŁGORZATĄ TKACZ JANIK rozmawia ANNA CIEPLAK

Jako radna Sejmiku Śląskiego w latach 2010–2014 miałaś okazję przemawiać z mównicy, która okazała się ważnym symbolem historii kobiet Górnego Śląska...

Mało kto upamiętnia kobiety w historii Górnego Śląska. Nie dowiesz się podczas wycieczki po dawnym gmachu sejmu, że w międzywojennym Sejmie Śląskim było pięć posłanek, a **Janina Omańkowska**, jako jedna z pierwszych Europejek w 1922 roku, otworzyła w wielkim stylu jego inauguracyjne posiedzenie. Nie wiedzą tego często nawet ci, którzy pracują w historycznym gmachu, kolejni marszałkowie, radni i radne, urzędnicy, petenci, bo ani jeden portret, ani żadna inna pamiątka w całym zabytkowym gmachu Śląskiego Sejmu – dodajmy od 2017 roku Pomnika Historii – nie upamiętnia tych faktów.

Od 2008 było jednak kilka propozycji składanych przez organizacje pozarządowe, aby tę sytuację zmienić. Obecność posłanek w autonomicznym Sejmie Śląskim była bezpośrednią konsekwencją wywalczenia przez Polki praw wyborczych oraz prawne usankcjonowania tychże w 1918 roku. Odzyskana przez Polskę niepodległość miała swój feministyczny akcent, ale na Śląsku świadomość historii emancypacyjnych starań Europejek od połowy XIX wieku jest słaba. Fakt, że i Polska i Niemcy były w awangardzie krajów, które zdecydowały się przyznać kobietom czynne i bierne prawa wyborcze już ponad sto lat temu, jest powodem do dumy w Berlinie i w Warszawie, ale niekoniecznie w Katowicach. Nawet słynny, śląski matriarchat opowiadany jest przez mężczyzn dla mężczyzn.

Niewątpliwie to, co robisz – choćby w projekcie „Sąsiadki” – sytuuje się na peryferiach narracji budowanej przez obecną władzę, która nie uwzględnia kobiet w historii naszego sąsiedztwa. W powstającym właśnie, za niemal 50 milionów złotych, „Panteonie Górnos Śląskim” wśród 158 osób zasłużonych dla Śląska jest... sześć kobiet.

Zobacz, postulaty związane z trudami kobiecego życia nie zostałyby w ogóle dostrzeżone przez śląską chadecję sto lat temu. Aby to nastąpiło, kobiety musiały podjąć nacjonalistyczno-

-katolicki sztandar tej partii. Samej **Janinie Omańkowskiej** i jej podobnym wykształconym kobietom Korfanty niekoniecznie mógł zaoferować krowę, którą w swym programie wyborczym oferował każdemu, ale już kobiecym szwadronom partyjnym jak najbardziej. Liderki chadecji – **Janina Omańkowska, Czesława Chyłłowa, Halina Stęślicka, Zofia Koniar-kowa** i oczywiście **Elżbieta Korfantowa** – dopiero jako posłuszne tym postulatowi, jako liderki ruchu kobiet zorientowanych narodowo i katolicko, mogły stać się partnerkami konserwatywnych polityków, zachwyconych zresztą perspektywą mobilizacji – niezmiernie przydatnych i oddanych – rzeszy kobiecych, do tej pory polityką jako taką mało zainteresowanych. [...] Emancypantki i feministki, dawne i teraźniejsze, wzbudzają na Śląsku niemal równy dystans wszystkich politycznych opcji. Szczególnie zaś regionaliści wszelkiej maści kiepsko sobie radzą ze sformułowaniem przekazu do kobiet. Próbuje to zmieniać młode pokolenie autonomistów, czy np. Łukasz Kohut, albo Monika Rosa, ale to idzie jak po grudzie. Z kolei w tzw. „codziennym życiu” w mówieniu o historii kobiet często przeważa coś, co nazwałabym „cepeliadą” i źle rozumianym folklorem, aż po komercyjne silesia-etno, jak w przypadku zespołu „Frele”.

A co z pominięciem obecności kobiet w ruchach politycznych? Na Śląsku „modnym” bohaterem obecnej władzy wojewódzkiej stał się Wojciech Korfanty. Jego biografia wiąże się z biografiami wielu wyjątkowych kobiet. Tak, w grudniu 2019 roku powstał w Katowicach Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, powstają też kolejne książki o Wojciechu Korfantym, między innymi autorstwa Józefa Krzyka i Barbary Szmatoch. Nie sądzę, aby te narracje się spotkały. Z jednej strony to dobrze, że jest ich kilka, ale kobiety są z nich tak samo wygumkowane. W 2018 ukazała się potężna biografia Korfantego autorstwa Grzegorza Bębniaka, Mirosława Węckiego i Sebastiana Rosenbauma. Wkład kobiet w dzieło Korfantego jest tam kiepsko odnotowany. W tym sensie nic się nie zmienia. Jeśli ktokolwiek zauważa ten wkład, to ewentualnie kobiety, badaczki lub dziennikar-

ki. Piszący o „blond bestii” biografowie traktują go zdawkowo, a ja widzę i czuję, że autorzy nawet nie sięgnęli po różne materiały. Nie sprawdzili danych o ruchu kobiecym, nie zajrzeli do zbiorczych opracowań naukowych. Dobrym przykładem wyparcia była dla mnie konferencja zorganizowana przez Muzeum Śląskie w 2019 roku na temat prasy międzywojennej. Nikt z organizatorów nie wziął pod uwagę „Głosu Polek”, organu prasowego Towarzystw Polek, gazety skierowanej do tysięcy kobiet, która ukazywała się w województwie śląskim w latach 1920–1927.

Kim były „Korfanciory”?

W skrócie potoczną nazwą części ruchu kobiecego, powstałego po wielkim rozłamie Związku Towarzystw Polek (choć nie tylko tej organizacji) na Górnym Śląsku w 1927 roku. Nazwa „Towarzystwo Polek” to do dziś najbardziej rozpowszechniona i znana nazwa górnos Śląskich towarzystw kobiecych. Niestety nazywane są tak błędnie różne kobiece stowarzyszenia lub związki kobiet, które działały w regionie w latach 1900–1939.

„Towarzystwo Polek”, a właściwie Związek Towarzystw Polek (w skrócie ZTP lub TP), jest nazwą prawną dopiero od 1920 roku. Wtedy Związek podjął dziedzictwo już niemal 20-letniego ruchu kobiecego, zintegrowanego przez **Teodorę Dombkówną** w lutym 1900 roku w Bytomiu wokół Towarzystwa Kobiet. Mówiąc w wielkim skrócie, z początku kobiety zakładały lokalne oddziały, Towarzystwa Czytelni dla Kobiet, współtworzyły chóry i akcje kobiece przy parafiach, gdyż nie wolno się im było stowarzyszać, ani działać bez wsparcia mężczyzn. Jednakże już w maju 1914 roku w Bytomiu odbył się zjazd delegatów bardzo wielu różnych organizacji zrzeszających kobiety, które zdecydowały się scalić w jeden Związek Towarzystw Kobiecych. Wieloletnią liderką Towarzystw Kobiecych oraz przewodniczącą ZTK, oraz potem ZTP (Związku Towarzystw Polek) była **Janina Omańkowska**. Tych nazw używa się wymiennie, a to poważny błąd. W czasie I wojny światowej działalność Związku została zawieszona, ale już w 1918 roku, został utworzony Wydział Powiatowy Towarzystw Polek w Katowicach. Wkrótce podjęto

też decyzję o rozszerzeniu działalności towarzystwa na inne powiaty. 30 stycznia 1920 r. nastąpiła konsolidacja organizacji kobiecych. Utworzono wówczas Związek Towarzystw Polek, który trwał co najmniej do wybuchu II wojny światowej. Jednym z ważnych, dla wielu kobiet emancypującym okresem działania w tym związku był udział w II i III powstaniu śląskim oraz w akcji plebiscytowej.

O tym to już w ogóle nie słyhać podczas obchodów powstań śląskich...

W 1927 roku, jak wspominałam, nastąpił potężny rozłam w górnośląskim ruchu kobiecym. Od tego momentu nazwa ZTP oznaczała tylko część ruchu, tj. wyłącznie działaczek związanych z sanacją. „Sanatoriki”, to były kobiety sanacji, do dziś najbardziej znaną z nich jest choćby **Maria Kujawska**, pierwsza śląska lekarka, często opisywana jako „Anioł z Ravensbrück”. „Korfancioriki”, które pozostały wierne chadecji i Wojciechowi Korfantemu, przyjęły w 1927 roku nazwę Związek Katolickich Towarzystw Polek (ZKTP).

Korfanty był w dużej mierze „ojcem chrzestnym” nazwy. Bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z pomocowej, cichej i mało kosztownej, codziennej pracy kobiet, z ich religijności i przywiązania do katolickich idei i rytuałów, do modlitw, pokory i posłuszeństwa. Świetnie wykorzystał moment jubileuszu, gdzie zaprezentował podsumowanie i cele programowe, które zostały opublikowane pod tytułem *Ćwierć wieku wysiłku. Nowe czasy, nowe zadania*. Wytyczne tam zawarte zostały uznane za nowy program dla śląskich kobiet.

Ciekawym zabiegiem badawczym byłoby przyłożenie do tamtych wydarzeń dzisiejszego pojęcia *mansplaining*. Wydaje się, że „Korfanciorzy” zostały przy Korfantym niemal bezkrytycznie. Cała krytyka skupiona została na „huzytkach”, „sanatorach”, na kobietach, które opowiedziały się za sanacją. Nieformalna nazwa „Korfanciorzy” umacniała się na Śląsku po przewrocie majowym.

Podział polityczny i ideowy coraz ostrzej dał się także we znaki w bardzo licznym, kobiecym ruchu na Górnym Śląsku (przed 1921 rokiem liczba członkiń różnych towarzystw kobiecych wynosiła nawet do 50 tysięcy osób). Jak wspominałam, spektakularnym momentem tego rosnącego konfliktu był jubileuszowy Zjazd ZTP, który od 5 do 6 czerwca 1927 r. odbył się w Katowicach.

Co tam się dokładnie wydarzyło?

Obrazy odbywały się m.in. w Teatrze Miejskim (obecnie Teatr Śląski im. St.

Wyspiańskiego). Ponoć w kulminacyjnym momencie zjazdu skłócone kobiety wyległy na ulicę przed teatrem (dziś Warszawska) i stanąwszy po jej dwóch stronach, dały wyraz swoim poglądom, obrażając się siarczyście, nie szczędząc osobistych przytyk, kalumnii, długo chowanych uraz. Musiała to być zaiste filmowa scena, o której z pewnością można rzec, że czeka na „swojego Kutza”.

Korfanciorzy i grażyńszczory (ew. *sanatory* – od sanacji) w gorącym pojedynku na słowa i gesty niczym nie różniły się od swoich ojców, braci i kolegów (korfanciorzy i grażyńszczoków), którzy już w czasie powstań mocno byli poróżnieni wizją Śląska w Polsce i samej Polski. Zjazd stał się nie tylko sceną rozłamu, ale niejako podwójnego przejęcia. Wykrystała go chadecja i sam Korfanty do całkowitego poddania sobie części ruchu kobiecego.

Rozłam „na górze” długo utrwał się w terenie. Wydaje się, że w wielu miejscowościach Górnego Śląska w okresie II RP nigdy rozłam ten nie został przez kobiety, zwłaszcza mniej wykształcone, uświadomiony do końca. Kobiety trwały w swoich lokalnych grupach działania, skupione na codziennych aktywnościach: religijnych i samokształceniowych, na samopomocy, organizacji oddolnej edukacji, wspieraniu lokalnych samorządów, organizacji bibliotek, czytelni i domowej opieki medycznej. Gdy czyta się dziś opisy ich pracy w przestrzeni publicznej, zarówno te spisane przez nie same, jak i opracowania na ten temat, wyróżniają się dwie skrajne postawy. Część kobiet zanurzona po uszy w obowiązkach rodzinnych, religijnych i społecznych, ten „odgórny” spór polityczny postrzega mgliście, jakby od nich samych i ich spraw oddalony. Z kolei inna część uczestniczy w codziennej walce. Znany nam dziś hejt, wylewający się z ówczesnych mediów, ośmieszał jedne kobiety wobec drugich, konfliktując je na poziomie prostych emocji, niekoniecznie zaś uświadamiając je w tym, co się tak naprawdę stało, co doprowadziło do rozłamu w tym wcześniej wspólnotowym, oddolnym, często sąsiedzkim działaniu kobiet.

Przy okazji swoich ostatnich działań wybrałaś formę edukacyjną i animacyjną, w pewnym sensie „u podstaw”, żeby wprowadzać herstorie do obiegu. Czy takie budowanie herstorii wydaje się jedynym wyjściem przy obecnych nastrojach? Umieszczając w centrum kobiety, przy okazji rysujesz też bardziej złożoną perspektywę historyczną regionu tak w ogóle: różnorodną i pełną napięć.

Ważne jest budowanie *herstorii* tego regionu, przede wszystkim dla celów edukacyjnych oraz porównawczych, z myślą o ukazaniu jego historii w nieco innym świetle, w szerokim horyzoncie dziejów Europy. Nie warto tego robić bez zasygnalizowania skomplikowanych uwarunkowań regionu górnośląskiego, swoistego w sferze stosunków etniczno-narodowościowych i politycznych. Śląska historia jest historią walki o zasoby, a nie o prawa człowieka. Dla tego chciałabym, abyśmy rozmawiając o *herstorii* w historii tego regionu, przede wszystkim powiedziały sobie, że aby dobrze opowiedzieć o „śląskich kobietach” nie warto i nie należy popadać wyłącznie w dyskurs narodowy. W moich poszukiwaniach natrafiłam na wiele propagandystek różnych narodów – korfancioerek i hakatystek – oraz obserwowałam, jak kwestie narodowe przegrywały w aktywności poszczególnych działaczek z walką o prawa kobiet, ale ja jednak skupiam się na tym drugim obszarze, bo to właśnie ten jest niemal wyparty, taki bardzo brakujący kawałek śląskich dziejów.

A jak twoim zdaniem ukazuje się Ślązaczki w tak zwanym głównym obiegu? Nic się nie zmienia?

W popularnym wydaniu (i wykorzystuje to każda władza po kolei) wystarczy dyżurna kobieta w stroju regionalnym, a regionalne stroje śląskich kobiet (skądinąd piękne, wręcz egzotyczne i bardzo różnorodne) przykrywają niemal wszystko inne. I PRL-owską murarkę i międzywojenną chadeczkę, i współczesną, śląską bizneswoman lub awangardową artystkę stąd. To jakby na pierwszym planie były zawsze i tylko dziewczęta z zespołu „Śląsk” (ich stroje są skądinąd sporym przekłamaniami) ze sznurami koralu na szyjach. Jak w obrozach śląskości. A dopiero – hen za nimi – daleko w tyle – dobry obserwator dostrzeże „inne śląskie bohaterki”, na przykład śląskie diakonisy lub zakonnice, harcerki, kilka lokalnych liderów. Próba budowania innej, nowocześniejszej narracji o historii kobiet regionu była Industriada (Święto Szlaku Zabytków Techniki) w 2018 roku, kiedy motywem przewodnim było hasło „Industria jest kobietą”. Dobrze jednak, że się tu wydarzyła taka odważna inicjacja tematu, oraz że ukazała oczom prawie stutysięcznej publiczności zupełnie inne „kobiety śląskie” (skądinąd, oczywiście nie ma takiego jednego zbioru, który wyczerpywałby temat). Industrialna soczewka pokazała włóknianki, górniczki, hutniczki, pracownice przemysłu spożywczego i przetwórcze-

go, dziennikarki, nauczycielki, powstanki, architektki, oraz np. projektantki. Tak, projektantki. Wspaniałe i mało znane kobiety, które odcisnęły ślad swego talentu w projektach – od osiedli mieszkaniowych, jak choćby Anna Weyher po wzory filiżanek, zaprojektowane przez kobiety wyroby słynnej Śląskiej Porcelany. Postindustrialnym z ducha odkryciem „Industrialnym z ducha odkryciem „Industrialny”, było uchwycenie w historii Czeladzi ekstrawaganckiej minispółeczności kobiecej, tzw. „kobiet z Saturna”. To była całkiem spora grupa żon górników wyższych rangą (często spoza Śląska), stworzyła przy kopalni Saturn kulturową, babską enklawę. Nadawały ton modowy, obyczajowy, ale jednocześnie były otwarte na społeczność lokalną, zaangażowane w wytworzenie nowych relacji sąsiedzkich, zmieniały tradycyjne nawyki wspólnotowe. Swoimi stylizacjami budziły zazdrość, ale i aspiracje.

Chcę powstrzymać nabieranie innych kobiet na patriarchalnie skrojony wzór Matki Polki, że tylko żona i matka. Debatę na ten temat podjęłam już kilkanaście lat temu przy wielkim wsparciu profesor Krystyny Kłosińskiej, polemizując na łamach katowickiej Gazety Wyborczej z śp. Michałem Smolorzem, który przekonywał panią profesor, mnie oraz czytelników, że Ślązaczki wychowane onegdaj w surowej obyczajowości, były winne alkoholizmu swych mężów, gdyż godnie wypełniając zalecenia kleru oraz specjalnych ulotek, kierowanych do nich (począwszy od roku 1901 r.) „oddawały się wyłącznie raz w tygodniu w sobotę po kąpiel”. Z kolei „wychudzony, eksploatowany, sterany wojnami i pracą Ślązak nie odbierając zapłaty w małżeńskim łożu” wpadał w alkoholizm. Odpisałyśmy redaktorowi, że: jego sformułowanie „zapłata” było wyjątkowo fatalne, bo sugerowało, że w jego świecie „niepouściągłość seksualna żony, jej nieograniczona gotowość do „oddawania się” mężowi, aby ten – jak sugerował Smolorz – „miał jeszcze coś z życia”, potraktowana została „niczym nakaz obowiązkowej dostawy ciała-mięsa (jak niegdyś obowiązek rolników do odstawiania za darmo trzody), jako forma zapłaty za „przekleństwa” męskiej egzystencji, jak wyniesione z wojen kalectwo i praca w kopalni”. Wskazałyśmy też, że daty śląskich plag alkoholowych dość wyraźnie wiążą się albo z datami wojen (1830, 1871), albo wielkich kryzysów gospodarczych (1929). I na koniec sugerowałyśmy, że to nie jest tak, że albo faceci pili i bili, bo nie byli „właściwie seksualnie obsłużeni”, ale raczej dlatego, że dotknęła ich frustracja z powodu bezrobocia, głodu i bezradności

wobec rozpadu rodziny oraz braku jej bezpieczeństwa. Czy widzisz w tym, jakiś mityczny matriarchat? Bo ja go nie dostrzegam, ale myślę, że *herstoria* dla śląskiej historii może okazać się bardzo niewygodna.

Zdobywasz wiedzę o historii kobiet nie tylko w archiwach, muzeach, izbach pamięci, ale też szukając żywych potomków. Na wystawie „60x100” udało się pokazać aż 30 kobiet na ilustracjach wykonanych przez Martę Frej, ale i porozmawiać „na żywo” z wnuczką Józefy Bramowskiej, potomkinią Karoliny Hager, prawnikiem Klary Parys, bratankiem Anieli Wolnik, bratanicą Haliny Stęślickiej, czy praprawnuczką Albiny Balasowej.
„Jaka szkoda, że teraz pani do nas trafiła, dwadzieścia lat temu trzeba było zacząć”. To zadnie stało się dla mnie refrenem. Wiele osób na Śląsku wie, że babcia na przykład należała do zespołu gimnastycznego „Sokol”, albo do chóru „Harmonia”, ale to jest taka wieść gminna, nie za bardzo udokumentowana. Braki w dokumentach o historii, o obecności kobiet w historii są statystycznie większe i mogłaby je wypełnić pamięć ludzi sprzed 20 lat, ale dziś wszyscy zgodnym chórem mówią, że przespałyśmy jedno pokolenie.

No właśnie, a jak się przedstawia opracowania naukowe. Jaki jest stan sprawy?

Od lat sześćdziesiątych do końca ubiegłego wieku ukazało się wiele ciekawych publikacji na temat *herstorii*. Warto wymienić wydane nakładem Uniwersytetu Śląskiego, teksty wielu naukowców różnych dyscyplin. Pisały o kobietach wielokontekstowo: Krystyna Kłosińska, Aleksandra Skrzypiet, Elżbieta Górnikowska-Zwolak, Jolanta Kamińska-Kwak, Kazimiera Wódz, Grażyna Kempa. Z kolei w wydawnictwach Uniwersytetu Opolskiego i Instytutu Śląskiego w Opolu koniecznie należy wymienić nazwiska badaczek, takie jak: Eleonora Sapia-Drewniak, Bożena Malec-Masnyk, Cecylia Sputek, Stefania Mazurek, Helena Karczyńska.

O historii kobiet pisały też stosunkowo wcześniej: Joanna Lusek, Magdalena Goik, Izabella Kühnel, Anna Muszyńska, czy Jolanta Klimczak, Anna Skiendziel, Barbara Szmatoch oraz Małgorzata Płoszaj, a także np. Dobrochna Kałwa, jako jedna z nielicznych z oddalonej terytorialnie perspektywy badawczej, z centralnej Polski pisała trochę o Ślązaczkach.

Z tych tekstów wyłania się ciekawy poziom naukowego opisu przeszłości i teraźniejszości kobiet na Górnym Śląsku, przełamujący mityczny, niby endemiczny, płaski obraz – pulchnej

kobiety górnośląskiej wspartej na poduszce w oknie. Niestety ten opis nie miał kontynuacji na początku trzeciego tysiąclecia. Czegoś zabrakło, nie wiem, czy bardziej wsparcia instytucjonalnego, czy finansowego. Zlikwidowano w międzyczasie w Katowicach Śląski Instytut Naukowy, co w dużej mierze uszczupliło bazę źródłową. Kończówka lat dziewięćdziesiątych obfitowała jeszcze w epickie ujęcia tematu, a potem to się skończyło. Kolejne próby szerokiego opisu pojawiły się dopiero po roku 2004, z tym że były to już zupełnie inne obserwacje.

Czyli jeszcze sprzed czasu kryzysu 2008, który pomimo utraty pracy przez mężczyzn, pokazał, że bieda ma twarz kobiety. Zresztą, przyglądając się historii likwidacji przemysłu, widać, że kobiety i mężczyźni żyją stale w niepewności i traumie likwidacji. To, co dzieje się teraz, w czasie pandemii, to powtórka z przeszłości, ale w wersji turbo, której jeszcze nie znamy.

Po 2004 zajęto się – między innymi – próbą socjologicznego opisu mieszkanki Górnego Śląska, jako grupy społecznej konfrontowanej z właśnie dziejącą się burzliwą i bezwzględnie transformacją gospodarczą. Na Śląsku to była wielka trauma, szczególnie dla kobiet. Niestety naukowe opinie i analizy z przełomu lat 80. i 90. nie zapobiegły kolejnym politycznym decyzjom, w wyniku których zamknięto kopalnie (reformy Jerzego Buzka) i inne zakłady przemysłowe bez oglądania się na ważkie społeczne konsekwencje. Wtedy po raz kolejny zapomniano o kobietach, zwalnając je z „etatu żony” (mówiąc wielkim skrótem myślowym), narażając je na bycie odgromnikami wielkiej frustracji mężczyzn, w zamian oferując jedynie kursy florystyczne lub otwarcie budki z kwiatami. Dobrze to pamiętam, praca warsztatowa z takimi kobietami w latach 2004–2005 w woj. śląskim nauczyła mnie pokory wobec takich zjawisk jak miejskie ubóstwo, *underclass*, czy bezwzględność nieprzemysłanych przekształceń strukturalnych w regionach przemysłowych, np. bez uwzględnienia strat społecznych z podziałem na płeć. Od tamtej pory nigdy nie zapominałam, że bieda na Śląsku, jak i na świecie miała i ma twarz kobiety.

Na koniec wróćmy jeszcze do Ciebie i Omańkowskiej. Ostatnimi laty często przebierasz się za nią i opowiadasz o niej, gdziekolwiek jesteś, nawet w na Pol’and Rock’u?

Nie mogę przestać o niej myśleć. Spróbuj to ze mną zobaczyć. Widzisz to – Katowice, jesień 1922 roku, polityczna

zawierucha, okrzyki na ulicach w kilku językach, po korytarzach zaadotowanych na sejm biegają dziennikarze, gazeciarze i lobbyści, ktoś robi zdjęcia. Katowice pełne są obywateli z całego świata, dyplomatów, żołnierzy, włóczęgów, czy migrantów wahańdowych, jak ich dziś nazywamy. Ślązaków, Niemców, Francuzów, Polaków, Żydów. Wśród nich – dziś to wiemy – są politykujące kobiety. Wszystko wre. Nagle na sejmowej ambonie staje kobieta. Sala buczy nieco, bo to „nienormalne”, ale ona zaczyna mówić i sala się ucisza, potem burzliwe oklaski i zawołania, między innymi na jej cześć. Los (bo była najstarsza), a nie ranga – jak chcą niektórzy – dały jej tego dnia głos, ale przemówiła nie jak „paprotka”, czy „szara partyjna myszka”, tylko jak pełnokrwista, charyzmatyczna liderka polityczna, która skupia się na interesach wspólnoty, a nie na własnej karierze. Ta scena mnie prześladowała. Podsycali ją emocje, które w polityce i w gmachu Sejmu Śląskiego dopadały mnie często, gdy byłam radną: strach, wstyd, duma, a jednocześnie chęć przekonania innych do tego, co mówię. Na pierwszym posiedzeniu przebrałam się w elementy huculskiego stroju mojej prababci, aby pokazać, że szanuję różnorodność śląską, ale domagam się szacunku także dla mych korzeni. Po latach Omańkowska stała się dla mnie ciekawym odniesieniem mojego out-fitu. Zrozumiałam, że Sejm Śląski ma swoją *herstory*, która mogłaby obnażyć to, o czym mężczyźni (stereotypowo) nie chcą mówić. Czy nie zgodzisz się ze mną, że najbardziej przejmująco o śląskim losie mówi kobieta narratorka w „*Mianujom mnie Hanka*” Alojzego Lyski?

Wcieliłam się w Omańkowską również wiele razy podczas różnych rekonstrukcji i happeningów oraz dwukrotnie na planie filmowym. W obrazie *Silaczki* Marty Dzido i Piotra Śliwowskiego Omańkowska pojawia się jako postać drugoplanowa, ale to przykład kobiety mocno już wówczas związanej ze Śląskiem, która wciąż ostro kolaboruje z feministkami z trzech zaborów, z siostrami Tułodzieckimi, z Zofią Sokolnicką, prawdopodobnie z Gabrielą Balicką, oraz z członkiniami Koła Kobiet Korony, Litwy i Rusi, w tym, jak przypuszczam z Izabelą Moszczeńską i Zofią Daszyńską-Golińską. Nie mogę tych ostatnich nazwisk potwierdzić w stu procentach, bo Omańkowska kazała swojej wieloletniej, życiowej przyjaciółce Bronisławie Walczak zniszczyć swój dorobek, dokumenty i zdjęcia. Pozostaje jednak bardzo prawdopodobne, że znała wiele zdeklarowanych feministek z tamtego okresu i współpra-

cowiała z nimi, choć jako – wpierv wielkopolska, a potem śląska, – chudecka polityczka, trzymała się konserwatywnej linii streszczanej przez nią samą w triadzie, w tytule jej autorskiej, ideowej broszury „*Bóg, Rodzina, Ojczyzna*”. Bardzo mi zależało, aby twórcy wprowadzili postać Omańkowskiej do filmu o polskich emancypantkach, bo kobiety związane ze Śląskiem rzadko pojawiają się w „polskiej narracji herstorycznej”.

W ubiegłym roku zagrałam też Janinę w fabularyzowanym dokumencie, zainicjowanym i wyprodukowanym z grantu marszałkowskiego przez stowarzyszenie Szlakiem Kobiet pt.: *5 kobiet Sejmu Śląskiego* – w reżyserii Macieja Marmoli i Kamila Niesłonego. Taka nowa edukacja, polegająca na doświadczaniu, skupiająca się na psychologicznym, społecznym i somatycznym przechowywaniu i popularyzowaniu dziedzictwa coraz mocniej przebija się do świadomości historyków, muzeów, czy instytucji kultury.

Mam wrażenie, że używasz słowa herstoria już od dawna, zanim stało się takie modne. Teraz słowo robi większą karierę, ale myślę, że dla Ciebie jest istotne, bo wynika z doświadczeń, intuicji i własnych odkryć. Zwróciłam uwagę na słowo historia i jego rodzaj w języku polskim już dziesiątki lat temu. Podobnie było ze słowem ojczyzna, które po polsku akurat jest rodzaju żeńskiego, ale oznacza kraj ojców, co też mnie nie do końca satysfakcjonuje.

W literaturze pięknej miejsce ojczyzny coraz częściej zajmuje *matczyzna* czy *córczyzna*. Szczególnie to widać w docenionych książkach ostatnich lat np. u Weroniki Gogoli czy Zyty Rudzkiej. Świat literacki ma jednak swój osobny język i różni się od historycznego opisu. Tam pojawiają się pewnie inne dylematy...

Gdy zaczynamy się zajmować historią kobiet na serio, pojawiają się właśnie tego typu dylematy związane z brakiem reprezentacji w języku, w zapisie. Nie mamy w historii swoich symbolicznych, własnych pokoi, jak postulowała dla kobiet Virginia Woolf. Archiwa niemieckie, austriackie, brytyjskie są bogatsze w dane o kobietach. Polskie archiwa są w ogóle dziurawe – nie ma ciągłości – zaborcy, komunizm, etc. „Śląskie archiwa” są z kolei rozproszone w kilku państwach, ale w przypadku historii kobiet najważniejsze jest co innego, to kwestia nie-do-widzenia kobiet na przestrzeni wieków.

Herstoria jest więc taką odpowiedzią na wymazaną przez patriariat historię kobiet.

Śląska *herstoria* mogłaby zapewne obalić wiele mitów. To jest podniecające.

Tylko jak to urzeczywistnić? Widzisz jakieś pomysły, przykłady tego, co można zrobić w przestrzeni społecznej?

Właściciele prawni gmachu Sejmu Śląskiego mogliby pomyśleć o upamiętnieniu pięciu międzywojennych posłanek, z kolei Akademia Muzyczna w Katowicach oraz władze Chorzowa mogłyby pokazać dwie piękne *herstorie*. Akademia – przypominając pierwsze posiedzenie śląskiego parlamentu w 1922 roku z dodaniem postaci jednej z pierwszych Europejek, która otwierała w okresie międzywojny regionalny sejm, a władze Chorzowa mogłyby się postarać o mural ukazujący wizerunek Janiny Omańkowskiej, aby stała się rozpoznawalną obywatelką miasta, nadać jej tytuł honorowej obywatelki, a mural mógłby być namalowany przy użyciu farb, które jak drzewa oczyszczają powietrze. Świetna idea – nieprawdaz, jest już kilka takich murali w Polsce.

Podwójna symbolika – dbałości o równość i idea nowego, czystego Śląska spotykałyby się w ekofeminizmie, obecnym także w naszym województwie. Przedstawicielką, tak śląskiego nowego pokolenia jest choćby Zuzanna Bobrowska, pochodząca z naszego regionu młodzieńca liderka Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, bardzo aktywna podczas COP 24 w Katowicach w 2018 roku.

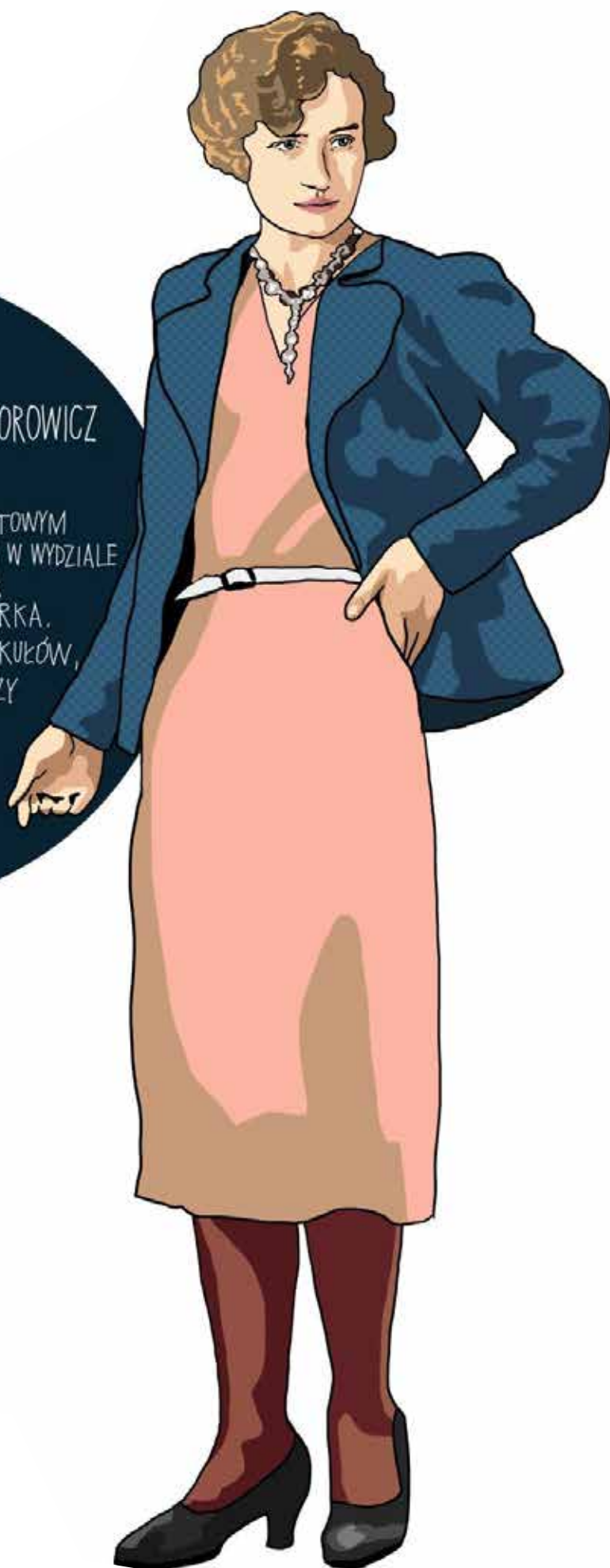
Kolejne, konieczne moim zdaniem prace nad *herstoryczną* pamięcią w regionie, to oddanie hołdu Albinie Bałasowej. To nie była „paprotka” przy Jorgu (gen. Jerzym Ziętku), ale wielka postać, której życiorys pokazuje przepływ idei politycznych oraz mieszania się wpływów kulturowych, który charakteryzuje dzieje Śląska, na razie niestety głównie w męskim wydaniu. Wprowadzenie *herstorii* regionu do edukacji regionalnej, jako elementu stałego. Przeformułowanie zasad konkursów wiedzy o historii województwa śląskiego tak, aby z założenia konkursy te nie pomijały sylwetek kobiecych. To samo w zakresie warunków zdobywania przewodnickich odznak Śląskiego Oddziału PTTK. Wśród wszystkich motywów, które trzeba poznać, miejsc, które trzeba odwiedzić na ponad sto, są tylko 4 wątki związane z kobietami. To za ledwie garść pomysłów.

Złamanie *herstorii* paradygmatu śląskiej kultury otwiera nas na nowocześnie skrojone interpretacje tułtejszego dziedzictwa, na „umiejętność dziedziczenia”, do jakiej zobowiązują nas nowe czasy, nowy Górny Śląsk. ■

OLGA ZARZYCKA-RĘGOROWICZ

(1900–1986)

W KOMISARIACIE PLEBISCYTOWYM
W BYTOMIU ZATRUDNIONA W WYDZIALE
PRASOWYM, REDAKTORKA
„POWSTAŃCA”. AGITATORKA.
AUTORKA ODEZW, ARTYKUŁÓW,
FELIETONÓW I WIERSZY
PROPAGANDOWYCH.







„NASZE (...) WIECZORNICE ODBYWAŁY SIĘ Z BRAKU SAL W STODŁACH, W STARYCH SZOPACH I WARSZTATACH RZEMIEŚLNICZYCH. DZIELNE SPOŁECZNICE ŚLĄSKIE ZNOSIŁY ZE SWYCH DOMÓW ŁAWY, KRZESŁA I STOŁY, STAWIAJĄC PRZY POMOCY SWYCH MĘŻÓW I BRACI PRONIZORYCZNĄ SCENĘ, BYLEBY TYLKO NIE REZGNOWAĆ Z TYCH ZEBRAŃ, CZY PRZEDSTAWIEŃ TEATRALNYCH, KTÓRE TAK BARDZO UMACNIAŁY DUCHA POLSKIEGO”

TEODORA DOMBKOWA

(1874-1950)

ZAŁOZYCIELKA PIERWSZEGO POLSKIEGO
TOWARZYSTWA KOBIET NA GÓRNYM
ŚLĄSKU, KTÓRE POWSTAŁO
W BYTOMIU W 1900 R.

WSPÓLZAŁOZYCIELKA TOWARZYSTW
KOBIECYCH W LIPINACH, RUDZIE,
MIKULCZYCACH, RADZIONKOWIE
I WIELU INNYCH.



Przyjaciele „Śląska”

Historię miesięcznika „Śląsk” zainicjował Tadeusz Kijonka oraz zgromadzony wokół Niego zespół współpracowników. W ciągu ponad 25 lat systematycznej edycji 300 numerów periodyku, na łamach miesięcznika opublikowało swe teksty ponad 2 000 autorów, w tym kilkudziesięciu stałych współpracowników. W takcie minionego ćwierćwiecza w Redakcji „Śląska” pracował i organizował proces wydawniczy gazety krąg osób zaangażowanych – każdego upływającego miesiąca – w prace wydawnicze czasopisma.

W tym – zapewne niepełnym – zestawieniu, opartym na zawartości tzw. stopki redakcyjnej miesięcznika odnotowano nazwiska tych osób, które wchodziły lub wchodzi dziś w skład kolejnych zespołów redakcyjnych.

Liczby oznaczają numer zeszytu i rok rozpoczęcia sprawowania funkcji oraz ostatni numer i rok zeszytu wydany pod kierunkiem lub z udziałem wymienionej osoby.

Redaktorzy Naczelni

Tadeusz Kijonka: 1/1995 do – 206/2013
Krystian Gałuszka: 207/2013–212/2013
Witold Turant: 213/2013–221/2014
Dariusz Rott: 222/2014–234/2015
Wiesława Konopelska: 235/2015–264/2017
Tadeusz Sierny: 266/2018 –

Zastępcy Naczelnego Redaktora

Feliks Netz: 1/1995–218/2014
Wiesława Konopelska: p. o. 219/2014–226/2014;
227/2014–234/2015
Marian Kisiel: 254/2017 –
Andrzej Jarczewski: 266/2018 –

Sekretarze Redakcji

Wiesława Konopelska: 1/1995–218/2014; 227/2014–
234/2015
Maria Sztuka: 236/2015–264/2017
Tomasz Bienek: 265/2017 –

Kierownicy Działów

Dział społeczno-historyczny:
Jan F. Lewandowski: 1/1995–51/2000
Andrzej Kuśnierczyk: 52/2000–84/2002
Marek Baster: 85/2002–103/2004
Bogdan Widera: 104/2004–264/2017

Dział krytyki literackiej:

Marian Kisiel: 1/1995–38/1999; 52/2000–87/2003;
254/2017–263/2017
Stefan Szymutko: 39/1999–51/2000
Barbara Gruszka Zych: 88/2003–126/2006
Katarzyna Bereta: 223/2014–253/2016

Dział kulturalny

Krzysztof Karwat: 1/1995–175/2010
Maria Sztuka: 176/2010–264/2017
Maria Korusiewicz: 271/2018 –

Dział: literatura, poezja, proza

Marian Kisiel: Dział literatury 39/1999–51/2000
Feliks Netz: Dział Poezji i Prozy 227/2014–234/2015
Maria Korusiewicz: Dział poezji i prozy (współpraca)
237/2015–249/2016
Dział poezji i prozy 250/2016–265/2018
Dział Literatury 266/2018–270/2018
Dział Kultura Literatura Sztuka 271/2018–286/2018

Dział nauki

Stefan Szymutko: 52/2000–59/2000

Korekta

Ewelina Połomska: 1/1995–9/1996
Anna Strumiłowska: 9/1996–224/2014
Andrzej Rogier: 10/1996–53/2000
Barbara Jarkowska: 2/1995–10/1996
Paweł Gardawicki: 53/2000–114/2005
Irena Falkin Sibiga: 114/2005–260/2017
Ania Sońta: 260/2017–261/2017
Monika Lis: 261/2017–264/2017
Laura Ryndak: 264/2017–287/2019
Anna Gaudy-Piątek: 287/2019–296/2020
Katarzyna Dziubała: 297/2020 –

Dział graficzny

Wojciech Łuka: Dział graficzny 1/1995–267/2018

Nadzór techniczny, poligraficzny, skład

Mirosław Korbek: 1/1995–277/2018
Tomasz Kowalski: 278/2018 –

Marketing i prenumerata

Jerzy Lucjan Woźniak: 133/2006–147/2008

Dział Kolportażu

Tadeusz Zabrzęski: 35 (34)/1998–42/1999

Kierownik biura redakcji

Halina Żmij: 13/1996–39/1999

Redakcja w Opolu

Janusz Ireneusz Wójcik: 250/2016–265/2017

Periodyk internetowy www.slaskgtl.pl

Katarzyna (Bereta) Kuroczka: 219/2014–222/2014,
227/2014–253/2016

Oprac. T.S.

Program dla czytelnika?

Miesięcznik „Śląsk” mimo funkcjonowania od ponad 25 lat na rynku czasopism nie dorobił się jak dotąd swojej monografii prasoznawczej. Tradycją tego czasopisma jest anonowanie treści kolejnych numerów jakimś wiodącym hasłem lub tematem prezentowanym na okładce miesięcznika. Spis owych anonsów może przybliżyć przyszłym badaczom dziejów periodyku obraz skali poszukiwań tematycznych Redakcji, propozycji intelektualnych oferowanych swoim wiernym czytelnikom, a czytelnikom czasopisma przypomnieć tematy i zagadnienia niegdyś – a być może, że i dziś – poruszające naszą wyobraźnię, oddziaływające na emocje, inspirujące do działań lub skłaniające do zadumy, dokumentujące radosne lub smutne fakty i zdarzenia. Oto spis 300 wiodących tematów miesięcznika „Śląsk”.

TEMATY I HASŁA (NADTYTUŁY) KOLEJNYCH NUMERÓW MIESIĘCZNIKA „ŚLĄSK” W LATACH 1995–2020

1995

- 1 Jak być Polakiem w Niemczech?
- 2 Lwów: Pół wieku po końcu świata

1996

- 1 Listy Horsta Bienka do Wilhelma Szewczyka
- 2 Czy zmienili się tylko Panowie
- 3 Jerzy Giedroyc: O Śląsku i Ślązakach
- 4 Abp Damian Zimoń: Drogi śląskiego kościoła
- 5 III Powstanie: marzenia i zdarzenia
- 6 Stanisław Bieniasz: o wypędzonych
- 7 Beskidy: Jeden Bóg, a tyle wyznań
- 8 Budownictwo Architektura Zabytki
- 9 Prezydent Katowic: musimy być metropolią
- 10 Październik '56: Polska – Węgry
- 11 Odszkodowania wojenne – rachunki krzywd
- 12 Grudzień 1981–15 lat później

1997

- 1 Autonomia, czyli samorządność
- 2 Kto chciał spacyfikować Śląsk?
- 3 Prof. Franciszek Kokot: decyzję pozostawiam losowi
- 4 General Motors w Gliwicach
- 5 Młoda kultura na Śląsku
- 6 W 75 rocznicę powrotu Śląska do Polski
- 7 Odkrywanie małej Ojczyzny
- 8 Czy istnieje naród śląski
- 9 Katowice: wizje i prognozy
- 10 Pojednanie polsko – niemieckie
- 11 Joseph von Eichendorff – w 140 rocznicę śmierci

12 Odra święta rzeka Ślązaków

1998

- 1 Po procesie „Wujka”
- 2 Spór o tożsamość Ślązaków
- 3 Marzec '68 – w Polsce i na Śląsku
- 4 Granice Górnego Śląska
- 5 Ślązacy chcą się uczyć
- 6 U progu Unii Europejskiej
- 7 Region – regionalizm – regionaliści
- 8 Górnośląskie podziąły
- 9 Kongres kultury na Górnym Śląsku
- 10 Pomosty kulturalne: Polacy i Niemcy
- 11 1918: Drogi do niepodległości
- 12 Adam Mickiewicz w dwusetną rocznicę urodzin

1999

- 1 KL Auschwitz-Birkenau
- 2 70 urodziny Kazimierza Kutza
- 3 Pochwała Tadeusza Różewicza
- 4 Magiczne oko Śląska
- 5 Jak Hanyś z Gorolem
- 6 Czerwiec '89 – dziesięć lat później
- 7 Ekologia i krajobraz
- 8 Rocznice Juliusza Słowackiego
- 9 60 rocznica września
- 10 Polacy w Niemczech – Niemcy w Polsce
- 11 W górniczym świecie
- 12 Przed końcem wieku

2000

- 1 Górny Śląsk – kronika stulecia
- 2 Co czeka Śląsk?
- 3 Ksawerego Pruszyńskiego odczytywanie Śląska
- 4 Katowice – miasto na węglu
- 5 Spory w mniejszości niemieckiej
- 6 Dzieci w świecie przemocy
- 7 Czystsze niebo nad

- Śląskiem
- 8 Polacy – Niemcy: pomosty
- 9 Państwo podziemne na Śląsku
- 10 Po obu stronach Odry
- 11 „Solidarność”: żarłoczna rewolucja
- 12 Lwów i Lwowiacy na Śląsku

2001

- 1 Dwa końce wieku
- 2 Śląski dom
- 3 Górny Śląsk ma dług wobec Marszałka
- 4 Na rozdrożu epok
- 5 1921–2001 Dziedzictwo powstań
- 6 Śląski rynek pracy
- 7 Agonia bielskiej wełny
- 8 Powstańcy śląscy w Powstaniu Warszawskim
- 9 Wrzesień 1939 – pamięć policjantów śląskich
- 10 80 urodziny Tadeusza Różewicza
- 11 Pierwsza bitwa III wojny światowej
- 12 Ekologia i etyka

2002

- 1 Bezdomni – życie bez adresu
- 2 Biedaszyby wróciły
- 3 Jerzego Dudy Gracza „Golgota Jasnogórska” na XVIII stronach w kolorze
- 4 Urodzeni w Stalinogrodzie
- 5 Czego chcą robotnicy
- 6 Górny Śląsk w granicach Polski
- 7 Z czym do Europy?
- 8 W górnym dorzeczu Wisły
- 9 Katowice to nie tylko rynek
- 10 Brama Morawska
- 11 80 lat Biblioteki i Teatru Śląskiego
- 12 Nobel 2002 – Imre Kertész

2003

- 1 80 rocznica Związku

- polaków w Niemczech
- 2 Huta „Łaziska” uratowana?
- 3 Katowice – miasto z pamięcią
- 4 Z Małyszem do Europy
- 5 W poczekalni Europy
- 6 Ankieta: my wobec Unii Europejskiej
- 7 Z czego biorą się Ślązacy
- 8 Rzeki domowe
- 9 Górny Śląsk w cieniu swastyki
- 10 Grzeszna rzeczpospolita
- 11 Grupa trzymająca węgiel
- 12 Gustaw Morcinek w 40 rocznicę śmierci

2004:

- 1 Wywózki Polaków do ZSRR
- 2 To już setny numer
- 3 Wieża spadochronowa – legenda przetrwa
- 4 Polacy i inni
- 5 Wróć i wyrzuć
- 6 750 lat Bytomia
- 7 Ekologia znaczy życie
- 8 Panorama kultury Sosnowca
- 9 Wrześniowe powroty
- 10 Niemcy – roszczenia, Polacy – reparacje
- 11 Wyprzedaż polskich hut
- 12 Czy nasze państwo gnije?

2005

- 1 Górny Śląsk tanio sprzedam
- 2 Czy koniec rewolucji w oświacie?
- 3 Airport Katowice
- 4 Wojewódzki informator kulturalny
- 5 Śląskie stacje Jana Pawła II
- 6 1945 Krojenie granic Polski
- 7 UE – Narodziny kontynentu
- 8 Czwierćwiecze „Solidarności”
- 9 140 lat praw miejskich Katowice
- 10 Nie zabijaj słowem – o etyce dziennikarskiej
- 11 10 lat naszego pisma
- 12 Rok Mickiewiczowski

2006

- 1 Przy stole „Śląska – Dyskusja o kulturze
- 2 Tragedia i dni żałoby
- 3 Silesia City Center – Miasto w mieście
- 4 Miałem jo gołąbka w klatce zawartego
- 5 Historycy o powstaniach śląskich
- 6 Śląscy piłkarze na mundialach
- 7 Wielki exodus Polaków
- 8 Krajobraz i tożsamość
- 9 Jak broniły się Katowice
- 10 Październik '56 w Polsce i na Węgrzech
- 11 Samorząd – nadzieje i zagrożenia
- 12 25 rocznica stanu wojennego

2007

- 1 70 lat Akademii Ekonomicznej w Katowicach
- 2 Płonąca swastyka
- 3 Nowe centrum Katowicach
- 4 Supermiasto „Silesia”
- 5 Gruźlica ciągle groźna
- 6 1922 Śląsk w granicach Polski
- 7 Beskidzkie zbliżenia
- 8 Ekologia: idee, ludzie, instytucje
- 9 Przystanek Katowice
- 10 Jak promować region?
- 11 Rok jubileuszu – Alma Mater Silesia
- 12 Wielkie dni Akademii Muzycznej

2008

- 1 Śląsk się wyludnia
- 2 Cieszyn bez granicy
- 3 Katowicki cud
- 4 Ankieta: Ile dziś jest Śląsków?
- 5 Czy potrzebne było województwo opolskie?
- 6 Perła w niejednej koronie
- 7 Bytom – miasto nieszczęsne
- 8 Śląsk się zmienia
- 9 Od wioski na bagnach – do metropolii
- 10 Kły w ciele Gruzji
- 11 1918: Gdy Polska wróciła na mapy
- 12 Ambasadorzy polszczyzny

2009

- 1 Styczeń 1919 – Czeska napaść na Śląsk
- 2 Kazimierz Kutz ma 80 lat
- 3 Korfanty w Roku Korfantego
- 4 Korfanty rycerz Rzeczypospolitej
- 5 Powstaje Instytut Śląski im. W. Korfantego
- 6 4 czerwca 1989 – 20 lat

- po wygranej
- 7 Architektura i krajobraz
- 8 Ślązak przewodniczącym Parlamentu Europejskiego
- 9 Katowice: wizje i konkrety
- 10 Zaolziacy: ilu nas jest?
- 11 Po Kongresie Kultury Polskiej
- 12 Przywrócić dom Korfantemu

2010

- 1 Zawód aktora dziś
- 2 Rok 1945 – cena wyzwolenia
- 3 Śląscy chopiniści
- 4 Wiosna – śląski rok obrzędowy
- 5 Od Smoleńska po Wawel
- 6 Nowy cykl: Zwiady kulturalne: Katowice
- 7 Bieruń: po wielkiej wodzie
- 8 30 lat Solidarności
- 9 Wielka debata o kulturze
- 10 Muzyka Chopina w malarstwie Jerzego Dudy Gracza
- 11 15 lat naszego pisma
- 12 Przy wigilijnym stole bezdomnych

2011

- 1 Kim czują się Ślązacy?
- 2 20 lat: „po naszymu, czyli po śląsku”
- 3 1921 – Plebiscyt Górnośląski
- 4 Śląskie wizyty papieża
- 5 Poszli chłopcy do powstania
- 6 Do ciebie, Polsko, wracamy
- 7 Dylematy ekologii na Śląsku
- 8 Tu powódź została w sercu
- 9 Nad śląska pamięcią historyczną
- 10 Z dedykacją dla Tadeusza Różewicza
- 11 Konspiracja – Śląsk był pierwszy
- 12 W 30 rocznicę stanu wojennego

2012

- 1 Jubileusz katowickiej uczelni ekonomicznej
- 2 Jak gasło polskie hutnictwo
- 3 Pożegnanie Wisławy Szymborskiej
- 4 Sławomir Mrożek w Katowicach
- 5 Od polskiego słowa do polskiego Śląska
- 6 Śląsk w granicach Polski
- 7 Zielona arka Śląska
- 8 Kaszubi a Ślązacy
- 9 Katowice – stolica z przypadku czy z wyboru?
- 10 1922 r. – polska kultura na Śląsku
- 11 Od Monte Cassino

- do Bolonii
- 12 Śląskie betlejki i stajenki

2013

- 1 Po co nam miesięcznik „Śląsk”? – opinie
- 2 (Nie) jedzie pociąg z daleka
- 3 Zwyczaje wiekami uświęcone
- 4 Śmieciowa rewolucja
- 5 Co z CO₂?
- 6 Katowice – nowe otwarcie
- 7 8 Śląsk – źródło
- 9 Katowice: inspiracje i klimaty
- 10 Co z tą książką?
- 11 Dyrektor z konkursu
- 12 Jak Karlik przestał być hajerem

2014

- 1 Ślązacy istnieją
- 2 Mój Kilar
- 3 Ślązacy na zielonej wyspie
- 4 „Zastanów się człowiecze...”
- 5 Tadeusz Różewicz (1921–2014)
- 6 Pierwsze, częściowo wolne...
- 7 Zatrute owoce „czwartej władzy”
- 8 Rok czytelnika
- 9 Supermarketyzacja szkoły?
- 10 Światowa sala koncertowa NOSPR
- 11 Wkraczamy w 20 rok
- 12 Dobre, śląskie drzewo

2015

- 1 Pieśń dla bluesa
- 2 Społeczne problemy śląskich miast
- 3 Skandynawia na Śląsku
- 4 Przepędzanie zła
- 5 Feliks Netz (1939–2015)
- 6 Rysownik „The New York Times” w „Śląsku”
- 7 Pszczyna miasto niezwykle
- 8 Górki Wielkie – Skradziona kolekcja
- 9 Katowice – urodziny miasta
- 10 Kopalnia teatrów
- 11 Mamy 20 lat
- 12 Szczęść Boże! O śląskim sacrum

2016

- 1 Żywność na śmietniku
- 2 Z Poczesnej do Dubaju
- 3 Metropolia „Silesia”?
- 4 Brawurowy „Ubu Król” w Operze Śląskiej
- 5 Powstania Śląskie Wokół Zagłębia
- 6 Nawet świąnty Jon nie pomóg
- 7 Madonny wracają
- 8 Światowe Dni Młodzieży Kraków 2016
- 9 250 numer
- 10 Śląski dom wielu kultur
- 11 80 urodziny poety

- 12 Moc truchleje

2017

- 1 Ludwik Klimek ze Skoczowa – przyjaciel Picassa
- 2 Smog – morowe powietrze
- 3 Człowieczy los – drogami Brata Alberta
- 4 Chorzów Vinyl Festival
- 5 Literacki maj – od debiutu do Nobla
- 6 Wiślańska „Ochorowiczówka” – jedyne takie muzeum w Europie
- 7 Żegnamy Tadeusza Kijonkę
- 8 Chleba naszego
- 9 Katowice miasto mistrzów piękna
- 10 Z wiedeńskiego archiwum Nieznane listy Grzegorza Fitelberga
- 11 Bielska jesień – dobry start do międzynarodowej kariery
- 12 (bez hasła)

2018

- 1 (bez hasła)
- 2 (bez hasła)
- 3 Film, fotografia, teatr
- 4 Tożsamość, konfrontacje
- 5 Środowisko literackie Twórcza – czytelnik
- 6 Alma Mater Silesiensis
- 7 Archeologia miejska
- 8 Przyroda jako stan umysłu
- 9 Miasto kreatywne – Katowice
- 10 Poszukując estetyki
- 11 Śląsk i niepodległość
- 12 Śląskie świętowanie

2019

- 1 Między ciszą a hałasem
- 2 Śląskie różności
- 3 Dialogi kultur i religii
- 4 Pamięć ku przyszłości
- 5 Sport i rekreacja
- 6 Przestrzeń publiczna Kultura wizualna
- 7 Nieznane oblicza miast
- 8 Sierpniowe rocznice
- 9 Katowice Przeszłość i współczesność
- 10 Kultura Wizerunek miasta
- 11 Metafizyka w kulturze
- 12 Świąteczny czas

2020

- 1 Cena zdrowia
- 2 W stronę sztuki
- 3 Czas przejścia
- 4 Perspektywy katastroficzne
- 5 Wiosna budzi nadzieję
- 6 Lato dziwnych dni
- 7 Zapisane w podróży
- 8 Polskie sierpień
- 9 Trzy setki

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Najlepsi w częstochowskiej kulturze

CZĘSTOCHOWA. Ważnym punktem 28. Dni Częstochowy było wręczenie Nagród Miasta Częstochowy za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury. 29 sierpnia w filharmonii zasiedli tylko zaproszeni goście. By zachować dystans społeczny, Prezydent Krzysztof Matyjaszyk kolejno zapraszał laureatów na scenę. Galę uświetnił koncert *Od Broadwayu do Buenos Aires* w wykonaniu Orkiestry Filharmonii Częstochowskiej pod dyrekcją Adama Klocka.



Zdjęcie udostępnione przez Urząd Miasta
Częstochowy, fot. Lukasz Kolewinski

W kategorii literatura i historia wyróżniono Arkadiusza Franię – poetę, prozaika, krytyka literackiego od lat związanego ze środowiskiem literackim naszego miasta. W kategorii teatr i film nagrodę otrzymała Marta Honzatko – od września 2012 roku zaangażowana w Teatrze im. Adama Mickiewicza, występującą m.in. w spektaklach *Nagle, zeszłego lata* oraz *Wesołe miasteczko* (z piosenkami Agnieszki Osieckiej). W kategorii muzyka i taniec wyróżniono Jerzego Bobera – fagocistę Filharmonii Częstochowskiej oraz pedagoga w Zespole Szkół Muzycznych w Częstochowie. W kategorii sztuki plastyczne nagrodę otrzymała Agnieszka Półrola – graficzka, malarka, profesorka Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie. W kategorii promocja i ochrona kultury wyróżniono Macieja Batorka, długoletniego animatora kultury, jednego z inicjatorów Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy, pełniącego przez wiele lat funkcję Naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta oraz redaktora „Almanachu Częstochowy”.

Laureatom gratulujemy.

Jak zostać promotorem Częstochowy?

CZĘSTOCHOWA. 29 sierpnia w czasie gali w filharmonii wręczono także wyróżnienia Promotor Częstochowy. Otrzymał je: Ireneusz Kozera (w kategorii kultura), Leszek Pilichowski (w kategorii media) oraz Stoelzle Częstochowa (w kategorii biznes).

Każdy z laureatów może poszczycić się długą listą osiągnięć w zakresie promowania kultury i miasta. Ireneusz Kozera był dyrektorem Filharmonii Częstochowskiej. Pracował również w innych instytucjach kultury oraz jako Naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta. Był jednym z pomysłodawców Stowarzyszenia Środowisk Twórczych, inicjował i wspierał wiele wydarzeń, które cyklicznie odbywają się do dziś, m.in. Festiwal Wiolinistyczny im. Bronisława Hubermana, Festiwal Jazzu Tradycyjnego „Hot Jazz Spring”, Konkurs Wokalny im. Jana, Edwarda, Józefiny Reszków.

Leszek Pilichowski jest przede wszystkim znany jako fotograf i fotoreporter. Przez lata współpracował z częstochowską redakcją „Gazety Wyborczej”, ale również przygotowywał wydawnictwa albumowe, m.in. *Chasydzi lelewscy. Spotkania w drodze*, książkę będącą zapisem corocznych spotkań przy grobie rabina Dawida Bidermana w Lelowie. Prezentował swoje prace na krajowych i zagranicznych wystawach zbiorowych oraz indywidualnych.

Stoelzle Częstochowa otrzymał tytuł promotora po raz drugi. To nie tylko jeden z największych pracodawców w mieście, ale także ważny sponsor. Firma wspiera drużyny sportowe – AZS 2020 Częstochowa, Raków Częstochowa oraz Włókniarza Częstochowa, fundacje i organizacje pożytku publicznego, m.in. Fundację „Zdążyć z Pomocą”, Hospicjum Dziecięce w Częstochowie, oraz organizowane w mieście akcje.

Tegoroczni mistrzowie miniatury

CZĘSTOCHOWA. 11. Międzynarodowe Biennale Miniatury zostało rozstrzygnięte 29 sierpnia br. To konkurs dla profesjonalistów, artystów posiadających co najmniej tytuł licencjata. Muszą oni wykonać pracę o rozmiarach nie większych niż 10 na 10 cm, w jednej z technik: malarstwo, grafika, rysunek, fotografia monochromatyczna.

W konkursie wzięło udział 233 autorów z dziewięciu krajów. Nadesłane prace (638) oceniało jury w składzie: prof. dr hab. Dariusz Kaca (przewodniczący) – Akademia Sztuk Pięknych w Łodzi; dr hab. Piotr Korzeniowski – prof. ASP, Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie; Justyna Warwas (komisarz wystawy) – Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie; Robert Sękiewicz – kurator Galerii Ośrodka Promocji Kultury.

Zwyciężyła Anna Szumigaj-Badziak z Tuszyna zestawem prac w technice serigrafii *Przestrzeń 3KL-N*. Drugą nagrodę zdobył Jakub Zdejszy z Wisły ze zestaw *Pamiętka*, a trzecią – Marcin Szymielewicz z Brodnicy za zestaw *Singularis* oraz Łukasz Chmielewski z Łodzi ze zestaw *Nieme objawienia*. Jury przyznało również wyróżnienia honorowe. Otrzymał je: Tomasz Wiktor z Nawojowej, Emilia Pitucha z Warszawy, Agata Koszczan z Krakowa, Darya Hancharova z Katowic oraz Magdalena Banaś z Kamiennej Góry.

Wystawę w OPK Gaude Mater można oglądać do 9 października. Następnie ekspozycja zostanie zaprezentowana w galeriach współorganizatorów projektu, czyli w Krakowie, Dąbrowie Górniczej, Pile, Warszawie, Rzeszowie, Tarnowie oraz w niemieckim Pforzheim.

Balans według Kędziory

CZĘSTOCHOWA. W Pawilonie Wystawowym oraz w parku im. S. Staszica do 6 września można było oglądać ekspozycję *Wiwisekja balansu. Rzeźby Jerzego Kędziory*. Kuratorem była Kata-

ryzna Sucharkiewicz. Artysta tworzy swoje niezwykle kompozycyjnie od lat 90. XX wieku, chętnie opowiadając o procesie ich tworzenia i odpowiadając na pytania, w jaki sposób utrzymują się one w powietrzu. Nazywa siebie przy tym „intuicyjnym fizykiem”. Rzeźby balansujące wyrastały z publicystyki Kędziory powstałej w czasie transformacji. Traktowano je wówczas jako przyczynek do portretu Polaka, a lina była znakiem przemian. Obecnie artysta prowadzi m.in. projekt *W poszukiwaniu równowagi* z pacjentami Szpitala Klinicznego im. dra Józefa Babińskiego w Krakowie, gdzie w jednym z budynków ma swoją pracownię.

Tym razem w podjasnogórskim parku Jerzy Kędziora zaprezentował m.in. lapidarium, w którym można zobaczyć głowy osób uznawanych za ikony ostatniego stulecia. To swego rodzaju podsumowanie 40-letniej pracy artysty oraz sposób uczczenia stulecia niepodległości. Można było rozpoznać Józefa Piłsudskiego, Jana Paderewskiego, Jana Pawła II, ks. Jerzego Popiełuszkę, kardynała Stefana Wyszyńskiego, ale także Halinę Poświatowską, Krzysztofa Pośpiecha, Marka Perepczkę. Na ekspozycję złożyły się również kompozycje przedstawiające sportowców, atletów czy akrobatów, którzy nie przypominają rzeźb starożytnych. Jerzy Kędziora podkreśla bowiem, że współczesny człowiek ma inne proporcje, postawę i umięśnienie. W swoich pracach stara się więc utrwalić zachodzące zmiany.

Pandemia oczami studentów-artystów

CZĘSTOCHOWA. Do 30 sierpnia w Miejskiej Galerii Sztuki można było zwiedzać wystawę *Transfiguracje. Naturakultura. Kim jestem, jak jestem w czasach zarazy?* Przygotowano ją we współpracy z Wydziałem Sztuki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza, kierunkiem Design i zarządzanie projektami Wydziału Zarządzania Politechniki Częstochowskiej oraz kierunkiem Organizacja produkcji filmowej i telewizyjnej Społecznej Akademii Nauk w Warszawie. Kuratorem wystawy była Barbara Major.

W Sali Poplenerowej i Antresoli od 17 lipca zaprezentowano zdjęcia, plakaty oraz filmy podejmujące problematykę tożsamości w czasie przymusowej izolacji społecznej. W wielu pracach pojawiała się stematyzowana pustka oraz wirus, który zmienił nasze życie. Ważnym motywem była twarz, zasłonięta albo utrwalająca rozmaite miny.

Pokazane prace skłaniały do pytań: jak wpływa izolacja na artystów? Czy można mówić o izolacji w dobie mediów elektronicznych? Jak pandemia wpłynęła na naszą tożsamość?

Nadanie Międzynarodowemu Portowi Lotniczemu Katowice w Pyrzowicach – „Katowice Airport” imienia Wojciecha Korfantego

KATOWICE. Sejmik Województwa Śląskiego uchwalił przyjęcie się oświadczenia w sprawie nadania Międzynarodowemu Portowi Lotniczemu Katowice w Pyrzowicach – „Katowice Airport” imienia Wojciecha Korfantego jako honorowego patrona.

Międzynarodowy Port Lotniczy Katowice w Pyrzowicach – „Katowice Airport”, miejsce strategiczne dla województwa śląskiego, identyfikowane z regionem poprzez wpisanie wprost w nazwie miasta będącego jego stolicą – nie posiada patrona – czytamy w Oświadczeniu Sejmiku... Przywołanie pamięci postaci historycznych, ważnych dla danego miejsca, pomaga w budowaniu związku emocjonalnego i świadomości mieszkańców odnośnie zamieszkiwanego przez nich obszaru, a także ustanawia jego jednoznaczną identyfikację przez osoby przyjezdne. W związku z tym, w opinii radnych województwa śląskiego, miejsce tak charakterystyczne dla regionu powinno przyjąć imię osoby, która jak nikt inny przyczyniła się do ustanowienia tożsamości narodowej mieszkańców tej ziemi.

Istotne jest, aby tak ważne dla Regionu miejsce przyczyniło się do propagowania wiedzy o jego historii poprzez postać kluczową dla ustanowienia jego tożsamości narodowej – Wojciecha Korfan-

tego. [...] Obchody 100. rocznicy Powstań Śląskich są odpowiednim momentem, aby docenić i zadbać o upowszechnianie wiedzy o tym wielkim Polaku.

Upamiętnienie 100 rocznicy urodzin Karola Wojtyły, Kardynała, Papieża, Świętego

KATOWICE. Uchwała Sejmiku Województwa Śląskiego w sprawie upamiętnienia 100. rocznicy urodzin Karola Wojtyły Kardynała, Papieża, Świętego.

W cytowanej Uchwale czytamy m.in.: „Pragniemy wspomnieć wspaniałe chwile, jakie przeżywaliśmy podczas niezapomnianych pielgrzymek Ojca Świętego do naszej Ojczyzny.

Ze szczególną miłością i zadumą wspominamy wielokrotnie wizyty w naszym regionie, jeszcze jako biskupa i kardynała. Głosił kazania w czasie słynnych pielgrzymek mężczyzn do Matki Bożej Piekarskiej, Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej. Wzmacniał i krzepił ducha upominając się o prawo do życia opartego na fundamencie chrześcijańskim i o godność ludzi pracy. Przypominał to z wielką mocą już jako Papież w pamiętnej homilii w Katowicach w 1983 roku o „Ewangelię pracy”. Pragniemy również przypomnieć wielkie przesłanie Ojca Świętego ze Skoczowa z 1995 roku, że „Polska potrzebuje ludzi sumienia”, które wciąż jest dla nas zobowiązaniem. W 1999 roku Ojciec Święty odwiedził Ziemię Zagłębiowską spotykając się z jej mieszkańcami w Sosnowcu. Jakże zapadło nam w pamięci spotkanie Papieża w Gliwicach również w 1999 roku i Jego słynny dialog z ludem górnośląskim. A od Tronu Matki Bożej Jasnogórskiej przypominał nam wielokrotnie, że nasz Naród ma tu swoją Matkę i Królową i że tu bije serce Narodu.

Jako Sejmik Województwa Śląskiego wyrażamy wielką wdzięczność i dziękujemy umiłowanemu Ojcu Świętemu za Twoje Święte Życie i za tę wielką Miłość, którą ogarniałeś każdego z nas (...).”

Program współpracy samorządu województwa śląskiego z organizacjami pozarządowymi na rok 2021

KATOWICE. Celem współpracy jest wspieranie działań obywatelskich, tak by prowadzić do jak największej samodzielności oddolnych inicjatyw i zbudowania podstaw równoprawnego partnerstwa pomiędzy administracją publiczną a organizacjami społeczeństwa obywatelskiego. Za cel główny niniejszego programu przyjmuje się zrównoważony rozwój całego województwa śląskiego [...]

Jako cele szczegółowe przyjmuje się:

1) prawidłowe diagnozowanie potrzeb w poszczególnych podregionach pod względem wspierania społeczności lokalnych w minimalizacji zdiagnozowanych dysfunkcji i tworzeniu płaszczyzny do zrównoważonego rozwoju całego regionu;

2) wykreowanie i wzmacnianie warunków dla powstawania i rozwoju inicjatyw oraz struktur funkcjonujących na rzecz społeczności lokalnych w województwie, w tym tworzenie i wdrażanie innowacyjnych rozwiązań służących rozwijaniu społeczeństwa obywatelskiego oraz efektywnych form współpracy;

3) zwiększenie wpływu sektora obywatelskiego na kreowanie polityk społecznych w województwie oraz wzmacnianie w tym zakresie współpracy między podmiotami sektora samorządowego i pozarządowego;

4) integrację podmiotów polityki lokalnej obejmującej swym zakresem sferę zadań publicznych wymienionych w ustawie;

5) wyrównywanie szans i integrację społeczną osób zagrożonych wykluczeniem społecznym, w tym osób niepełnosprawnych, starszych, przewlekle chorych, dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej i innych grup zagrożonych marginalizacją społeczną;

6) wspieranie aktywności obywatelskiej mieszkańców województwa śląskiego, umacnianie w świadomości społecznej poczucia odpowiedzialności za swoje otoczenie, wspólnotę regionalną i lokalną, promocję postaw obywatelskich i prospołecznych oraz promocję wolontariatu;

7) zwiększenie poziomu integracji między wojewódzkimi, powiatowymi, gminnymi Radami Działalności Pożytku Publicznego

go i ciałami opiniodawczo-doradczymi;

8) podnoszenie poziomu wiedzy i umiejętności zarówno przedstawicieli organizacji pozarządowych jak i przedstawicieli jednostek samorządu terytorialnego w zakresie pozyskiwania środków finansowych na realizację zadań publicznych;

9) promowanie województwa jako miejsca sprzyjającego aktywności jego mieszkańców;

Oczekiwane efekty:

1) wypracowanie i upowszechnienie partnerskiego modelu współpracy pomiędzy organizacjami pozarządowymi, a samorządem województwa;

2) zwiększenie roli organizacji w opracowywaniu kierunków rozwoju społeczności lokalnych;

3) budowanie dialogu obywatelskiego, od poziomu lokalnego do poziomu wojewódzkiego;

4) zwiększenie kompetencji pracowników samorządu i organizacji w zakresie realizowania lokalnych programów rozwiązujących problemy społeczne;

5) poprawa jakości życia mieszkańców województwa poprzez umacnianie współpracy między samorządem województwa i sektorem pozarządowym w realizowaniu zadań samorządu województwa, polityki województwa [...].

Sejmik Samorządowy podjął uchwałę w sprawie uzgodnienia projektu statutu Muzeum Powstań Śląskich jako wspólnej samorządowej instytucji kultury Gminy Świętochłowice i Województwa Śląskiego

KATOWICE, ŚWIĘTOCHŁOWICE. Uzgodniono projekt statutu Muzeum Powstań Śląskich jako wspólnej samorządowej instytucji kultury gminy Świętochłowice i województwa śląskiego. Do zakresu działania muzeum należy trwała ochrona dóbr dziedzictwa materialnego i niematerialnego regionu, w szczególności dotyczących Powstań Śląskich w latach 1919–1921 oraz dziejów miasta Świętochłowice.

Muzeum prowadzi działalność m.in. przez:

– organizowanie badań i ekspedycji naukowych, w tym archeologicznych;

– prowadzenie działalności edukacyjnej;

– popieranie i prowadzenie działalności artystycznej i upowszechniającej kulturę;

– opracowywanie, publikowanie, rozpowszechnianie wydawnictw drukowanych i

multimedialnych z zakresu działalności muzeum;

Muzeum gromadzi w szczególności przedmioty, dokumenty, materiały archiwalne oraz ikonograficzne dotyczące Powstań Śląskich, lat bezpośrednio je poprzedzających oraz następujących po nich, w tym m.in. odznaczenia i legitymacje, sztandary, mundury, fotografie, mapy, broń pozbawioną w sposób trwały cech użytkowych; związane z historią powstania i rozwoju miasta Świętochłowice, w tym m.in. kolekcje dawnych widokówek, porcelanę z Huty Franciszka oraz narzędzia rolnicze, hutnicze, górnicze; dotyczące życia codziennego, tradycji i obyczajów ludności regionu, w tym m.in. stroje rozbarskie, wyposażenie mieszkania robotniczego oraz kolekcje obrazów religijnych

Sprawy personalne

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego informuje o zamiarze ogłoszenia konkursu na kandydata **na stanowisko dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach** – instytucji kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzonej z Ministrem Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Przewidywany termin ogłoszenia konkursu: przed 29 września 2020 r.

Przewidywany termin zakończenia postępowania konkursowego: przed 29 stycznia 2021 r.

CHORZÓW. Zarząd Województwa Śląskiego rozwiązuje się umowę o pracę z Panią **Jolantą Kopiec** – dyrektorem Śląskiego Ogrodu

Zoologicznego w Chorzowie na jej wniosek, w związku z przejściem na emeryturę. Rozwiązanie stosunku pracy z Panią Jolantą Kopiec następuje na mocy porozumienia stron z dniem 31 lipca 2020 r.

Z dniem 01 września 2020 r. w ramach awansu wewnętrzniego, zatrudnia się Pana **Marka Mitrengę** na stanowisku Dyrektora Śląskiego Ogrodu Zoologicznego w Chorzowie i nawiązuje stosunek pracy na podstawie umowy o pracę na czas nieokreślony.

BYTOM. Powołuje się Pana **Łukasza Goika** na stanowisko dyrektora Opery Śląskiej w Bytomiu z dniem 1 września 2020 r. na okres pięciu sezonów artystycznych tj. od 1 września 2020 r. do 31 sierpnia 2025 r.

KOSZĘCIN. Powołuje się Pana **Zbigniewa Cierniaka** na stanowisko dyrektora Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny w Koszęcinie z dniem 1 września 2020 r. na okres pięciu sezonów artystycznych tj. od 1 września 2020 r. do 31 sierpnia 2025 r.

Nagrody prezydenta Katowic dla uzdolnionej młodzieży

KATOWICE. W tym roku, w związku z sytuacją epidemiologiczną, zrezygnowano z organizacji uroczystości wręczenia nagrody Prezydenta Miasta Katowice dla wybitnie uzdolnionych uczniów katowickich szkół artystycznych. Marcin Krupa, prezydent Katowic, skierował do laureatów pismo gratulacyjne, które wraz z dyplomem zostało wysłane pocztą na adresy domowe laureatów. „Wierzę, że w następnych latach będę miał wiele okazji do osobistego złożenia gratulacji w związku z przyszłymi osiągnięciami w wybranej dziedzinie sztuki, która stanie się pasją na całe życie i przyniesie spełnienie zawodowe. Serdecznie gratuluję nagrody, życząc dalszych sukcesów, a także zdrowia i szybkiego powrotu do zajęć szkolnych”, napisał prezydent.

W tym roku nagrody pieniężne (1 tys. zł) otrzymali: Matylda Naczyńska, Marcin Rockstein z Zespołu Szkół Plastycznych, Ewa Achtełik, Dominik Psiurski, Jakub Rys z Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. M. Karłowicza, Jacek Burzyk, Paweł Bywalec, Franciszek Lużyński z Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II stopnia im. K. Szymanowskiego, oraz Jan Biegański, Jerzy Holewa, Julia Willer-Paster z Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I stopnia im. St. Moniuszki.

Nagrody Prezydenta Katowic w dziedzinie kultury

KATOWICE. Prof. dr hab. Antoni Cygan, Robert Talarczyk, Stefan Łebek i Adam Wesołowski zostali tegorocznymi laureatami nagrody prezydenta Katowic w dziedzinie kultury. Wszyscy zgodnie potwierdzali konieczność rozwoju miasta „w tym samym kierunku” i doceniali działania Katowic na rzecz kultury w czasie pandemii.

Uroczystość wręczenia nagród w dziedzinie kultury zawsze zbiega się z rocznicą nadania Katowicom praw miejskich. Wyróżnienia te przyznawane są od 1984 r. – za wybitne osiągnięcia artystyczne oraz organizacyjne, mające wpływ na rozwój i upowszechnianie kultury w mieście.

Założenia do projektu budżetu oraz kierunków polityki społecznej i gospodarczej miasta Katowice na 2021 rok

KATOWICE. W zarządzeniu Prezydenta miasta Katowice zapisano m.in.:

§ 2. Przyjmuje się następujące założenia do projektu budżetu miasta Katowice na 2021 rok:

28) dalsza realizacja działań mających na celu aktywizację mieszkańców na rzecz integracji i budowania więzi lokalnych społeczności oraz włączenie ich w proces współdecydowania o rozwoju miasta (budżet obywatelski, konsultacje społeczne, inicjatywa lokalna, zielony budżet) oraz kontynuacja dialogu z NGO przy wsparciu Katowickiego Centrum Organizacji Pozarządowych;

29) wspieranie działań mających na celu równoczesne umiędzynarodowienie i popularyzację katowickich aktywności, produktów i wydarzeń w sferze artystycznej, kulturalnej, sportowej, edukacyjnej, badawczo-naukowej i gospodarczej w Katowicach; udostęp-

nianych również z wykorzystaniem technologii informatycznych;

31) wspieranie organizacji pozarządowych w pozyskiwaniu środków pozabudżetowych poprzez zapewnienie finansowego wkładu własnego z budżetu miasta Katowice celem poszerzenia oferty wsparcia i zakresu usług [...].

XII Europejski Kongres Gospodarczy

KATOWICE. XII Europejski Kongres Gospodarczy przyciągnął do Katowic 3,5 tys. osób, do udziału w wydarzeniach online zarejestrowało się ponad 6,7 tys. osób, a unikalna liczba użytkowników, którzy obejrzyli debaty online, przekroczyła 100 tys. – podali organizatorzy.

Jak przypomniano w podsumowaniu przedsięwzięcia, zostało ono zorganizowane w formule hybrydowej, czyli zarówno stacjonarnie w katowickim centrum kongresowym, jak i online. Przez trzy kongresowe dni (2–4 września) w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach odbyło się łącznie ponad 70 debat i dyskusji z udziałem ok. 400 prelegentów.

Na kongresie byli również szefowie wielu resortów gospodarczych polskiego rządu, a także przedstawiciele wiodących spółek Skarbu Państwa i prywatnego biznesu. Zamknięte dla mediów spotkanie z przedsiębiorcami odbył drugiego dnia kongresu w MCK premier Mateusz Morawiecki. Organizowany od 2009 r. kongres należy do największych tego typu spotkań świata biznesu, nauki i polityki w Europie środkowej. Jeden z paneli dyskusyjnych poświęcony był związkach kultury i gospodarki – niestety niezbyt inspirujący.

Trzecie Forum Burmistrzów

BYTOM. Z powodu pandemii COVID-19 Forum Burmistrzów oraz wszystkie związane z nim spotkania odbędą się w formie wirtualnej. Inicjatywa jest otwarta dla: wódatarzy miast i gmin pochodzących z regionów borykających się z wyzwaniem transformacyjnymi związanymi z odchodzeniem od węgla – burmistrzów, wójtów, prezydentów, a także pracowników urzędów marszałkowskich i wszystkich przedstawicieli władz regionalnych odpowiedzialnych za transformację oraz organizacji pozarządowych zajmujących się tematyką transformacji terenów górniczych i pogórnich.

Forum Burmistrzów podzielone było na dwie części: oficjalną oraz networkingową. Wezmą w niej udział przedstawiciele władz Bytomia, Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego, WWF Polska, Komisji Europejskiej oraz wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast związanych z górnictwem transformacją.

Wydarzenie jest organizowane przez Miasto Bytom przy współpracy z Fundacją WWF Polska oraz oddziałami WWF w Niemczech, Grecji i Bułgarii. Inicjatywa, jaką jest Forum Burmistrzów powstała w ramach projektu Regions Beyond Coal, realizowanego m.in. przez WWF Polska. Inauguracja Forum miała miejsce w 2018 roku w Kozani – w Zachodniej Macedonii, regionie Grecji. Druga edycja odbyła się rok później, w niemieckim mieście Weisswasser – regionie wydobywania węgla brunatnego. Teraz przyszedł czas na polskie miasto związane z wydobywaniem węgla, czyli Bytom. Wszystkie trzy miasta łączą lokalizacja w ich regionach kopalń (obecnie lub w przeszłości) i konieczność ponoszenia skutków ekonomicznych, społecznych i środowiskowych wynikających z tej działalności. Szczególnie jest ona widoczna w Bytomiu, gdzie przecież zlikwidowano po zmianach ustrojowych w Polsce po 1989 roku aż 7 kopalń i 2 huty. ■

Sprostowanie. W numerze 6/2020 „Śląska” ukazał się artykuł *Życ z sztuką. Porcelana Rosenthal*, autorstwa Pań Anny Kwiecień i Patrycji Gwoździewicz, będących kuratorkami wystawy, nad którą miesięcznik „Śląsk” objął patronat. Pod tytułem zamieściliśmy jednak inne nazwisko. Przepraszamy Autorki za ten błąd, dziękując jednocześnie Pani Ewie Chudybie – Głównemu Specjaliście ds. Promocji Muzeum w Gliwicach – za przesłanie ciekawego materiału.

Maestra z tej ziemi

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Nasz czas jest niełatwy, ciemny, „ciemkawy” w najgorszym tego słowa znaczeniu. To czas poważnych wyzwań: strukturalnych zmian społecznych, które prowadzą do (teraz ustawicznego) podważania sensu tradycyjnych wartości. To czas *neoklasycznego kapitalizmu*, systemu, który na dobre powrócił do swoich prawdziwych, wynaturzonych, antyhumanistycznych, materialistycznych, bez-religijnych – czy pseudoreligijnych albo wręcz antyreligijnych – korzeni: bezwzględne imperatywu zysku i partykularnych interesów, tak jak działo się to w XIX stuleciu. Świadczą o tym dowodnie pauperyzacja klasy średniej i, w konsekwencji, zanik tej grupy społecznej – w wysoko rozwiniętych krajach jak Kanada i Stany Zjednoczone stanowi to bardzo poważny problem, bowiem proces ten jest coraz intensywniejszy.

Pojęcie *neoklasycznego kapitalizmu* odróżniam od pojęcia *neoklasycznej ekonomii*. Dla mnie to terminy pokrewne, lecz odrębne: *neoklasyczny kapitalizm* odnosi się do prymitywnych i brutalnych metod wyzysku siły roboczej i kontroli społecznej wypracowanych w XIX wieku, a które ponownie, po upadku systemu komunistycznego i wynikającej stąd nieobecności konkurencji międzysystemowej, stały się ulubionymi instrumentami wielu narodowych i ponadnarodowych elit rządzących. Nie ma tu miejsca na szersze potraktowanie tego wątku, powiem tylko, że w Kanadzie i USA obowiązujące tam prawa pracy należą do najmniej humanitarnych w świecie zachodnim; w większości tamtejszych korporacji pozycja pracowników to *de facto* bezradne zniewolenie.

Nie bawię się w katastrofizm, powtarzam – nieco inaczej – za myślicielami takimi jak m.in.: Rubem Alves, José Bonino, Ernesto Cardenal, Noam Chomsky, René Padilla, Slavoj Žižek; osobowości te reprezentują szeroki wachlarz światopoglądowo-filozoficzny. Czy warto dodać tu jeszcze pisarzy? Aldous Huxley (*Brand New World*, 1932), George Orwell (*Coming Up for Air*, 1939), Kurt Vonnegut (*Player Piano*, 1952), Roy Bradbury (*Fahrenheit 451*, 1953), Margaret Atwood (*Oryx and Crake*, 2003).

Oznaką tej sytuacji jest też agresywna kampania prokomercyjna w dziedzinie kultury wysokiej, mająca na celu przede wszystkim obniżenie jakości jej wytwó-

rów pod hasłem *umasowienia*, co jest wiecznie żywym populistycznym sloganem. Ludzie szermujący argumentem nie tyle dostępności, ile *przystępności* kultury, negują w ten sposób inteligencję i wrażliwość odbiorców, którzy byłiby (i są!) w stanie śmiało objąć, pojąć, zaabsorbować najbardziej wysublimowane zjawiska artystyczne – jeśli dałoby się im tę możliwość i rzuciło pozytywne wyzwanie. Tak się jednakże nie dzieje, a *neorealizm socjalistyczny* tryumfuje bez przeszkód – na złość, właśnie po śmierci socjalizmu! Kulturę wysoką traktuje się więc w tej chwili notorycznie jako niebezpieczny wymysł i niepotrzebny przeżytek, a stosunek do niej mediów mówi sam za siebie. W efekcie rośnie wobec niej wrogość.

Co robić?

Sądzę, że przyszłość kultury wysokiej będzie zależała od inicjatyw oddolnych, które dzięki uporowi zaangażowanych w nie indywidualności i środowisk będą z trudem wchodzić w krwiobieg oficjalnego życia kulturalnego, a jeśli nie wejdą, to – daj Boże – istnieć i rozwijać się będą jako odnogi kultury niezależnej. W Kanadzie i USA używa się skrótu DIY – Do It Yourself, czyli Zrób To Sam; wyraźnie widać, że obecnie wzrasta ilość takich przedsięwzięć.

Wiele oczywiście zależy od wyjątkowych, pomysłowych, energicznych indywidualności – na gruncie śląskim taką indywidualnością jest dyrygentka, animatorka kultury, nauczycielka akademicka Anna Szostak, której udało się powołać do życia i ukształtować rewelacyjną grupę wokalną podziwianą na całym świecie, no i doprowadzić do tego, iż kolektyw ów stał się prawdziwą instytucją, symbolem życia kulturalnego regionu. Trzeba się było nawalczyć, ale rezultaty są przewyborne.

Zaiste, Anna Szostak to postać wyjątkowa. Urodziła się w Czechowicach-Dziedzicach, mieście śp. Zbigniewa Rudzińskiego i Witolda Szalonka. Absolwentka Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie (gdzie dzisiaj wykłada), wokalistykę studiowała w wybitnych śpiewaczek-pedagożek Ireny Lewińskiej oraz Henryki Januszewskiej. Wcześniej zdała sobie sprawę z tego, że „pieczone gołąbki nie wleczą same do gąbki” – i tym można tłumaczyć jej doprawdy niestrudzone działania na polu organi-



Anna Szostak

zatorsko-administracyjnym. Mając ledwie dwadzieścia kilka lat, założyła swój pierwszy chór. Do kulminacji tych wysiłków doszło w roku 1990, kiedy to powołała do życia Zespół Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”. Reszta to już, jak to mówią, historia.

Jedynie ci, którzy sami prowadzili podobną działalność, potrafią ocenić i docenić kolosalną pracę, którą Anna Szostak włożyła w nadanie swojemu chórowi charakteru zawodowego, ale także w zapewnienie mu stałej bazy i warunków rozwoju. Skromna, niebanalna, po prostu dobra, zawsze z entuzjazmem podkreśla rolę, jaką w funkcjonowaniu „Cameraty...” odgrywają ochotniczy i ochotnicy – ich wysiłku nie da się i wręcz nie wypada przeliczać na pieniądze. Jest zatem „Camerata...” ogniskiem kulturotwórczym pełną miarą. To nie tylko publiczne lub internetowe wykonania dawnej, renesansowej i barokowej muzyki (szczególnie polskiej) oraz muzyki najnowszej (też przede wszystkim rodzimej), bo w skrajnościach dawności i nowoczesności definiuje się repertuar zespołu; to nie tylko najwyższe nagrody wykonawcze i nagraniowe, to również zdolność emanowania kulturotwórczych idei, dar inspirowania społeczności, która przez lat kilkadziesiąt powstawała wokół zespołu.

W Annie Szostak, mistrzyni interpretacji nawet ekstremalnie wymagających dzieł chóralnych, i „Cameracie Silesii” widzę dobitne przykłady tego, że da się, jeśli się chce; że aby prowadzić organizację najwyższej klasy – a „Camerata Silesia” to rzeczywiście zespół klasy najwyższej – nie trzeba odgórných dekretów, unizonych uprzejmostek, politycznej pseudopoprawności; że sukces można odnieść, startując od zera i budując przyszłość własnymi rękami (i głosami!), siejąc ziarno piękna, które kiełkując w tej ziemi, z tej ziemi czyni skarbiec serc, umysłów – i dusz. ■

50



100



1



200



250



150



TRZY SETKI

Fundacja Ślązacy.pl



Na zdjęciu: prezentacja wystawy „Twarze Powstańców” na katowickim Rynku

Fundacja Ślązacy.pl powstała w 2017 roku. Jej celem jest odkrywanie i popularyzowanie zapomnianych kart z historii Śląska oraz propagowanie postaw patriotyzmu, polskości, poznawania specyfiki Śląska. Fundacja zrealizowała dotąd kilka projektów poświęconych historii Śląska.

Wystawa „Intelligenzaktion” przypomina niemiecką akcję wymierzoną w śląskie elity intelektualne, polityczne i społeczne w okresie II wojny światowej. Była prezentowana m.in. w gmachu Sejmu RP w Warszawie oraz Urzędach Wojewódzkich w Katowicach i Opolu, a także w Niemczech w Essen oraz Berlinie.

Wystawa „Twarze Powstańców”, prezentuje sylwetki powstańców śląskich, tych znanych i mniej znanych, ich dokonania podczas powstańczych zrywów oraz ich późniejsze losy. Wystawa powstała przy wsparciu wieloletniego programu „Niepodległa” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Obecnie Fundacja realizuje kolejne projekty, m.in. dalsze badania dotyczące eksterminacji śląskich elit w ramach „Intelligenzaktion” oraz prace związane z obchodami 100. rocznicy powstań śląskich i powrotu części Górnego Śląska do Polski.

Jeśli pragną Państwo wspomóc nasze działania, będziemy wdzięczni za wpłatę na konto Fundacji.

Fundacja Ślązacy.pl Bank PEKAO S.A. 81 1240 1330 1111 0010 7236 3880

Więcej informacji na stronie: www.slazacy.pl

